

**JERRY AHERN**

**PAJĘCZA SIĘĆ**

**CYKL: KRUCJATA TOM 5**

**(PRZEŁOŻYL: MICHAŁ LUKASIAK)**

**JERRY AHERN**

**PAJĘCZA SIEĆ**

**CYKL: KRUCJATA TOM 5**

**(PRZEŁOŻYL: MICHAŁ ŁUKASIAK)**

## PROLOG

John Rourke stał w deszczu. Przybył statkiem "Beech", ponieważ w samolocie zabrakło paliwa. Przy pomocy mapy obliczył, że samolot znajduje się około dwudziestu pięciu mil od głównej kwatery Chambersa i US II.

Paul siedział w samolocie i rozmawiał ze swoimi rodzicami. Pilot udał się na poszukiwanie jakiegoś środka transportu. Zbyt długo nieużywane radio nie działało dobrze. Obok Rourke'a stała major Natalia Tiemerowna.

- Rozejm niedługo się skończy, John. Być może już się skończył.

- Przynajmniej udowodnił, że jeszcze jesteśmy ludźmi, prawda? - powiedział spokojnie, lewą ręką osłaniając cygaro, a prawą obejmując Natalię.

- Będziesz szukał dalej? - spytała. - Tak.

- Dokąd zamierzasz jechać?

- Do Karoliny, może do Georgii przez Savannah. Prawdopodobnie wyruszyła tamtędy.

- Mam nadzieję, że znajdziesz ją i dzieci.

Doktor spojrzał na Rosjankę. Strugi deszczu spływały po jej twarzy, po jego zresztą również.

- Dziękuję ci, Natalio.

Kobieta uśmiechnęła się, po czym spuściła wzrok. Stała obok Rourke'a w ulewnym deszczu.

## ROZDZIAŁ I

- Powiedziałem ci już raz, że nie mogę kazać moim ludziom strzelać do Amerykanów, aby uratować rosyjską agentkę, Rourke. Bez względu na to, jak wiele nam pomogła!

John spojrział na Reeda, po czym wyrwał jednemu z jego ludzi automatyczny Massberg 500 ATP 6p.

- Nikt mnie nie powstrzyma - wyszeptał mrużąc oczy w słońcu i zręcznym ruchem zarzucił karabin na ramię.

- Rourke!

- Odpieprz się - odparł ostro, nawet nie patrząc na kapitana Wywiadu Wojskowego.

Tłum mężczyzn i kobiet, głównie cywili uzbrojonych w karabiny, strzelby, pałki i noże najróżniejszych rozmiarów, posuwał się naprzód. Jakaś kobieta wrzeszczała:

- Wydajcie nam tę komunistyczną sukę!

Rourke skierował lufę karabinu w dół i puścił jedną serię, potem drugą tak, że kule odbijały się od asfaltu i trafiały rykoszetem w golenie pierwszych szeregów. Tłum cofnął się kilka jardów. John włączył blokadę bezpieczeństwa, wbiegł z powrotem do środka i oddał karabin Reedowi.

- To się nazywa tłumieniem rozruchów. Słyszałeś kiedyś o tym? - Nie czekał na odpowiedź. Wyciągnął dłoń, a Reed uściskał ją.

- Z wieży zapowiadali złą pogodę.

- Nie szkodzi. Chyba nie może być goręcej niż tutaj. Rourke wskazał w stronę tłumu. Ludzie ci ruszyli ponownie.

Reed odblokował karabin, oparł go na ramieniu i wystrzelił. Grad kul posypał się nad głowami wzburzonej ciżby.

- Widzisz. Jeszcze ze dwa razy i najodważniejsi zorientują się, że nie masz zamiaru ich zabić, a wtedy przegonią cię. Przepuść ich, gdy będziemy już w górze.

- Rourke?

- Tak, wiem.

- Powodzenia.

Doktor kiwnął głową, po czym wybiegł w kierunku pickupa, mijając po drodze około tuzina uzbrojonych żołnierzy U.S.II.

- On ucieknie z Rosjanką! - dobiegł go złowieszczy głos z tłumu za plecami. Rourke miał nadzieję, że anonimowy głos za plecami dobrze przewidywał. Dobiegł do wozu, wskoczył i, nawet nie zamykając drzwi, przekręcił kluczyk w stacyjce. Uruchomił silnik, prawą ręką wrzucił bieg. Lewą nogą puścił sprzęgło. Gdy pickup ruszył, John przygryzł czarne cygaro i językiem przesunął je do kącika ust. Drzwi zatrzasnęły się same. Spojrział w lusterko. Tłum zbliżył się do ludzi Reeda szybciej niż można było przypuszczać, a potem minął ich. Padały pojedyncze strzały, a tu i ówdzie ludzie z pierwszych szeregów wyrywali się i biegli za samochodem jadącym w kierunku pasa startowego.

Przez popękaną przednią szybę fordą Rourke zobaczył daleko przed sobą lekki samolot transportowy z nieruchomymi jeszcze śmigłami. Kilka razy wałnął pięścią w klakson. Zobaczył postać - chyba Rubensteina - przebiegającą od prawego skrzydła wokół dziobu samolotu. "Natalia jest za sterami, cholera!". Nacisnął sprzęgło, zmniejszył gaz i wrzucił kolejny bieg. Silnik zawył. Samochód skoczył, po czym wyrwał do przodu. Coś - chyba szósty zmysł - sprawiło, że John obejrzał się w lewo. Nie mógł nic usłyszeć, ponieważ ryk silników, strzały i krzyki tłumu zagłuszały wszystko. Ścigały go dwie ciężarówki z ludźmi żądnymi krwi, uzbrojonymi w karabiny, strzelby, pistolety i siekiery. Potrząsnął z niedowierzaniem głową. Trzy dni wcześniej Natalia uratowała ich żony i dzieci, zabierając je do ewakuacyjnych samolotów na Florydzie. Ale teraz przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Była Rosjanką, a Rosjanie rozpoczęli trzecią wojnę światową, zniszczyli znaczną część Stanów Zjednoczonych, okupowali Amerykę. Natalia była Rosjanką i wszystko inne nie miało znaczenia. Rourke wykrzywił usta.

- Głupie bydlęta - wymamrotał spoglądając ponownie na dwie ciężarówki. Zbliżały się szybko, ludzie na skrzyni celowali w niego. Kula rozbiła prawe lustro fordą. John sięgnął pod lewą pachę i wyciągnął jeden z dwóch nierdzewnych Detonics'ów, które nosił w podwójnej uprzęży Alessi. Kciukiem odciągnął kurek, odwrócił twarz od szyby i wypalił. Huk wystrzału w ciasnej kabinie i dźwięk tłuczonej szyby spowodowały dzwonienie w uszach. Odwrócił się, jedna z ciężarówek pozostała w tyle. Znowu wystrzelił z Detonicsa. Tym razem kula trafiła w przednią szybę zbliżającego się wozu. Doktor zobaczył przez lewe okno, jak wciąż ścigający go tłum rozdzielił się. Część ludzi pobiegła na skos, w stronę wjazdu na pas startowy, aby mu odciąć drogę albo dotrzeć przed nim do samolotu. John spojrział w prawo. Od płyty lotniska oddzielał go tylko płot. Gwałtownie skręcił. Biorąc ostry wiraż, włożył naładowany i zablokowany pistolet pod prawe udo. Dodge z wybitą przednią szybą wciąż zmniejszał dystans. Rourke szybko chwycił Detonicsa i wystrzelił. Ciężarówka skręciła gwałtownie w prawo i wjechała w płot. Tymczasem drugi pojazd rozwalil ogrodzenie i zbliżał się. Kilka sztchet zatrzymało się na zderzaku, ale pospadały, gdy Chevrolet podskoczył na wybojach. Rourke odbezpieczył broń. Zmienił bieg na trójkę. Ford zwolnił na wybojach. Do pasa startowego pozostało tylko około tysiąca jardów. Ciężarówka z wybitą przednią szybą nadjeżdżała z dużą prędkością. Ludzie na skrzyni, chwając się i z trudem utrzymując równowagę, zaczęli strzelać. Kilka kul trafiło w samochód Johna, nie czyniąc żadnej szkody. Doktor ponownie wypalił z Detonicsa. Nie mógł trafić, gdyż samochód podskakiwał na wybojach.

Napastnicy nie chcieli dać za wygraną. - Cholera! - wycedził. Nacisnął sprzęgło, zmniejszył gaz, przełączył bieg i przyspieszył. Ford wyrwał do przodu. Rourke widział we wstecznym lusterku Chevroleta, który sięgnął już prawie tylnego zderzaka jego wozu. Jeden z ludzi zamierzał wskoczyć na samochód Johna. Zdecydował się skręcić ostro w bok, ale za późno. Człowiek z pistoletem w dłoni usiłował utrzymać równowagę, dostawszy się na skrzynię fordą. Rourke odbił gwałtownie w prawo, chcąc zrzucić intruza, ale Dodge z roztrzaskaną szybą zablokował go z boku. Spróbował odbić więc w lewo, lecz z tej strony zablokował go Chevy. Człowiek stojący z tyłu niepewnie podniósł pistolet, chcąc strzelić przez okno. - Tylko spróbuj - wyszeptał John i nacisnął gwałtownie na hamulec. Samochód zatrzymał się momentalnie. Mężczyzna wypuścił broń, sam zaś poleciał do przodu i uderzył w kabinę. Doktor wrzucił wsteczny bieg tak raptownie, że aż zazgrzytała skrzynia. Prawą nogą przydusił gaz. Chevrolet był teraz około dwudziestu jardów przed nim. Bardziej masywny Dodge pozostał obok. Rozległ się zgrzyt metalu o metal. Prawy bok fordą obcierał o lewe tylne koło ciężarówki. Rourke wcisnął sprzęgło, wrzucił jedynekę, potem dodał gazu. Rozległo się

zgrzytanie, po czym pickup ruszył do przodu. Gdy John wcisnął sprzęgło i przełączył na dwójkę ledwie zmniejszając gaz, zderzak samochodu oderwał się i wywinął do góry tak, że sterczał ponad kabinę. Chevy gwałtownie skręcił w prawo, usiłując staranować wóz Rourke'a. Człowiek na skrzyni, który wcześniej został poturbowany, usiłował wstać. Doktor przekręcił silnie kierownicę w lewo, a potem w prawo, tak że omal go nie zrzucił. Pierwsza ciężarówka, ta z całą szybą, znalazła się tuż za nim. John wcisnął pedał hamulca i włączył wsteczny bieg. Rozpędzony Dodge uderzył w tył forda. Rozległ się huk i trzask. Oszołomiony John podniósł się z kierownicy, włączył sprzęgło, przełączył na jedynkę i dodał gazu. Silnik zawył. Pickup ugrzązł na chwilę, po czym znów wyrwał do przodu.

Kiedy włączał drugi bieg, zobaczył we wstecznym lusterku pogruchotanego i powykrzywianego Dodge'a.

Chevrolet znów znalazł się obok. Ford skręcił w prawo, uderzając w lewy bok ciężarówki, potem odpadł do tyłu, robiąc koło, ale tamten wciąż nie odstępował. Po chwili zagrzmiała seria z karabinu maszynowego. Kule roztrzaskały tylną szybę, wsteczne lusterko i zrobiły od wewnątrz kilka dziur w przedniej szybie. Rourke zanurkował jak kaczka. Pociski rozbiły wskaźnik paliwa i drasnęły kierownicę blisko jego palców.

- Cholera - wykrztusił skręcając ostro w lewo, potem w prawo i znowu w lewo; robił zygzaki, gdyż Chevy zbliżał się, a ostrzał nie ustawał. Nagle John odbił w prawo i uruchomił hamulec bezpieczeństwa blokujący tylne koła. Pickup wpadł w krótki poślizg, nieomal przewracając się. Następnie zwolnił hamulec, a lewą ręką sięgnął po drugi pistolet typu Detonics. Włączył jedynkę, dwójkę, potem trójkę, pracując równomiernie nogami. Chevy pędził prosto na niego.

- Teraz się zabawimy - warknął Rourke. Wysunął pistolet za boczne okno, kciukiem odciągnął kurek, a wskazującym nacisnął spust. Pierwszy strzał, drugi - przednia szyba rozbita. Dwa następne - rozwalone światło i dziura w chłodnicy. Ciężarówka wciąż jechała. Następny strzał - boczne lusterko. Nadal nie zmieniała kierunku, sunąc na niego jak rycerz na turnieju. Odległość między nimi była mniejsza niż dwadzieścia jardów. Wystrzelił ostatnią kulę z pistoletu. Kierowca Chevroleta chwycił się gwałtownie za twarz, samochód zбочzył w lewo, a potem w prawo. John wcisnął sprzęgło, zmienił bieg na dwójkę, zwalniając skręcił w lewo, potem puścił hamulec i dodał gazu. Ford telepał się. Wtem wyskoczył w powietrze na wzniesieniu. Doktor poczuł się jak w stanie nieważkości, nie wyłączając towarzyszących temu mdłości. Wóz uderzył tak ciężko, że ledwie zapanował nad kierownicą. Wcisnął sprzęgło, wrzucił na trójkę i przyśpieszył, aż silnik zawył. Kabina wibrowała, a odłamki szkła na podłodze zaczęły podskakiwać pod wpływem ciśnienia wytworzonego przez strumienie powietrza wpadającego przez dziury w przedniej szybie.

Dwusilnikowy lekki samolot transportowy był przed nim w odległości około stu jardów. Rourke przełączył na czwórkę, gdy tylko wjechał na pas startowy. Wóz ślizgał się; bieżniki opon musiały być oblepione gliną i ziemią. Ford wpadł w lekki poślizg, ale mężczyzna wyprostował tor jazdy, redukując bieg i trochę hamując. Palcami prawej stopy naciskał pedał gazu, piętą hamował, a lewą stopą obsługiwał sprzęgło. Pickup wydostał się z poślizgu. John skręcił ostro w prawo i zahamował. Odłamki szkła posypały się na niego.

Twarz Natalii, z jej błyszczącymi niebieskimi oczyma, otoczona długimi do ramion, prawie czarnymi włosami, była widoczna przez małe okno kabiny pilota. Rubenstein stał w otwartych drzwiach i, osadzając okulary głębiej na nosie, krzyknął:

- John, co jest, u diabła...!?

Rourke rozkazał młodemu człowiekowi:

- Paul, przygotuj wszystko, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś. Nie mówiąc nic więcej, wskoczył na skrzydło i otworzył drzwi do kabiny pilota. Natalia siedziała przy pulpicie sterowniczym.

- Ustąp mi! - nakazał jej.

Miała oczy szeroko otwarte. "Jednak to nie przerażenie, lecz zrozumienie - pomyślał. - Może zrozumienie obłądki tego, co się dzieje".

- Chcą mnie zabić, prawda, John?

- Teraz zabiliby nawet Matkę Boską, gdyby była Rosjanką. Powiedziałem, ustąp mi.

Zwolniła miejsce pilota, a Rourke siadł przy tablicy rozdzielczej. Sprawdzał hamulce.

- Przygotowałaś wszystko do startu?

- Tak - odrzekła beznamyślnie. - Wszystko jest gotowe i w porządku.

Nie odezwał się. Przez małe boczne okno zobaczył co najmniej trzy tuziny uzbrojonych ludzi biegnących przez pole. Również jedna z ciężarówek ruszyła ponownie. - Cholera - powiedział do siebie, po czym krzyknął:

- Paul, zamknij drzwi i przyjdź tu z karabinem!

- Nie możesz ze względu na mnie kazać strzelać do tych ludzi - wyszeptała Natalia.

Nie patrząc na nią, sprawdzając zegary, odparł:

- Posłuchaj mnie, dobrze?! Rosjanka czy ktokolwiek, zresztą co tu gadać, szkoda słów. My troje wiele razem przeszliśmy i to coś znaczy.

Przebiegł wzrokiem po hamulcach i przełącznikach, nie było czasu na dokładną kontrolę. Spoglądając na główny i posiłkowy wskaźnik paliwa, zaczął otwierać przepustnicę. Sprawdzał dodatkową pompę - działała bez zakłóceń. Wyłączył ją.

- Paul, chodź tu na górę z karabinem.

Rourke schował podpórki, obserwując budynek rpus. Otworzył przepustnicę, sprawdził iskrownik.

- Za późno pytam, ale czy blokada kół została zdjęta?

- Tak. - Natalia uśmiechnęła się.

Kiwnął głową, uruchamiając śmigło. Tłum był już tylko około stu jardów od samolotu, a Chevrolet zbliżał się szybko, zaś ludzie stojący na skrzyni strzelali.

- Paul! - Już jestem.

John spojrzął za siebie. Młody człowiek trzymał w prawej ręce CAR-15, lewą ręką poprawił na nosie okulary w drucianych oprawkach.

- Rąbnij parę razy z małego okna - zarządził Rourke.

Następnie skoncentrował się na starcie, ignorując rozgorączkowany motłoch. Zwolnił hamulec. - Zwiewamy stąd - wyszeptał.

- Trzymaj się, Paul, i strzelaj cały czas!

Od kilku chwil jego ramiona i szyję obsypywał grad łusek wyrzucanych z karabinu. Młody człowiek stał tuż nad Johnem, który skontrolował temperaturę, a potem mruknął do siebie:

- Pełny przepust. Boże miej nas w opiece! Sprawdzał poziom paliwa. Samolot zaczął się rozpędzać.

- Kończ, Paul - rozkazał. Sypnęła jeszcze jedna porcja łusek i karabin zamilkł. Poprzez ryk silników ciągle jeszcze dobiegał terkot wystrzałów z pasa startowego, a kule grzęzły w kadłubie samolotu.

- Co będzie, jeżeli coś uszkodzą!?! - zawołał Rubenstein.

- Możemy zginąć, ot co - odpowiedział doktor obojętnie. Sprawdził prędkość, a przez szybę kabiny widział, jak ziemia szybko umyka pod kołami. Ciężarówka wciąż jechała za nimi. Ludzie na skrzyni nieprzerwanie strzelali, ale tłum pozostał nagle daleko w tyle. John ponownie sprawdził prędkość. Nie była to jeszcze szybkość wznosząca. Odległy płot z łańcuchów na końcu pasa startowego przybliżał się niebezpiecznie. Nagle rozległa się seria z karabinu. Kula uderzająca w boczne okno kabiny pilota, blisko głowy Rourke'a, zrobiła na szybie "pajęczynę". Rubenstein zaczął strzelać, nie czekając na rozkaz. Chevrolet skręcił niespodziewanie. Jeden z ludzi spadł ze skrzyni samochodu. Paul otworzył ciągły ogień, aż sypały się iskry, gdy pociski grzęzły w masce ciężarówki.

- Podnosimy się. - Doktor zwiększył przepust do maksimum. Sprawdzał odległość. Sto jardów, pięćdziesiąt, dwadzieścia pięć... Przód maszyny zaczął się unosić. John jeszcze bardziej wysunął kłapy, podnosząc kadłub, i samolot przeleciał tuż nad płotem. Rubenstein przestał strzelać.

- Dzięki Bogu - westchnął.

- Tak. - Rourke kontrolował wszystko, usiłując wzbić się jeszcze bardziej, gdyż z dołu wciąż dobiegał odgłos kanonady. Ponownie sprawdził prędkość. Ciągłe za mała, więc zaczął manipulować kłapami z dopływem paliwa. Prędkość wzrastała. Gdy samolot wzniósł się wysoko ponad lotniskiem, Natalia wychyliła się ze swego fotela przez prawe ramię, a Paul przez lewe. Ciężarówka jadąca nisko pod nimi zatrzymała się. Ludzie z karabinami i strzelbami byli teraz nie więksi niż pchły, bardziej śmieszni niż groźni.

- Mogę już odetchnąć? - spytał Paul Rubenstein uśmiechając się.

John sprawdził tlen na tablicy rozdzielczej i kiwnął głową.

- Możesz.

Doktor również odetchnął. Dźwignie kontrolne drżały mu w rękach. Był sam w kabinie. Natalia poszła z Paulem, pomóc mu uporządkować sprzęt naprędce wrzucony podczas załadunku. Z wieży zapowiedziano raczej dobrą pogodę - średni wiatr, z możliwościami wichury, ale na niskim poziomie, więc niegroźnej. Rourke spojrział w dół. Cień samolotu padał na bezkresną pustkę w dole. Ten rozległy zniszczony obszar stanowił kiedyś deltę Missisipi. Teraz - podobnie jak reszta doliny, począwszy od północnych krańców Nowego Orleanu - ziemia ta była radioaktywną pustynią. Noc Wojny... Rourke nie mógł o tym zapomnieć i, zapalając cygaro, które trzymał w zębach od około godziny, zaczął rozmyślać. Wrogość mężczyzn i kobiet z tłumy na lotnisku, nawet niechęć Reeda, aby ryzykować życie Amerykanów dla ratowania Rosjanki, bez względu na to, jak wartościowej - wszystko to zaczęło się wtedy, w czasie Nocy Wojny.

Gra dyplomatyczna i polityczna szermierka skończyła się znacznie wcześniej, niż ktokolwiek mógł przewidzieć, Użyto broni nuklearnej... Totalna zagłada... Gehenna. Wszystko w ciągu jednej nocy. Śmierć pochłonęła miliony istnień. Eksplozje bomb nuklearnych, które wytworzyły pod nimi promieniotwórczą pustynię niezdatną do zamieszkania przez najbliższe ćwierć tysiąca lat, wykreśliły obszar największego skażenia wzdłuż San Andreas i spowodowały przerażające megawstrząsy, znacznie gorsze niż ktokolwiek, z wyjątkiem najbardziej szalonych wizjonerów, mógłby sobie wyobrazić. Większa część Kalifornii i Zachodniego Wybrzeża zapadła się w morze, pociągnęło za sobą następne miliony istnień.

Związek Sowiecki był prawie tak samo zniszczony, jak Stany Zjednoczone. Agresor - Armia Czerwona, z główną kwaterą w zbombardowanym bronią atomową Chicago - ustanawiał posterunki w ocalałych głównych miastach Ameryki, a także w centrach przemysłowych i skupiskach rolniczych. Posterunki te zmagaly się ze wzrastającą falą oporu Amerykanów i grupami bandytów. Promyk



uśmiechu przemknął przez twarz Rourke'a, gdy wypuszczał dym z cygara.

Po wojnie lepsza i gorsza część ludzkości zaznaczyły się wyraźniej. Do lepszej należał niewątpliwie Paul. Ten młody nowojorski Żyd nigdy wcześniej nie podjął żadnego śmiałego wyzwania i pracował w redakcji, a walczył jedynie z nieprzekraczalnymi terminami wydawniczymi. Teraz, w ciągu kilku tygodni, gdy świat przeobraził się na zawsze, Rubenstein również zmienił się nie do poznania. Twardy, dobrze władający bronią - tak jak wcześniej długopisem. Na swoim motorze - jak przy biurku. Nawet po upływie tak krótkiego czasu, Rourke mógł zauważyć u niego już zarys muskulatury i pewien błysk w oczach ukrytych za szklami okularów. Z każdym nowym doświadczeniem pojawiała się najpierw ciekawość i podniecenie, a później dochodziła determinacja i duma z wygranej, z pokonania przeszkód. W ciągu kilku tygodni Paul stał się najlepszym przyjacielem, jakiego John kiedykolwiek miał. "Jak brat" - pomyślał, znów się uśmiechając. Był jednakiem, nie dane mu było mieć naturalnego brata. Zyskał go dopiero teraz.

Natalia - magia jej oczu i piękno sylwetki bezskutecznie domagały się odpowiedniego opisu. Pierwszy raz spotkał ją przed wojną. Było to krótkie, przypadkowe spotkanie w Ameryce Łacińskiej, gdzie pracowała ze swoim - nieżyjącym już - mężem, Władimirem Karamazowem. Rourke był wówczas tajnym oficerem operacyjnym CIA, podobnie Karamazow, tyle że w KGB, Sowieckim Komitecie Bezpieczeństwa Państwa. Natalia zaś była agentem Karamazowa. Później, już po wojnie, zbieg okoliczności sprawił, że znalazł ją umierającą, skrajnie wyczerpaną, gdy przemierzała pustynię w Teksasie. Padła ofiarą bandytów. Uczucie zrodziło się pomiędzy nim a Rosjanką, jakby na przekór lojalności wobec państwa i mimo jej pracy w KGB, a także pomimo jej wujka - generała Warakowa, który był głównym dowódcą Sowieckiej Armii Okupacyjnej w Ameryce Północnej.

- Obłąd - powiedział do siebie.

Później inne spotkanie, również przypadkowe. John poszukiwał swojej żony i dzieci, zaginionych podczas Nocy Wojny. Wziął głębszy oddech, poczuł jak przeszywa go dreszcz na myśl o niej.

- Sarah - szepnął mimowolnie.

Spotkanie z dziewczyną zwaną Sissy; prowadziła badania sejsmologiczne dotyczące sztucznych pęknięć powstałych podczas bombardowania. Był to efekt megawstrząsów, które zniszczyły Zachodnie Wybrzeże, a teraz oderwały Florydę od kontynentu. Pomimo ogromu zniszczenia i śmierci okazało się, iż przetrwała jeszcze odrobina człowieczeństwa i poczucie wspólnoty gatunku. Prezydent U.S II, Chambers, i generał Warakow zawarli rozejm, aby umożliwić ewakuację ludzi z Florydy. Po zakończeniu tej operacji ponownie zapanował stan wojny. Rourke potrząsnął głową. Wojna. Sarah zawsze uważała jego studia nad metodami przetrwania i znajomość rodzajów broni za zajęcie ponure i przygnębiające, za rodzaj fascynacji czymś niewyobrażalnym. Było to przyczyną separacji i rozpadu ich małżeństwa. A teraz - pomimo iż obiecali sobie spróbować jeszcze raz w imię miłości, która ich łączyła, oraz dla dobra dzieci, Michaela i Annie - wojna rozdzieliła ich znowu.

John dobrze to pamiętał. Nie chciał wyjeżdżać do Kanady, gdzie miał wygłosić wykład na temat hipotermii, czyli efektu oziębienia. Ogólnoświatowa sytuacja była napięta, a Sarah nalegała, aby spróbowali raz jeszcze. Już w Kanadzie dowiedział się o powadze konfliktu, który szybko narastał pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Znajdował się na pokładzie samolotu mającego wylądować w Atlantycie, w pobliżu której miał dom na wsi, gdy usłyszał przez radio, że pierwsze pociski zostały odpalone. A potem noc. Wydawało się, jakby miała trwać wiecznie, a

później nic już nie było jak dawniej. Wzdrygnął się na samo wspomnienie. Katastrofa samolotu, walka o przeżycie razem z rannymi pasażerami, beużyteczność jego lekarskiego doświadczenia wobec ofiar poparzeń i w końcu śmierć większości osób z rąk bandytów. - Mordercy - wyszeptał. Spojrzał na zegarek. Rolex z ciemnym blatem wskazywał, że zadumał się przez co najmniej dziesięć minut, może dłużej.

Sprawdził przyrządy, a potem popatrzył w dół. Teraz tam, gdzie miliony ludzi żyły, pracowały, uprawiały ziemię, była atomowa pustynia. Żadnego żywego drzewa czy rośliny -wszystko było brązowe lub czarne. Poczul, że nie ma już w zębach cygara. Zerknął na popielniczkę i zobaczył zgaszony ogarek. Rourke potrzęsnał ociężałą ze zmęczenia głową.

## ROZDZIAŁ II

Reed zaczął gasić papierosa, ale opamiętał się. Papierosy było coraz trudniej zdobyć. Paląc więc dalej, spojrzał znad swego zaśmieconego biurka, na którym stała filiżanka z kawą.

- Co tam, kapralu?

- Kapitanie, pański kolega, dr Rourke, będzie miał problemy.

- Już miał niemałe, pamiętasz? Cholernie dobrze zrobiliśmy nie zatrzymując ich.

Popatrzył na papierosa i zauważył, że skóra palców wskazującego i środkowego była pożółkła od nikotyny. Reed wyobraził sobie, jakie świństwa zostawia dym w jego płucach. Wzruszył ramionami i zaciągnął się. Z ustami pełnymi dymu powiedział:

- W czym problem? Przecież mamy radio. Możemy się z nim skontaktować.

- Burza systemowa przesunęła się, żadnej szansy.

- On jest dobrym pilotem. Przeleci przez to - odpowiedział lekceważąc problem.

- Ależ kapitanie!

Reed spojrzał na młodą rudowłosą kobietę.

- Tak, kapralu?

- Pan nie rozumie - upierała się. - To jest silna, zimowa burza systemowa. Gdy była tutaj, mógł się pan przecież przekonać, że to prawdziwe szaleństwo.

- Zimowa burza systemowa? Czy ludzie od rejestrowania tej cholernej pogody mogą przewidzieć coś więcej niż ja, gdy po prostu wyglądam przez to przeklęte okno?

Spojrzał na zegarek myśląc przez moment o Rourke'u i zazdroszcząc mu Rolexa, którego zawsze nosił.

- Godzinę temu była śnieżycyca na sześćdziesiątym stopniu?

- Tak, kapitanie, proszę... - zaczęła kobieta.

- Tak - kiwnął głową. Był już zmęczony. Nie spał całą dobę. Wstał powoli, zgasił papierosa i rozejrzał się dookoła. "Pokój kilku oficerów" - pomyślał. Jedno ohydne okno. Przeszedł przez pomieszczenie lekko pochylony. Wsparł się na oparciu krzesła.

Porucznik piechoty morskiej stanął na baczność i popatrzył na Reeda. Kapitan machnął ręką i podszedł do okna.

- Potrzebuję paru godzin snu, kapralu.

- Tak, kapitanie - kobieta skinęła głową.

Reed zasunął ciężkie zasłony. Wyglądając na zewnątrz mruknął pod nosem: - Jasna cholera. - Ujrzał co najmniej cztery cale śniegu, a porywisty wiatr unosił w górę płatki, które już spadły. Wokół opon jeepa przy bramie tworzyły się zaspasy.

- Kapitanie, gotowe - powiedziała rudowłosa kapral. Reed patrzył na nią.

- To niemożliwe. Przed chwilą była pogoda jak wiosną - rzekł do siebie.

Odwrócił się w stronę okna, ale wiosny nie było.

## ROZDZIAŁ III

Deszcz ze śniegiem lał teraz jak z cebra. Sarah usadowiła się obok dzieci pod wystającą skałą. Po prawej stronie rosły duże paprocie. Sosny tworzyły naturalną osłonę przed wiatrem dla niej i dzieci oraz dla koni.

Na jej nogach spoczywał AR-15, model unowocześniony, z przełącznikiem na automat. Z tego karabinu o mało nie została zabita następnego ranka po Nocy Wojny. Potem zabrała go martwemu bandycie. Później wybiła nim szyby w oknach, aby gaz ulatniający się po zbombardowaniu znalazł ujście. Posługując się nim, wysadziła swój własny dom wraz z ludźmi, którzy chcieli rabować, zabijać i gwałcić. "Kolejność jest bez znaczenia" - pomyślała zdejmując lewą rękę z główki Annie i ściągając z głowy jasną, niebiesko-białą chustę. Przed Nocą Wojny gwałt byłby na pierwszym miejscu. Ale teraz rzeczy wyglądały zupełnie inaczej i podświadomie życie stało się ważniejsze. Gwałt oznaczał horror, ale była w stanie go znieść. Śmierć - mogła nadejść w każdej chwili. Jednak zostać obrabowanym, pozbawionym żywności, koni i broni, wydawało się gorsze niż śmierć, a gwałt duszy musiał być gorszy niż gwałt ciała.

Obróciła się w prawo. Michael spał, podobnie jak Annie, owinięty w koc, gdyż zapanował nagły i przenikliwy chłód. Michael nie skończył jeszcze ośmiu lat, a już zabił człowieka, bandytę, który usiłował ją zgwałcić. Przyglądała się jego twarzy. Była to twarz Johna, tylko młodsza i nie poorana zmarszczkami. Spojrzała na podbródek. Pomyślała o wyrazie twarzy jego ojca - spokojnym, rezerwowym, stanowczym.

Zerknęła w stronę doliny. Ujrzała naprędce przygotowany obóz bandytów. Ciężarówki zabezpieczone plandekami i równie starannie przykryte motocykle, osłonięte znacznie lepiej niż jej dzieci.

Ulewa zaczęła się ponad dwie godziny temu. Sarah szybko wyprowadziła konie z doliny. Dzieci jechały na koniu jej męża, Samie. Nim zobaczyła bandytów, usłyszała ich pojazdy, śmiechy, krzyki i poczuła strach, który zawsze w niej wywoływali. Uwiązała Sama i Tildie, po czym zawinęła dzieci, w koce. Teraz siedziała opatulona w dziwaczną wełnianą kurtkę, na dwóch kocach rozłożonych na nagiej skale. Marzyła.

Zwróciła się w stronę obozu bandytów poniżej. Było ich około tuzina. Niewielka grupa w porównaniu do tych, które widziała i spotkała. Ponownie spojrzała na twarze dzieci usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widziała je bawiące się. Na przybrzeżnej wyspie w Savannah, gdzie ukryli się przed sowieckimi oddziałami? Nie. Na farmie Mullinerów? Tak, dzieci bawiły się tam. Mary Mulliner też...

Sarah spojrzała na siebie. Karabin leżał na niebieskich dzinsowych spodniach. Na farmie Mullinerów nosiła przeważnie sukienkę, spała w ciepłym łóżku, odziana w nocną koszulę. Dzieci bawiły się z psem Mary, zapominając, jak wcześniej uciekały przed dzikimi psami. Był tam również syn Mary, który walczył przeciwko Armii Sowieckiej w Ruchu Oporu. Ruch Oporu miał kontakt z Wywiadem Wojskowym. Jeśliby John pojechał do Teksasu, niedaleko granicy z Luizjaną - jak

powiedział jej człowiek z wywiadu w Savannah - wtedy syn Mary skontaktowałby się z nim, informując go o... Podkulila kolana bliżej podbródka, obserwując twarze dzieci. Było w nich niewiele szczęścia, ale była pewna, że zagości ono jeszcze na ich buziach. Nagle desperacko zapragnęła pozbyć się karabinu, uwolnić się od lęku spowodowanego najmniejszym hałasem w nocy, uwolnić od smutku. Przymknęła oczy. Wyobraziła sobie, że pozostaje na farmie Mullinerów i znów usiłuje żyć jak człowiek, choćby w pożyczonej sukience. Otworzyła oczy i spojrzała w dolinę. Gdyby bandyci wiedzieli, że znajduje się tak blisko, ograbiliby ją, zgwałcili i zabili. Ale może odjadą. Jeśli skierują się na północ pomimo burzy, może dotrzeć w ciągu paru dni do Mt. Eagle w Tennessee. Teksas jest niestety znacznie dalej.

Sarah Rourke znów zamknęła oczy, starając się zapomnieć o bandytach i przywołać w pamięci twarze bawiących się dzieci. Ale zamiast tego ujrzała w wyobraźni oblicze swego męża, Johna Thomasa Rourke'a.

## ROZDZIAŁ IV

- To są wszystkie raporty, Katiu? Z radioli nic nowego?

- Nie. Nie ma nic nowego z centrum komunikatów, towarzyszu generale - odpowiedziała młoda kobieta.

Warakow spojrzął znad stosu teczek zawałających jego biurko prosto w oczy Katii.

- Uwielbiam, gdy mnie poprawiasz, tak, centrum komunikatów, to jest to.

Zacisnął pieść na teczce, którą przed chwilą otworzył, po czym wpatrywał się tępo w blat biurka. Nic konkretnego nie wskazywało, aby jego siostrzenica, Natalia, była bezpieczna.

- Towarzyszu generale?

Ismael Warakow podniósł wzrok na młodą sekretarkę.

- Tak, boję się o major Tiemerowną. O ciebie też bym się bał, gdyż zaczynam się czuć jak ojciec każdego. Gdy osiągniesz mój wiek, też ci się może to przydarzyć. A teraz zostaw mnie. - Spojrzął na zegarek. - Zresztą od trzech dni sypiasz tak niewiele. Za każdym razem, gdy cię wzywam, zjawiasz się wyrwana ze snu. Na nic mi się zda sekretarka w szpitalu. Jesteś na służbie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Idź i prześpij się, Katiu.

Warakow odczuwał lekką dumę, że pamiętał jej imię.

- Ale towa...

Nie dokończyła. Gdy spojrzął na nią, spuściła oczy. Jej długie palce trzymały maszynopis wzdłuż odznaczającej się na spódnicy linii bioder.

- Chcesz mi pomóc. To więcej niż twój obowiązek. Jesteś więc przyjacielem, Katiu. To jest cenna rzecz, której nie mogę stracić. Idź spać. Rozkazuję ci i musisz mnie posłuchać

Stała wyprostowana, trochę sztywno i nienaturalnie.

- Tak jest, towarzyszu generale - odpowiedziała.

- Jesteś dobrą dziewczyną.

Spojrzał na biurko. Usłyszał stukot jej obcasów o podłogę. Uniósł głowę i powiódł za nią wzrokiem. Jej spódnica była wciąż za długa. Będzie musiał powiedzieć Natalii, by zwróciła jej na to uwagę. Takie rzeczy lepiej załatwiać przez kobietę.

- Natalia - wyszeptał. - Czy jeszcze żyje?

Skrętnie gromadził fragmentaryczne choćby raporty dotyczące ewakuacji Florydy. Natalia razem z Rourke'em ratowała uciekinierów niedaleko Miami. Ostatni raport sowiecki donosił, iż widziano ich z grupą amerykańskich mężczyzn i kobiet. Kilka minut później, według relacji ludzi z samolotu obserwacyjnego, przeszła ostatnia fala wstrząsu odrywającego Florydę, która...

Warakow walnął pięścią w stół i wstał. Niezręcznie oparł się o biurko w swoim gabinecie bez ścian i założył buty. Pomaszerował wzdłuż głównego hallu muzeum, z wciąż rozpiętą bluzą munduru. Jak zwykle w trakcie chodzenia bolały go nogi.

- Żołnierskie przekleństwo - powiedział do siebie i zatrzymał się na środku hallu. Przyglądał się figurom walczących ma-stodontów. Przyglądał się im uważnie. Były olbrzymie i mocarne. Wszystko

to było kiedyś, dawno temu... Parsknął, potrząsnął głową, ciągle nie ruszając się z miejsca. Powinna być bezpieczna. Była przecież z...

- Towarzyszu generale!

Warakow odwrócił się. Jakiś człowiek stał na balkonie pół-piętra, patrząc na niego i mastodonty.

- Towarzyszu generale!

Człowiek zbiegł chyżo jak młodzieniec po spirali schodów i zbliżał się do niego rozkołysanym krokiem atlety.

Warakow szepnął do siebie: - Aha, pułkownik Nehemiasz Roźdiestwieński.

24

- Szukałem was, towarzyszu generale.

Warakow nie odpowiedział. Mężczyzna był dopiero w połowie drogi do centrum hallu i generał nie miał zamiaru krzyczeć.

Roźdiestwieński zwolnił trucht i zatrzymał się stając na baczność. Miał potargane blond włosy z lokiem spadającym na czoło i chłopięcy wyraz twarzy. Warakow pomyślał, że człowiek ten wygląda, jakby każdego ranka szyto mu nowy mundur na miarę.

- Nie myśleliście chyba szukać mnie w moim własnym biurze. Czyżby tego was uczyli w akademii KGB?

Roźdiestwieński uśmiechnął się i stojąc cały czas na baczność, powiedział:

- Towarzyszu generale, jesteście znani równie dobrze ze swego dowcipu, jak i ze swej genialnej strategii.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - odrzekł obojętnie Warakow i odwróciwszy się, dalej oglądał mastodonty. - Przyjechaliście na miejsce Karamazowa jako dowódca amerykańskiego wydziału KGB. Macie mi wskazać, gdzie kończy się domena wojska a zaczyna KGB. Czy tak?

Usłyszał głos za sobą:

- Tak, towarzyszu generale, dokładnie tak. Politbiuro zdecydowało, że...

- Wiem, co zdecydowało Politbiuro - odparł beznamiętnie Warakow. - KGB powinno mieć tutaj większą władzę, a wy -jako najlepszy przyjaciel Karamazowa - powinniście godnie go zastąpić po śmierci. Do KGB powinno należeć ostatnie słowo, a nie do wojska, tak?

- Dokładnie tak, towarzyszu generale.

Warakow powoli odwrócił się i patrzył w oczy znacznie wyższego i młodszego człowieka. Roźdiestwieński mówił dalej:

- Oczywiście w sprawach wojskowych wasze zdanie będzie decydujące, ale w sprawach, gdzie KGB...

- We wszystkich sprawach - przerwał Warakow. - Jestem pewien, że KGB będzie mieszało się we wszystko, może się myleć?

- Znaczenie polityczne wielu zdarzeń bywa niejasne, towarzyszu generale. Czasami trudno tego uniknąć. Mogę zapalić?

- Tak, możecie nawet spalić się, jeśli tylko macie na to ochotę - przytaknął Warakow, życząc sobie w duchu, aby tak się właśnie stało.

Obserwował, jak Roźdiestwieński wyciągnął spod bluzy munduru srebrną papierośnicę z zawartością, która wyglądała raczej na amerykański, niżli rosyjski produkt. Potem idealnie dopasowaną zapalniczką podpalił papierosa. - "Nowy pułkownik KGB. Nowy Karamazow" - pomyślał o nim Warakow. Roźdiestwieński, tak jak jego poprzednik, nazbyt przypominał na-zistę,

aby mu przypaść do gustu. Esesman, jasnowłosy super-man - specjalnie wyselekcjonowany gatunek. Tyle tylko, że był marksistą, a nie narodowym socjalistą.

- Jakie jest wasze pierwsze polecenie, pułkowniku?

- Dwie sprawy są szczególnie naglące, towarzyszu generale. Może nie są największej wagi, ale muszą zostać załatwione. Jeszcze dokładnie nie wiemy jak.

- Myślałem, że KGB wie wszystko - uśmiechnął się Warakow obchodząc figury mastodontów i oglądając je, jakby to były jego oddziały. Roźdiestwieński również się uśmiechnął, gdy generał spojrział na niego.

- Prawie, towarzyszu generale, ale wiedzieć wszystko to cel, do którego uparcie zmierzamy. Jednak ta sprawa jest nieco ezoteryczna, choć dobrze ją znacie, jak sądzę. Chodzi o tajemniczy "Projekt Eden" i to, czym on jest lub był w rzeczywistości. Przed opuszczeniem głównego dowództwa w Moskwie dowiedziałem się o heroicznym dokonaniu naszego agenta. Wykrał on niektóre materiały dotyczące "Projektu Eden" i kilku innych spraw, choć były najściślej strzeżone w tym, co kiedyś nazywało się Stanami Zjednoczonymi. Z powodu wagi informacji agent przywiózł je do Moskwy osobiście. Gdy wybuchła wojna...

- Tak, to chyba był Napoleon. Przypominacie sobie? Przybył do niego posłaniec z wiadomością. Napoleon przeczytał pismo i powiedział efektownie: "Mój Boże, wybuchł pokój". Mniej więcej tak.

- Tak, podobnie, towarzyszu generale - przytaknął Roźdie-stwieilski.

- A jaką wiadomość przyniósł wam ten agent? Z pewnością nie o wybuchu pokoju.

- Dostarczył informacje, gdzie dokładnie została ukryta kopia "Projektu Eden", ponieważ oryginał zniszczono w trakcie bombardowania Kosmicznego Centrum Johnsona w Teksasie. Istnieje nadzieja, że...

- Więc macie zaledwie nadzieję. Mam pilniejsze sprawy niż jakiś niejasny amerykański plan obrony.

- Wiem. Oczekujecie - Roźdiestwieński skinął głową - że zajmę się sprawą odnalezienia żony mojego najlepszego przyjaciela, pułkownika Karamazowa, major Natalii Tiemerowej. Z pewnością dotarły do was jakieś nowe informacje w tej sprawie?

- Kompletnie nic - odpowiedział szczerze Warakow. - Ostatni raz widziano ją, gdy ratowała ludzi na lotnisku, kilka minut przed głównym wstrząsem. Samolot obserwacyjny zrobił z dużej wysokości zdjęcie czołowej części półwyspu Floryda, pochłanianej przez ocean.

- Była z amerykańskim agentem, czyż nie tak, towarzyszu generale? - spytał Roźdiestwieński.

"Czy on udaje tak naiwnego?" - zastanawiał się Warakow. Zdawał sobie sprawę z tego, że ten czarujący, przystojny, jasnowłosy oficer musi być zainteresowany losem Natalii.

- Tak, słyszałem, ale to jest wiadomość z... - zaczął wycofując się.

Roźdiestwieński przerwał mu:

- Z solidnego źródła, to chcieliście powiedzieć, prawda? Zajmę się tą sprawą. Przyznaję, że jestem zainteresowany podwójnie bezpiecznym powrotem waszej bratanicy, zawodowo i osobiście. Major może być mi pomocna w odszukaniu zbrodniarza wojennego, Rourke'a.

- Zbrodniarza wojennego? - powtórzył mimowolnie Wara-kow.

- Oczywiście. Zabójstwo dowódcy amerykańskiego wydziału KGB jest zbrodnią wojenną, towarzyszu generale. Wiem skądinąd, że Rourke był lekarzem, zanim zaczął pracę w Amerykańskiej Agencji Wywiadowczej.

Warakow dobierał teraz słowa ostrożniej. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, z kim ma do



czynienia:

- Wiem, że dr Rourke odszedł z CIA na krótko przed wojną. Nie zajmuję się nim. Myślę, że jego głównym problemem jest obecnie odnalezienie żony i dzieci, którzy być może przeżyli tę wojnę. Tego nie wiem. Gdy go złapiecie, to chciałbym zamienić z nim kilka słów, ale tak w ogóle to wasza sprawa.

- Owszem, towarzyszu generale, to moja sprawa. Roźdiestwieński rzucił niedopałek na marmurową posadzkę i rozgniół go butem.

- To jest budynek mojego dowództwa, pułkownika. Podnieście tego papierosa.

- Ale więzień wyznaczony do sprzątnięcia może...

- Nie szkodzi. Podnieście go.

Na twarzy Roźdiestwieńskiego zamajaczył chłopięcy uśmiech. Zawahał się przez moment, po czym schylił się i podniósł niedopałek.

- Czy coś jeszcze, towarzyszu generale?

- Nie, nic.

28

Warakow odwrócił się i ruszył w kierunku swego gabinetu bez ścian.

Uchodząc przed sztormem szalejącym na Wschodnim Wybrzeżu tego, co kiedyś było Stanami Zjednoczonymi, tysiące żołnierzy zmierzało w głąb lądu, przegrupowując się i przeszukując wszystko. Warakow uznał za fakt oczywisty, że dopóki Natalia będzie z Johnem Rourke'em, pozostanie bezpieczna. Dopiero po spotkaniu z Roźdiestwieńskim zaczął obawiać się o jej los.

- Katiu! - zawołał, zanim zdołał sobie przypomnieć, że kazał jej odpocząć. Pokręcił głową i zdecydował, iż pójdzie w jej ślady. W przyszłości może nie być czasu na sen. Wetknął ręce w kieszenie i odszedł, lecz przedtem zerknął przez prawe ramię za siebie. Antypatyczny, przypominający esesmana oficer KGB zniknął z widoku. Warakow uśmiechnął się z satysfakcją, że udało mu się zmusić Roźdiestwieńskiego do podniesienia niedopałka. Pomyślał jednak, patrząc na mastodonta, że prawdopodobnie przyjdzie mu za to zapłacić, jemu, a może i Natalii.

## ROZDZIAŁ V

Rourke zaciskał kurczowo dłonie na dźwigni kontrolnej, prowadząc samolot tuż nad oblodzoną szosą. Prawy silnik był również oblodzony. John przypominał sobie jedyne awaryjne lądowanie, jakie przeżył. Było to w Nowym Meksyku podczas Nocy Wojny, na pokładzie Boeinga 747. Pamiętał panią Richards, której mąż zginął podczas bombardowania Zachodniego Wybrzeża, i jej współczucie dla umierającego kapitana oraz pełną poświęcenia pomoc, gdy starali się utrzymać samolot w powietrzu w czasie tej długiej nocy. Potem jej śmierć, kiedy samolot...

Rourke pociągnął gwałtownie dźwignię, starając się utrzymać dziób w górze. Hamulce nie na wiele się zdały, gdyż samolot ślizgał się na oblodzonej i ośnieżonej nawierzchni szosy.

- Schylcie głowy! - krzyknął doktor do Paula, znajdującego się w połowie kadłuba i Natalii siedzącej obok niego w kabinie pilota.

- John!

Rourke spojrzał na nią. Poczuł, jak rozluźniają mu się ścięgna szyi, a ciało oblewa chłód. Tracił kontrolę nad samolotem. Operując klapami i hamulcami, starał się wytracić prędkość. Prosta droga rozciągała się jeszcze przez około ćwierć mili. Gdyby samolot zwalniał zbyt raptownie, poślizg stałby się zupełnie nie kontrolowany. Samolot robił zygzaki, uderzając raz po raz ogonem w drzewa stojące po obu stronach autostrady do Kentucky. Szosa umykała pod nimi bardzo szybko. Mrużąc oczy w blasku odbijających się od śniegu świateł samolotu, zobaczył przed sobą ostry zakręt w kształcie litery "S". Samolot sunął wprost na metalową barierkę po prawej stronie drogi, za którą znajdowało się urwisko. Dwieście jardów, a może nawet mniej. Hamulce tylko zwiększały poślizg. Odwrócił się w stronę Natalii i wcisnął przycisk odpinający pasy bezpieczeństwa. Chwyił ją za lewe ramię, krzycząc do Rubensteina:

- Paul, wyskakujemy! Otwórz drzwi i skacz jak najdalej!

Rourke nie patrzył, czy młody człowiek wykonuje jego polecenia. Chwyił Natalię i popchnął ją przed sobą w kierunku drzwi.

- John!

Doktor spojrzał na kobietę. Rosjanka lewą ręką naciskała klamkę drzwi towarowych, w prawej zaś coś błysnęło - nóż. Obróciła go rękojeścią w stronę Johna. Ten chwycił go i zataczając się, gdyż samolot podskakiwał na wybojach, ruszył w kierunku Rubensteina. W pewnym momencie rzuciło go o kadłub. W końcu włożył nóż pod pas oplatający lewe ramię Paula i przeciął go. Kiedy to zrobił, na nogach poczuł silny strumień arktycznego powietrza. Drzwi otworzyły się. Rourke przeciął ostatni z pasów. Z nożem w ręku porwał swój CAR-15, krzycząc do Paula:

- Skacz! No już!

Gdy ruszył w kierunku drzwi, młody człowiek wstał, trzymając swojego "Schmeissera" w prawej ręce. Natalia gotowała się do skoku. John już przy drzwiach spojrzał - najprawdopodobniej ostatni raz - na swego Harleya i zdążył jeszcze chwycić skórzaną kurtkę. Odwrócił się i wyskoczył. Uderzając o powierzchnię szosy poczuł ból w lewym ramieniu. Wpadł w śnieg i zaczął koziółkować.

O mało nie uderzył go stabilizator, a ogon kadłuba przemknął kilka cali od jego głowy.

Rozejrzał się, a potem wstał. Z najwyższym trudem utrzymując równowagę, pobiegł pochylony w kierunku Natalii. Leżała na środku drogi. Paul też biegł ku niej. Rourke usłyszał łamanie i zgrzyt metalu. Odwrócił się. Ślizgając się na swych czarnych wojskowych butach, obserwował, jak samolot rozerwał metalową barierkę i zniknął w dole. Czekał, ale nie było żadnej eksplozji. "Chociaż niewielkie, jednak są jakieś nadzieje" - pomyślał. Troje ludzi, jedna kurtka, jeden karabin i pistolet maszynowy bez zapasowych magazynków. Kilka rewolwerów. Spojrzał na ręce - no i jeszcze nóż Bali-Song. Odwrócił się z powrotem w stronę Natalii. Siedziała z rozrzuconymi nogami, jak mała dziewczynka, która przewróciła się na ślizgawce. Prawą ręką podparła się, a lewą odgarnęła włosy przystrojone płatkami śniegu. Obok niej kuczał Rubenstein.

Rourke stanął przy nich. Oddał dziewczynie nóż.

- Nie mów mi nigdy więcej o nożu Bali-Song.

Uśmiechnęła się. John jeszcze raz spojrzął tam, gdzie zniknął samolot. Może później da się coś jeszcze uratować. W lewej ręce trzymał CAR-15 i skórzaną kurtkę. Przykucnął i zarzucił kurtkę na ramiona Natalii. Zaczynała już dygotać z zimna, zresztą podobnie jak Paul i on sam.

- Ten nóż mam już od dłuższego czasu. Nie pamiętam tylko, dlaczego nie miałam go, gdy znalazłeś mnie na pustyni. Na wszelki wypadek wzięłam go na Florydę.

- Dobrze się nim posługujesz? - spytał Rourke, trzęsąc się już na dobre.

- Tak, gdybym nie miała zmarzniętych rąk, mogłabym ci pokazać.

"Temperatura musi być bliska zeru" - pomyślał Rourke. Ruszył w kierunku nasypu. Schodził powoli, ostrożnie, gdyż kamienie, które stanowiły oparcie dla jego nóg i rąk, były oblodzone.

- Bądź ostrożny, John.

- Zejdę na dół i rzucę linę. Dołączysz do mnie z Paulem. Przynajmniej będziemy mieli schronienie, chyba żeby eksplodował.

- Ja też mogę... - zaczął Rubenstein.

- Zostań z Natalią. Jeśli połamię się na kawałki, chciałbym, aby został ktoś cały do opieki nad nią. Ściemniało się już, gdy John rozpoczął schodzenie. Samolot znajdował się jakieś trzydzieści stóp poniżej. Lewe skrzydło było złamane na pół. Oderwany prawy silnik leżał oblepiony śniegiem około pięćdziesięciu stóp niżej. Rourke miał zdrętwiałe ręce, palce ślizgały się po oblodzonej powierzchni skał. Lewe ramię bolało go wskutek uderzenia o powierzchnię drogi. Nagle ogarnęła go silna potrzeba oddania moczu. Prawą nogą wymacał występ, potem lewą. Wtem noga obsunęła się. Oderwał się kamień, na którym stanął. Przez chwilę przebierał nogami, kopiąc ziemię. Prawą nogą znalazł oparcie, lecz stanął na skraju oblodzonej skałki, opierając się tylko palcami.

- John, schodzę do ciebie - krzyknęła Natalia.

- Nie, już... - Rourke znalazł w końcu kępę jakiegoś krzewu wyrastającego z nasypu. - Już w porządku. - Chwycił prawą ręką jakiś występ, następnie stanął niżej lewą nogą. Potem lewą ręką, prawą nogą. Powoli, spokojnie... Tylko nerki domagały się upustu, ale nie przerwał schodzenia. Skostniałymi palcami chwycił się najmniejszych wypukłości. Nogi też mu zdrętwiały z zimna. Samolot był coraz bliżej.

Spojrzał w górę. Natalia i Paul obserwowali go wychylając się. Przeszło mu przez myśl, że jeśli nawet jakiś motor byłby sprawny, to prawdziwym problemem będzie wydostanie go na górę? I kiedy skończy się ta szalona śnieżycy?

Samolot był już tylko kilka jardów pod nim. Rourke przyłgnął do skały, sprawdzając oparcie dla

stóp. Potem niezgrabnie odwrócił się, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę. Ostrożnie przesuwał stopy, przywierając plecami do skały. Śnieg padał coraz gęstszy. Pokrywał barki Johna i oblepiał jego rzęsy. Do drugiej ściany urwiska było dziesięć lub jedenaście stóp, ale nie było tam wystarczająco dogodnego występu, aby można było skoczyć. Zresztą mógłby się poranić o skały. Oddychał głęboko. Jeszcze raz spojrzął w górę.

- Teraz! - wyszeptał odpychając się od zbocza. Odbił się nogami, lekko uginając kolana. Pochylił się trochę do przodu i wyciągnął ręce przed siebie. Najpierw prawą, a później lewą ręką wbił się, niczym szponami, w ziemię pomiędzy kamieniami na przeciwnym zboczu. Uderzył ciężko biodrami i zaczął ześlizgiwać się w dół. Próbował zaprzeć się nogami. Rozłożył szerzej ręce, lecz jego palce ryły zlodowaciałą ziemię. Zatrzymał się na jednym z głazów, który jednak po chwili obsunął się wraz z nim. Zbliżając się do brzegu przepaści, sięgnął lewą ręką po nóż AG Russell Black Chrome Sting IA. Oplótł go zdrętwiałymi palcami i zamachnął się szeroko, z impetem. Wbity Sting rozorywał ziemię. John chwycił nóż drugą ręką, zaciskając obie dłonie wokół rękojeści. Dyszał ciężko, niemal zachłystywał się powietrzem. Napinając najdrobniejsze mięśnie, starał podciągnąć się do góry. Nie miał chwili do stracenia. Nóż wymykał się z miękkiego gruntu, a skostniałe palce ześlizgiwały z metalowej rączki.

- Nieee! - usłyszał swój własny krzyk. Skupiając wszystkie siły podciągnął się. Tym razem Sting wysunął się z ziemi, gdy Rourke był już bezpieczny. Padł płasko na lód, dzierżąc nóż w lewej dłoni. Poprzez padający śnieg nie mógł nic dojrzeć na trzydzieści stóp w górę. Jednak poprzez białą zasłonę dobiegł go głos.

- John, odpowiedz mi! John! - wołała Natalia.

- Wszystko w porządku! - krzyknął Rourke przesuwając się dalej.

Wstał dwa jardy od nie uszkodzonego kadłuba. Zaczął gramolić się do środka, ale zatrzymał się. Sztywnym kciukiem i palcem wskazującym rozpiął rozporek. W tym momencie było coś ważniejszego niż oględziny samolotu.

Stał w środku, ciągle dygocząc z zimna. Pożyczony motocykl Natalii leżał pierwszy. Był wyraźnie zdefektowany. Dwa pozostałe nie doznały większych uszkodzeń. Były trochę powykrzywiane, gdyż samolot uderzył rzeczywiście o dużą skałę, a wcześniej o metalową barierkę. Lecz czarny Harley Davidson Low Rider Johna był w dość przyzwoitym stanie, podobnie jak jasnoniebieski motocykl, który znalazł dla Rubensteina. Harleya, na którym Paul jeździł wcześniej, wyrzucili podczas ewakuacji Florydy, aby zmniejszyć obciążenie samolotu. Rourke nie bez trudu odstawił na bok maszynę Rubensteina, aby dostać się do swojej. Pojemniki alpejskie systemu Loco były wciąż na swoim miejscu, przypięte paskami za siedzeniem. Otworzył jeden z nich i wyjął srebrno-czerwony koc termiczny. Był nawet większy niż oryginalne, znajdujące się na wyposażeniu astronautów. Zarzucił koc na ramiona srebrną, lustrzaną stroną do wewnątrz. Potem wepchnął dłonie w kieszenie spodni i zaczął je rozgrzewać, aż ustąpiło zdrętwienie palców. Stojąc opatulony kocem, odzyskiwał czucie w członkach. Rozglądał się po wnętrzu samolotu. O naprawieniu oblodzonego i zablokowanego silnika nie można było nawet marzyć. To właśnie lądowanie z jednym silnikiem spowodowało problemy z hamowaniem. Oprócz motoru Natalii wszystkie ważniejsze rzeczy były zdadne do użytku. Rourke mógł już poruszać palcami, wyjął więc ręce z kieszeni i zaczął przedzierać się przez skotłowane rzeczy ich trojga. Wyciągnął linę z pojemnika i przywiązał do niej kamień.

- Stań dalej od krawędzi, a potem weź linę z kamieniem.

- Rozumiem - usłyszał głos Paula przez śnieżycę, lecz ciągle nie mógł nic dojrzeć poprzez białą

zasłone. Kręcił końcem liny, zwiększając długość. Rzucił i usłyszał, jak kamień uderza o metal, chyba przydrożnej barierki. Lina spadła, więc zaczął ją zwijać. Będzie musiał spróbować jeszcze raz. Za czwartym razem obciążony koniec liny nie cofnął się.

- Paul, poszukaj go!

Przez moment nie było żadnej odpowiedzi, po czym usłyszał głos Rubensteina. - Mam go, John! Rourke skinął głową i odkrzyknął:

- Przywiąż ją mocno do czegoś. Niech Natalia ci pomoże!

Czekał cierpliwie. Sugerując mu pomoc dziewczyny, postąpił taktownie, jako że zupełnie nie wiedział, czyjego przyjaciela potrafi zawiązać mocny węzeł. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę z tego, jak gruntowne szkolenie musiała przejść Rosjanka, zanim została pierwszoliniowym agentem KGB. Z pewnością wspinaczka była jego częścią i Natalia zrobiłaby węzeł, gdyby Paul nie umiał.

- Zrobione, John - usłyszał jej głos.

- Ciągnijcie linę. Pośpieszcie się! - zawołał.

Na drugim końcu przywiązał zimowe kurtki Paula i Natalii. Lina zaczęła pełznąć w górę.

Rourke, siedząc skulony przy ognisku parę jardów od wraku samolotu, rozmyślał o Rubensteinie. Młody człowiek zszedł ze zbocza całkiem dobrze. Wprawdzie nie tak profesjonalnie jak Natalia, ale zupełnie przyzwoicie.

Woda na ogniu gotowała się. John wziął uchwyt garnka w lewą dłoń i podniósł się. Nogą zgasił ognisko. Zrobił to bardzo niechętnie, lecz nie miał wyboru. Okolice pograżyła się w zupełnych ciemnościach. John ruszył w kierunku jaśniejącej wewnątrz samolotu lampy Colemana. Natalia siedziała okryta jedynym kocem termicznym. Rourke nadal był zziębnięty, pomimo, że na sweter włożył jeszcze skórzaną kurtkę lotniczą. "Rubenstein także wygląda na przemarzniętego do szpiku kości" - pomyślał.

- Paul, może poszukasz w rzeczach butelki whisky. Dobrze by nam to zrobiło.

John uśmiechnął się znacząco. Twarz Rubensteina również nagle rozjaśniła się. Młody człowiek wstał i przeszedł obok doktora i Natalii skulonych przy lampie.

- Ja to zrobię - powiedziała dziewczyna, biorąc od Rourke'a garnek z wystygłą już wodą. - Zajmij się jedzeniem.

- W porządku - mruknął. Nie mieli zbyt wiele żywności.

- Mam nadzieję, że lubisz wołowinę a la Strogonoff - powiedział do Natalii, podając jej otwartą paczkę, aby wrzuciła do wody jej zawartość.

- Pamiętasz tę noc przed wytropieniem bandytów w Teksasie? - spytała.

- Tak.

- Może powinnam znowu się upić? - zaśmiała się. - Ale nie wyszłoby mi to na dobre, prawda?

Rourke przez chwilę ważył w dłoni jeden z pakietów "Mountain House", po czym otworzył następny i nic nie odpowiedział. Odwrócił się i zawołał Rubensteina, który wciąż szukał butelki:

- Jedzenie gotowe, Paul!

- John - upierała się Natalia. - Pamiętasz? Nazwałam cię wtedy "Panem Cnotliwym".

- Wydaje mi się, że teraz nie ma to większego znaczenia - powiedział szeptem.

- Myślę, że kochałam cię wtedy - rzekła w zamyśleniu. Rourke przez moment popatrzył jej w oczy.

- Ja też cię wtedy kochałem.

- Czy zobaczę cię jeszcze, gdy wydostaniemy się stąd i skończy się ta potworna zawieja?

Nie odpowiedział.

Rubenstein podszedł i otworzył ćwierćlitrową butelkę *Seagra's Seven*.

- Zimna jak diabli. Przynajmniej nie potrzebujemy lodu - zaśmiał się.

- Proszę, Paul. - Natalia podała mu pierwszą z trzech porcji, tę najcieplejszą. Rourke wymienił z nią spojrzenia i oboje uśmiechnęli się. Rubenstein wziął swoją kolację i usiadł przy lampie.

- Jak za dawnych dobrych dni na pustyni w Teksasie - westchnął i zamieszał jedzenie.

- Właśnie rozmawialiśmy o tym z Johnem - rzekła Natalia.

- Wyśmienite - powiedział niewyraźnie Paul z ustami pełnymi jedzenia.

Rourke zdjął zakrętkę z butelki i podał whisky Natalii.

- Poszukam ci filiżanki.

- Nie trzeba. Niech będzie tak jak wtedy.

Uśmiechnęła się, przyłożyła butelkę do ust i odchyliła głowę. Rourke obserwował ją uważnie. Po chwili oddała mu butelkę. Nie wycierając szyjki, przywarł do niej i pociągnął solidny łyk. Podając flaszkę Rubensteinowi, powiedział do Natalii:

- Tak jak wtedy.

Obejrzał się na młodego człowieka, który właśnie osuszył butelkę i powiedział z uśmiechem:

- Nie, tylko nie tak jak wtedy. Jeszcze pamiętam tamten ból głowy. - I na powrót zajął się wołowiną.

Natalia oparła się o ramię Johna. Lampa już zgasła. Rubenstein poszedł poszperać w otwartej komorze cargo.

- Będziesz dalej szukał Sarah i dzieci? Gdybym mogła ci pomóc... - zagadnęła po chwili.

- Nie o to chodzi. Wywiadowca Reeda w Savannah, emerytowany wojskowy, reaktywowany w...

- W Ruchu Oporu? Zastanawiam się, czy to ma jakiś sens - zamyśliła się.

- Nie w tym rzecz - wyszeptał Rourke w ciemności. - Liczy się działanie, a rezultaty to sprawa drugorzędna. Otóż wysłał on do Reeda wiadomość przez Kwaterę Główną US II, że zidentyfikował Sarah, Michaela i Annie. Zmierzali właśnie do dowództwa US II.

- Ale...

Rourke przerwał jej. - US II przeniosło się, aby wasi ludzie nie mogli uprowadzić Chambersa. A Sarah i dzieci nie powinni w żadnym wypadku przechodzić przez dolinę Missisipi. Muszę ich więc zatrzymać, nim wejdą w strefę skażoną.

- Jeśli ja lub mój wujek dowiemy się czegoś w Chicago, prześlemy ci wiadomość.

- Wiem, że...

- Wierzę, że ich znajdziesz, John, i że są cali i zdrowi. Z pewnością urządzicie się jakoś, gdzieś.

- Schron - powiedział. - To jedyne bezpieczne miejsce. Nic nam tam nie grozi oprócz bezpośredniego ataku, rzecz jasna. Jest zaopatrzenie na wiele lat, światło dla roślin wytwarzających tlen, a także elektryczność z potoku. Jest to miejsce całkowicie hermetyczne. Jednak Sarah miała rację. To jest jaskinia. Nie wiem, czy zniósłbym widok dzieci wzrastających w jaskini, nawet z wszelkimi wygodami.

- Nie masz żadnego wyboru. To nie wy zaczęliście wojnę. "W jej głosie pobrzmiwa nuta poczucia winy" - pomyślał

Rourke.

- Ani ty Natalio, ani ty - mruknął.

Oparła się o niego mocniej, a on ogarnął ją ramionami.

- Gdy zamykam oczy, mogę to sobie wyobrazić.

- Co? - zapytał i zaraz poczuł zażenowanie.

- Że mogłoby być całkiem inaczej i my moglibyśmy być... Nie dokończyła.

Rourke dotknął wargami jej czoła, gdy oparła się o niego, kładąc mu głowę na ramieniu. Zamknął oczy i powiedział to słowo półgłosem:

-... kochankami.

Długo wsłuchiwał się w jej równy oddech, nim zasnął.

Używając liny, John i Natalia skonstruowali system umożliwiający wyciągnięcie motorów na autostradę. John był bardzo przejęty. Śnieżycy nie miała zamiaru ustać, a im dłużej odwlekał poszukiwania, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo wejścia Sarah i dzieci w strefę radioaktywną. Coraz bardziej realna stawała się ewentualność, że po raz kolejny rozminą się. Miał nadzieję znaleźć ich w Karolinie. Była to jedyna szansa. Jedyna, ponieważ bez samolotu nie było można bezpiecznie zawieźć Natalii do północnej Indiany - terytorium opanowanego przez Rosjan. Rourke pierwotnie planował zostawić Rosjanek w możliwie bezpiecznym miejscu, a z Paulem wyruszyć do Tennessee. Po drodze, w pobliżu Savannah usiłowałiby odnaleźć Sarah z dziećmi.

Aby spróbować uruchomić motocykle, musieli opuścić schronienie przy wraku, gdyż jeden mężczyzna nie był w stanie podnieść i przytrzymać maszyny, nawet z pomocą Natalii. Teraz, gdy ostatnia lina została zwinięta, a Harley i motocykl Rubensteina były na powierzchni drogi, Rourke jeszcze raz spojrzął w dół na kadłub samolotu.

John nadal czuł się zziębnięty, pomimo że miał na sobie dwie pary dżinsów, trzy koszule, golf i kurtkę. Zapasowymi sznurowadłami owinał śpiwór dookoła płaszcza Natalii, aby było jej ciepło. Miała ona jechać razem z Paulem na tylnym siedzeniu motoru. Plan był prosty i w tych okolicznościach jedyny możliwy. Centrum burzy śniegowej było chyba na południowym zachodzie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Paul i Natalia będą wyjeżdżać ze śnieżycy, gdy on będzie zapuszczać się w jej głąb. Sądząc po sile zamieci, Rourke przypuszczał, że nie potrwa ona długo. Postanowił, że zacznie poszukiwania od Tennessee i będzie jechał w dół do Georgii, być może aż do głębokich kraterów, które kiedyś były Atlantą. Obaj z Paulem mieli liczniki Geigera. John zaplanował, że będzie dokładnie penetrował teren aż do dolnej Karoliny. Paul po odwiezieniu Natalii w bezpieczne dla niej miejsce powróci, przemierzając trasę od północnej Indiany do Tennessee. Stamtąd ruszy prosto do Savannah. Przy odrobinie szczęścia jeden z nich przechwyci Sarah, Michaela i Annie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za dwa tygodnie spotkają się w schronie, a jeden z nich przywiezie rodzinę Rourke'a. Doktor zaczął ostatni raz sprawdzać skrzynię biegów. Python w kaburze na biodrze i inne pistolety były świeżo naoliwione Break-Free CLP, który wytrzymał niskie temperatury. System paczek Low Alpine był przymocowany pod siedzeniem, a CAR-15 zawinięty w plastik i przywiązany do paczek. Koc pod plastikiem miał zabezpieczyć pistolet na wypadek poślizgu. Spojrzął na oblodzoną powierzchnię i pomyślał, że poślizg jest bardzo prawdopodobny. Uruchomił silnik, aby zaczął się rozgrzewać, a sam podszedł do Natalii i Paula. Motor Rubensteina był prawie gotowy do drogi. Paul zaczął coś mówić, ale Rourke przerwał mu. Nie wiedział czemu, lecz odczuwał ciągły niepokój.

- Zapamiętałeś miejsca strategicznych dostaw paliwa, gdzie mógłbyś dostać benzynę?

- Tak, zapamiętałem - odpowiedział młody człowiek. Wyglądał bardzo dziwnie bez okularów, które zdjął, gdyż śnieg sypał bardzo gęsto.

- I jedź wolno, bardzo wolno, dopóki nie wydobędziesz się ze śnieżycy. Zachowaj ostrożność

przez całą drogę. Nawet gdy zmieni się już pogoda, skok temperatury...

- John, wszystko będzie O.K. Możesz być spokojny. - Rubenstein ściągnął rękawiczkę i wyciągnął prawą dłoń.

Rourke zawahał się przez moment i również zdjął rękawicę.

- Wiem, że będziesz uważał, Paul. Wiem. Ja tylko... - pokręcił głową i zacisnął mocno szczęki, żałując, że nie ma cygara, które mógłby żuć.

- Odprowadzę cię do motoru - powiedziała cicho Natalia, chwytając Johna za rękę, gdy tylko Paul zwolnił ją z uścisku.

- W porządku - rzekł łagodnie Rourke. - Jeszcze się zobaczymy, Paul - rzucił w stronę Rubensteina.

- Jasne, John. Niedługo cię dogonię.

Doktor kiwnął głową i ruszył w kierunku swojej maszyny. Natalia kurczowo trzymała się jego dłoni. Ręka dziewczyny była ciepła. John spojrzał na Rosjankę. Jedną z jego kolorowych chustk związała sobie wokół głowy, aby zasłonić uszy. Poczul, że jego własne były lodowate. Niebieska chustka podkreślała błękit jej oczu. Śpiwór, którym była owinięta spowodował, że jej sylwetka była zupełnie niewidoczna. Gdy zatrzymali się przy Harleyu, John powiedział nie patrząc na nią:

- Jeśli kiedyś będziesz musiała przebrać się za pulchną Rosjankę, to ten kostium będzie idealny.

Wyjęła rękę z jego dłoni i poczul jej palce na twarzy. Zwrócił się w jej stronę.

- Kocham cię, John. Zawsze będę cię kochała. - Pocałowała go mocno w usta i wydawało mu się, że dostrzegł cień uśmiechu, trochę wymuszonego, na jej twarzy. Odwróciła się i odeszła, raz omal nie przewróciwszy się na śliskiej nawierzchni. Patrzył za nią. Wgramoliła się na niższe siedzenie jasnoniebieskiego Harleya, pokrytego tu i ówdzie śniegiem i nie obejrzała się już, gdy Rubenstein odpalał maszynę. Pomachała tylko nie odwracając się i ruszyli.

John Rourke stał przez chwilę zziębnięty i wpatrywał się w pustkę. Znów został sam. Zdażył się już do tego przyzwyczaić.

## **ROZDZIAŁ VI**

Natalia Anastazja Tiemerowna objęła mocno rękami Paula Rubensteina. Traktowała go jak brata i to młodszego. John mówił jej to nieraz. Trzymała Paula, aby nie spaść z motoru i aby ogrzać się ciepłem, które emanowało z jego ciała. Ona w zamian dawała mu swoje ciepło. Na jej damskim Rolexie upłynęły trzy godziny, a śnieg i lód pozwoliły im na przejechanie nie więcej niż stu mil. Może nawet mniej.

- Jak myślisz, czy śnieżycy przybierze na sile, gdy John będzie posuwał się na południe?

- Myślę, że tak. Ale może tutaj już wkrótce trochę osłabnie. Spójrz w górę.

- Paul!

Pierwszy raz od ponad godziny odwrócił się twarzą do niej, Jego brwi były pokryte skorupą lodu. Twarz miał sino-czerwoną, a miejscami, szczególnie na policzkach, nabrzmiała krwią. Nagle zdała sobie sprawę, że Paul osłania ją od wiatru własnym ciałem, podczas gdy sam ma zupełnie odkrytą twarz.

- Zatrzymaj motor, natychmiast! Musimy... - krzyczała mu do ucha.

- Co? - Potrząsnął lekko głową i usłyszała sprzężenie silnika, gdy zmniejszył biegi, powoli hamując, ażeby nie wpaść w poślizg. Motor zaczął zwalniać i zachwiał się lekko, gdy Paul nieco się podniósł. Natalia wysunęła nogi, umiejętnie balansując. Zatrzymali się.



- Pozwól mi prowadzić - powiedziała zsiadając. Spojrzał na nią. Oczy łzawiły mu od wiatru, lecz pomimo to uśmiechnął się.

- Gdybym dopuścił do tego, że coś stałoby się twojej twarzy, to, niezależnie od tego, że John nigdy by mi nie wybaczył sam również nie darowałbym sobie.

Zarzuciła mu ręce na szyję, przez długą chwilę przytulając go mocno, potem cofnęła się. Już od pewnego czasu pozwalała sobie na takie spontaniczne reakcje. Rubenstein traktował ją w ten sam sposób. Ściągnęła z głowy jasnoniebieską chustę. Zrobiła krok w jego stronę i powiedziała:

- Więc zawiąż sobie to na twarzy i zatrzymuj się na pięć minut co pół godziny. Jedno i drugie albo nie pojedę ani mili dalej.

- Ale...

- Żadnego ale.

Postanowiła, że jeżeli on będzie uparcie traktował ją jak damę, ona w odwecie będzie traktowała go jak małego chłopca, narzucając mu swoją wolę. Zawiązała mu chustkę na szyi, naciągając ją tak, aby przykryła całą twarz poniżej oczu.

- Wyglądasz zupełnie jak bandyta. Przystojny bandyta - zaśmiała się.

Rubenstein pokręcił głową, wzruszył ramionami i zapytał lekko stłumionym głosem:

- Możemy jechać?

- Tak. Jeśli chcesz, możemy. Ale tylko przez pół godziny, potem odpoczynek.

- Zgoda - powiedział, ponownie dosiadając Harleya.

Usiadła za nim. Gdy maszyna ruszyła, wtuliła głowę w kołnierz utworzony z fałd śpiwora. To wszystko, co mogła zrobić. W uszach dzwoniło jej z zimna, choć przykrywały je włosy.

Obmyła twarz Paula i zaczęła ją masować. Schronili się pod mostem przed z wolna słabnącą zawieją. Z przymocowanych do motoru i mostu gałęzi utworzyli zasłonę od wiatru. Było ciemno. Noc zapadała szybko.

- Nie musisz...

- Masuję ci twarz, ponieważ cię kocham i chcę, żebyś był zdrowy.

- Nie musisz...

- Chcę. Kocham was obydwo. Wiesz o tym.

- Ale jego kochasz inaczej, to także wiem. Dziecko nie zawsze śpi, kiedy myślisz, że śpi. -

Rubenstein uśmiechnął się, a potem skrzywił. Widocznie zabolęła go twarz ściągnięta w uśmiechu.

- Odpocznij - poradziła Natalia.

- To jest dowcipny facet, prawda? Myślę o Johnie - zagadnął jak gdyby od niechcenia.

- Tak, owszem - odpowiedziała. Miała ochotę na papierosa, jednak wciąż musiała nacierać jego twarz, aby pobudzić krążenie krwi. - Jak twoje ręce i stopy?

- Lewa stopa jest trochę sztywna, ale nie sędzę, żeby...

- Rourke nie jest jedynym człowiekiem na tym padole łez, który wie coś o szkodach, jakie może wyrządzić ciału mróz - powiedziała karcąco. - Połóż się.

- Hej! Nie mogę przecieżyć...

- Rób, co mówię - nakazała Natalia.

Zaczęła odwiązywać sznurowadła i zsuwać lewy but Paula. Stopa wydawała się jej wilgotna. Ściągnęła z niej dwie skarpety. Skorupa podeszwy miała bladożółty kolor.

- To może szybko zmienić się w odmrożenie - rzuciła. Odpięła płaszcz, jednocześnie odrzucając śpiwór do tyłu.

Zdjęła koszulę, którą dostała do Rourke'a i odpięła błyskawiczny zamek czarnej bluzy, po czym wzięła jego stopę i przyłożyła do nagiego brzucha.

- Hej! Ty!

- Spokojnie! Powiedz, gdy odzyskasz czucie. Jak druga stopa?

- W porządku.

- Trzymaj ją tak i nie ruszaj - poleciła mu, a sama sięgnęła do drugiej stopy i zaczęła rozsznurowywać but. Jej palce były zdrętwiałe, zaś uszy przemarznięte, wysmagane strumieniami zimnego powietrza.

- Ta barwna chusta, którą założyłaś mi na twarz, pachnie tobą. To znaczy, tak samo jak twoje włosy - stwierdził nieśmiało Rubenstein.

- Dzięki, Paul - szepnęła Natalia zdejmując obydwie skarpety z jego prawej nogi. Podeszwa stopy była również bladożółta, choć nie tak bardzo jak lewej. Znów poczuła dotyk lodowatej skorupy na brzuchu i wzdrygnęła się.

- Kochasz Johna? Chodzi mi o prawdziwą miłość - spytał Paul.

Zamknęła na chwilę oczy. Poczowała pulsowanie w powiekach i znów je otworzyła.

- Tak, wiesz przecież, że go kocham.

- Tak mi, cholera, przykro, gdy myślę o was obojgu... Oczywiście to nie moja sprawa... Ale John i Sarah...

- Śmiało. Mów, jeśli chcesz.

- Widzisz, on... To dlatego, że on nie wie, czy Sarah jest bezpieczna. Czy nie żyje, przypadkiem, z minuty na minutę... Dlatego...

- Kiedyś słyszałam takie zdanie w amerykańskim filmie: "Czy można walczyć z duchem?" Nie, nie można, choćby z żyjącym duchem. I ja nie chcę walczyć. Szanuję Johna za to, co robi. Za to, że tak uparcie poszukuje żony. Za...

Nigdy nie poruszała tego tematu. Nie chciała o tym mówić, nie chciała nawet o tym myśleć.

- Myślę, że on jest ostatnim z rodu, prawda? Spokojny, silny człowiek honoru - wtrącił Paul.

- Tak - powtórzyła - jest człowiekiem honoru.

Dreszcze - wstrząsające jej ciałem wskutek kontaktu z zimnymi stopami Rubensteina - z wolna ustępowały.

Rozpalili ognisko. Nie mieli zresztą wyboru. Natalia przysiadłszy w sąsiedztwie wesoło igrających płomieni, z nogami zawiniętymi w śpiwór, opatulona kocami zakrywającymi nawet głowę, czuła, jak rozgrzewają się jej uszy. Paul przycupnął przy niej, a pomiędzy nimi stała butelka whisky. Godzinę wcześniej pociągnął duży łyk, po czym usiadł i obserwował ogień. Nogi miał zawinięte w koce. Milczał.

- Ona też zwykła tak robić - powiedział Paul. - Zawsze miałem problemy z szybko ziębnącymi stopami.

- Twoja...

- Moja dziewczyna. Obawiałem się, że powiesz "twoja matka". Ale to była moja dziewczyna.

- Czy była... ładna? - spytała Natalia nie patrząc na niego, lecz wtapiając wzrok w płomienie.

- Tak, była ładna. Bardzo ładna - westchnął.

Nagle Natalia poczuła się niezręcznie. Wydostała rękę spod owijających ją koców. Niemalże natychmiast poczuła chłód na skórze. Chwyciła butelkę. Szkło było mroźne w dotyku. Pijąc odczuła zimno na wargach. Odstawiła butelkę na bok. Nie chowając ręki, odnalazła dłoń Rubensteina i

uścisnęła ją.

- Opowiesz mi o niej?

- Katharsis?

- Być może. Albo zwykła ciekawość. Wiesz, że kobiety zawsze są ciekawskie.

- Ruth też taka była - rzekł spokojnie.

- Czy długo...?

- Czy długo się znaliśmy? Owszem. Jako dzieci chodziliśmy razem do synagogi, jeśli tylko mój ojciec miał urlop. Jej krewni i moi znali się.

- Byłeś nieznośnym brzdącem oficera, tak? - uśmiechnęła się, patrząc na niego w świetle ogniska.

- Tak. Ale czy nieznośnym? Być może, chociaż niezupełnie. Byłem raczej dobrym dzieckiem. Krewni, oficerowie – koledzy ojca, zawsze mówili: "Paul jest bardzo dobrze wychowanym chłopcem." Czasami tego żałuję. Ruth ciągle powtarzała, że powinniśmy poczekać aż... - przerwał i zamilkł.

Natalia zawahała się, nie chciała nalegać, jednak po chwili zdecydowała się.

- Aż będziecie małżeństwem?

Spojrzał na nią. Poprawił okulary, które ześlizgiwały mu się z nosa co pewien czas.

- Myślisz, że... chodzi o to... ale nic takiego. Nawet nie próbowałem.

- Spasowałeś? - Natalia uśmiechnęła się.

- Owszem, może to zabawne. Wyobraź sobie, że pasuję z tobą - zaśmiał się.

- Nie, to nie byłoby zabawne. To by mi schlebowało - uśmiechnęła się.

Znowu zamilkł. Pociągnął łyk z butelki i położył dłoń na jej ręce.

- Tak to jest ze mną. W połowie drogi donikąd i w dodatku prawiczek. Czegóż można pragnąć więcej, gdy śmierć czai się za każdym rogiem - zaśmiał się Paul.

- Wiele kobiet pragnęłoby móc mienić się "czułą kochanką Paula Rubensteina" - powiedziała i poczuła się trochę niezręcznie.

- Cholera! Znałem Ruth przez sześć lat, zanim zdobyłem się na pocałunek - zachichotał. Jednak jego śmiech zabrzmiał jakoś obco, sztucznie. Spytała go:

- Ile miałeś wtedy lat?

- Dziewięć - zaśmiał się ponownie, lecz tym razem jego śmiech był szczery.

- Spotkałam Władimira, gdy miałam dwadzieścia lat. Był taki silny i odważny. Nie znałam nikogo lepszego. Zalecał się do mnie bardzo czule. Myślałam, że to była miłość.

Odsunęła jego rękę. Wzięła czarną torbę i wyjęła z niej papierosy. Swój nóż wbiła w ziemię obok torby.

- Powiedz coś o tym nożu? - spytał Rubenstein, najwyraźniej chcąc zmienić temat. - Skąd go masz?

- Bali-Song, filipiński wzór, chociaż mógł być przywieziony tam przez amerykańskiego marynarza. Podobne, tylko większe, były używane do ścinania kukurydzy i jednocześnie jako broń. Ten jest dziełem sztuki i służy do walki. Zainteresowałam się sztuka wojenną, gdy byłam... - odłożyła nóż i spojrzała na Paula. - Dlaczego nie spytasz, czy kiedykolwiek naprawdę kochałam Władimira?

Zapaliła papierosa i czekała aż ją o to zapyta.

- Kochałaś go? - spytał w końcu, a jego głos zabrzmiał w sposób dojrzały niż zwykle.

- Tak, dopóki nie przekonałam się, jaki jest. Próbowałam przyzwyczaić się do tego, lecz spotkałam Johna i...

Przełknęła ślinę. Zapomniała na moment o papierosie i zakaszła sucho.

- John był taki, jaki myślałam, że jest Władimir, chociaż w rzeczywistości wcale taki nie był.

- Chodzi o rozróżnienie między treścią i formą. Może nie brzmi to najlepiej, ale chyba to masz na myśli?

Natalia przechyliła butelkę i pociągnęła spory łyk whisky.

- Tak, chodzi właśnie o to. Mężczyźni zawsze traktują kobiety pobłaźliwie i nazywają je małymi dziewczynkami. W gruncie rzeczy jesteście nimi. Szukamy naszego własnego rycerza, kogoś, kto spełni nasze sny. Właśnie to Ruth widziała w tobie i nie myliła się.

- Ja, rycerz? - zaśmiał się Rubenstein.

- Rycerz nie musi być wysoki i odważny. Zresztą ty jesteś odważny, choć może sam o tym nie wiesz. To się po prostu ma albo nie. I o to właśnie chodzi. - Wyciągnęła rękę i poczuła dotyk Rubensteina.

- O to właśnie chodzi - powtórzyła.

## ROZDZIAŁ VII

Nehemiasz Roźdiestwieński pomyślał, że było to na swój sposób zabawne. Spojrzał na swój niklowany rewolwer z lufą długości cztery i trzy czwarte cala. Był zwycięskim najeźdźcą, a jego broń miała wygrawerowany napis: “Rewolwer, który zwyciężył Zachód” i była równie amerykańska jak szarlotka. Otworzył zapadkę i przekręcił bębenek. Sześciostrzałowiec zawierał kule, których nacięcia wypełniono odrobiną proszku szklanego. Był to jego specjalny ładunek. Zamknął zapadkę, przesunął zamek nad pustą komorą i włożył kolta do małej kabury z krokodylej skóry, przymocowanej do pasa. Kolba rewolweru była wykonana z kości słoniowej i wystawała poza biodro. Pułkownik podszedł do szuflady i wyciągnął zestaw szczotek. Zaczął układać włosy. “Trzydzieści cztery lata na karku i żadnego siwego włosa” - pomyślał. Schował szczotki, podszedł do szafy i otworzył ją. Ubrania były starannie ułożone przez ordynansa. Wyjął wełniany sportowy płaszcz, doskonale dopasowany do jego figury. Trzymał go przez moment przy popielatych spodniach w jodełkę, które miał na sobie. Tworzyły razem zgraną kombinację. Włożył bluzę. Było zimno i niebezpiecznie z powodu zawiei. Jednak musiał wyjść, nie miał wyboru. Usiłował przypomnieć sobie jakąś amerykańską piosenkę o Zachodniej Wirginii, do której właśnie zmierzał, ale bezskutecznie. Zamiast niej zagwizdał “Dixie” - była w sam raz na jego gust.

- Gwizdać “Dixie” w czasie śnieżnej burzy, ha! - zaśmiał się głośno.

Wyszedł na zewnątrz. Na odnowionym lotnisku Lake Front wiał przenikliwie zimny wiatr, więc postawił kołnierz swego płaszcza, wykonany z wilczego futra. Ruszył w kierunku helikoptera. Pierwszym etapem jego podróży będzie Zachodnia Wirginia i prezydencki schron, w którym znajdował się duplikat akt amerykańskiego “Projektu Eden”.

Kiedy przechodził pod wirującym śmigłem, czuł, jak wiatr targa mu włosy.

## ROZDZIAŁ VIII

Ciemność zapadała szybko. Rourke spojrział na oświetloną tarczę Rolexa. Ostatni raz sprawdzał czas przed godziną. Silnik Harleya warczał pod nim, pracując ciężko z powodu zimna. Cień uśmiechu przemknął po jego twarzy. Miał rację, zmierzał do centrum śnieżycy, a Natalia i Paul oddalali się od niego. Spojrzął za siebie w ciemność, po czym dodał gazu. Śnieg czynił drogę prawie nieprzejezdną. Rourke naciągnął golf swetra na część głowy i uszy. Odczuwał dotkliwe zimno na plecach, w miejscu, gdzie kończył się sweter. Uszy miał również całkiem przemarznięte. Teraz pędził górską serpentyną. Widzialność była zła, znacznie gorsza niż wcześniej. W miarę upływu czasu zawierucha zdawała się przybierać na sile, a mróz wzmagął się. Na oczach miał gogle, aby uchronić się od igiełek szronu. Zmiotł lód z mankietu swetra wystającego spod brązowej skórzanej kurtki. Był wieczór, a więc temperatura stale będzie spadała przez najbliższe dziewięć lub dziesięć godzin, aż do świtu. Gdy położył rękę na kierownicy, przesunął ciężar zeszywniałego z zimna ciała i motor wpadł w poślizg. Jechał zaledwie dwadzieścia na godzinę, a światła Harleya tańczyły szeroko po śniegu i lodzie, gdy brał zakręt. Omal nie stracił kontroli nad motorem. Jego ręce mocowały się z kierownicą, usiłując wyprowadzić maszynę z poślizgu. Wyciągnął nogi, podpierając się i balansując. Pozwolił, aby motor wyslizgnął się spod niego, a wtedy skoczył i przekoziółkował na drodze. Harley przeleciał w poślizgu w poprzek szosy i zatrzymał się na śnieżnej zaspie po prawej stronie. John upadł płasko na oblodzoną ziemię. Podniósł głowę i otrząsnął się. Wstał podpierając się na rękach. Prawą ręką zdjął okulary. Zdał sobie sprawę ze zmęczenia, które szybko przechodziło w wyczerpanie. Do tego mróz - to mogło mieć fatalne skutki. Powoli i ostrożnie podszedł do motoru. Maszyna leżała w zaspie, która złagodziła uderzenie. Najważniejsze, że Harley nie był uszkodzony.

- Na szczęście - mruknął do siebie.

Wyłączył stacyjkę. Schował gogle do wewnętrznej kieszeni kurtki i mrużąc oczy przed białą śniegu rozejrzał się dookoła. Potrzebował schronienia. Spostrzegł, że na wschodzie chmury miały dziwny odblask. Promieniowanie? Pokręcił przecząco głową, odpędzając tę myśl. Byłby już jedną nogą w grobie, gdyby śnieg padający na niego był radioaktywny. Później będzie się tym martwił. Choć chmury przesuwały się z wiatrem, odblask pozostawał, jak gdyby emanował z ziemi. W normalnych czasach uznalby to za poświatę miasta. Tak, miasta. Wyglądało na odległe o dwie lub trzy mile. Jednakże z powodu ciemności, gęstego śniegu i niskich chmur mógł źle ocenić odległość. Włożył prawą rękawiczkę i poruszył w niej zdrętwiałymi palcami. Miał dwie możliwości. Przygotować schronienie dające nikłą osłonę przed wiatrem i żadnej przed zimnem, lub jechać do źródła światła. Około pół mili wcześniej minął boczną drogę, która najprawdopodobniej tam prowadziła. Kierunek wydawał się ten sam, chociaż górską drogą, krętą jak wstążka na świątecznej choince, mogła prowadzić donikąd. Przy takiej drodze powinny być farmy, domy i Rourke zdecydował się na jazdę w tym kierunku. Wzdłuż tej drogi miał największe szansę na schronienie, choć zasy były tam większe. Podniósł Harleya, wsiadł na niego i zapalił. Silnik zahuczał. Bardzo wolno dodawał gazu. Tyłem wyprowadził maszynę z zasy i łagodnym łukiem zawrócił.

Musi pamiętać, aby jechać powoli...

## ROZDZIAŁ IX

Przybywało coraz więcej bandytów. Sarah zaczęła zastanawiać się, czy nie jest to pewnego rodzaju zlot. Obudziła dzieci. Potem, najciszej jak mogła, sprowadziła je wraz z końmi w dół wzniesienia, jak najdalej od obozowiska gangsterów. Na dole zamieć wzmogła się. Sarah prowadziła Tildie. Zastanawiała się, czy to była właściwa decyzja. Co zrobiłby John? Czy...?

- Mamo?

Potrząsnęła głową i, zmuszając do uśmiechu, odwróciła się.

- Co się stało z Annie? Zimno jej?

- Nie, przytulam ją do siebie. Nie jest jej...

- Zimno mi - Annie przerwała Michaelowi. - Zimno mi, zimno mi.

- Zwolnij, Michael - powiedziała do syna, chcąc, aby ściągnął cugle Sama. Zgadywała, że jemu też było zimno.

- Stój! - zatrzymała Tildie i podeszła do dzieci.

Zdjęła koc, który miała na ramionach i owinęła w niego Annie i Michaela.

- Ale teraz tobie będzie zimno, mamo - zaprotestował Michael.

- Nie, nie będę kłamała i przyznam, że było mi za ciepło, a teraz będzie mi w sam raz - powiedziała odwracając się do Annie.

Włożyła rękawiczki. Wiedziała dobrze, że to niewiele pomoże. Koce służyły tylko do zatrzymywania ciepła, same go nie dawały.

Dzieci najwyraźniej traciły swoje ciepło znacznie szybciej. Znów odczuła brak Johna przy sobie. Był mistrzem w różnych dziedzinach i specjalistą od przetrwania w niskich temperaturach.

Ponagliła Tildie.

- Zostańcie tutaj na minutę. Wjadę na wzgórek. Może uda mi się zobaczyć, gdzie jesteśmy - powiedziała do syna.

- Możemy też pojechać - upierał się Michael.

- Dobrze, ale zostańcie trochę z tyłu. Nie ma sensu nadwerężyć Sama bardziej niż to konieczne.

Pojechała w kierunku wysokich sosen. Czuła na udach zimny dotyk swego zmodyfikowanego AR-15, który leżał w poprzek siodła. Jeśli był to zlot bandytów, to mogą właśnie przejeżdżać przez ten teren. Ponaglając Tildie kolanami, a lewą ręką trzymając cugle, prawą chwyciła mocno AR-15.

- No jedź, Tildie, jeszcze tylko kawałeczek - szepnęła łagodnie Sarah.

Obejrzała się do tyłu. Michael i Annie jechali powoli, tak jak ich prosiła. Chłopiec był podobnie jak ojciec uparty, chwilami arogancki, ale odpowiedzialny. Mężczyzna, na którego mogła liczyć bardziej, niż się tego spodziewała. Kusiło ją, by krzyknąć do dzieci, żeby oszczędziły Samowi podjazdu pod górę. Jednak zrezygnowała z tego zamiaru. Jeśli w pobliżu byli bandyci, to nie mogłaby ich dojrzeć.

Brwi miała oblodzone, bo deszcz ze śniegiem zaciął prosto w twarz.

Wjechała na wierzchołek pagórka i zatrzymała konia.



Za wzniesieniem płynęła rzeka Savannah; nagle zorientowała się, gdzie jest. Jezioro Hartwell powinno być niedaleko. W oddali dostrzegła tamę. John zabrał ją kiedyś z dziećmi na zwiedzanie tamy. Później kilka razy przyjeżdżali tu wszyscy razem, aby się kąpać. Myśl o kąpielu w jeziorze teraz zmroziła ją. Przeszył ją dreszcz, gdy przypomniła sobie, jak leżeli półnaczy i mokrzy nad wodą, a John dotykał jej ciała. Dzieci pluskały się na płyceźnie.

Odwróciła się i chciała krzyknąć do Michaela, że wszystko w porządku. Wtem Tildie stanęła dęba i odrzuciła Sarah w tył siodła. Karabin upadł w śnieg tuż przed przednimi kopytami konia. Spojrzała na prawo. Spomiędzy sosen wybiegli mężczyźni i kobiety w postrzępionych odzieniach, pokryci śniegiem, z pistoletami i karabinami w dłoniach. Z ruchów ich ust można było wyczytać przekleństwa i groźby.

- Cholera! - krzyknęła spinając Tildie i usiłując odzyskać kontrolę nad sytuacją. Gdy już uspokoila klacz, podniosła karabin. Zdrętwiałym z zimna kciukiem prawej ręki przesunęła przełącznik na pozycję automatyczną. Wskazującym palcem pociągnęła za spust. Krótka seria i plamy krwi zaczerwieniły ośnieżoną pierś pierwszego mężczyzny. Padł do przodu, ciągle trzymając w dłoniach siekierkę. To nie byli bandyci. Byli wygłodzonymi ludźmi. Strzeliła ponownie, tym razem w mężczyznę celującego w nią ze strzelby. Trafiła go w twarz i w szyję. Krzyknęła do dzieci:

- Michael, uciekajcie! Zabierz stąd Annie!

Sarah ścisnęła piętami przerażonego konia. Tildie skoczyła w dół pagórka. Jakaś kobieta ruszyła w jej stronę z nożem w kościstej dłoni. Trzymała go jak kołek, który zamierzała wbić w czyjeś serce. Sarah znów pociągnęła za spust swego AR-15. Kule odrzuciły ciało kobiety do tyłu. Na jej wyświechtanym ubraniu pojawiły się czerwone plamy, skuliła się i upadła. Sarah wiedziała, czego chcieli ci ludzie: konia, aby go zjeść, broni oraz życia jej i dzieci.

- Michael, uciekaj! - krzyknęła znowu, ściskając kolanami Tildie.

Nagle gałęzie sosny zatrzęsły się i po lewej stronie dostrzegła w ciemności, na tle śnieżnej bieli, mężczyznę, który biegł ku niej. W jego prawej ręce spostrzegła maczetę. Rzucił się do konia, zastępując mu drogę. Tildie stanęła dęba. Kobieta mocniej ściągnęła cugle, a maczeta prześlizgnęła się po szyi zwierzęcia.

Sarah cofnęła się, gdy mężczyzna ponownie wziął potężny zamach. Lewą ręką, w której wciąż trzymała bezużyteczne cugle, sięgnęła w dół i chwyciła Tildie za uzdę. Ponownie ścisnęła ją kolanami.

- Naprzód! - koń skoczył do przodu. Mężczyzna jeszcze raz świsnął maczetą i upadł, potracony przez zwierzę. Sarah obejrzała się. Zdażył wstać i gonił ją. Puściła cugle i kurczowo chwyciła się grzywy pokrytej skorupą lodu. Uderzyła klacz po bokach kolanami.

- Dalej, Tildie, dalej! - ponagliła ją. Zwierzę zareagowało, ruszając zwawiej przed siebie w dół pochyłości. Przed sobą widziała teraz Michaela i Annie na koniu. "Michael jechał na koniu Johna" - przemknęło jej przez myśl. Nagle dwie postacie ukazały się przed nimi. Chwyciła za lejce. Michael cofnął konia. Ujrzała błysk i jednocześnie rozległ się krzyk. Chłopiec miał nóż. Skąd go wziął? Jeden człowiek przewrócił się, drugi próbował ściągnąć dzieci z siodła. Sarah szarpnęła Tildie za grzywę. Zwierzę zwolniło, ślizgając się po śniegu. Prawą ręką przyłożyła karabin do ramienia, a palcem sięgnęła do cyngla. "Boże, dopomóż mi wycelować" - westchnęła. Pociągnęła za spust, gdy Tildie zatrzymała się. Mężczyzna wyciągający ręce do Michaela i Annie zgiął się w pół i upadł.

- Jedź dalej, Michael! - krzyknęła.

Koń wyrwał do przodu, gdy chłopiec uderzył go piętami. Sarah spięła swoją klacz i ruszyła za

nimi. Z tyłu usłyszała strzały. Tildie znów poślizgnęła się na lodzie. Kobieta poczuła, jak koń ugina się, być może zraniony. Zeskoczyła w śnieg. Upadając poczuła ból w plecach. Jej karabin ślizgał się po lodzie, zaczepiwszy się jakoś o cugle Tildie. Sarah przetoczyła się na brzuch i krzyknęła:

- Nie!

Podniosła się na kolana. Tęgi mężczyzna z maczetą, który wcześniej zaatakował ją pomiędzy sosnami, zbliżał się. Odwróciła się. Klacz nie była nawet zadraśnięta. Sarah wstała i pobiegła tam, gdzie był koń i karabin, lecz nagle poślizgnęła się i upadła. Broń była wciąż kilka stóp przed nią. Kobieta przekręciła się na bok, sięgając pod wełniany płaszcz i koszulę po "czterdziestkę piątkę". Wyciągnęła ją prawą ręką, odciągając jednocześnie kciukiem kurek. Mężczyzna z maczetą zawył i rzucił się w jej kierunku. Wskazującym palcem nacisnęła spust. Masywne ciało napastnika potoczyło się ku niej.

"Dlaczego inni ludzie wyglądali na zagłodzonych, a ten jest tłusty?" - zastanowiła się.

Gdy sturlał się jeszcze bliżej, zobaczyła, że miał na sobie naszyjnik z ludzkich zębów.

- Ty bydlaku! - wrzasnęła, gdy wyciągnął ku niej głowę i zaczął się czołgać, usiłując dosięgnąć ją ręką ociekającą krwią.

Strzeliła z pistoletu w jego twarz. Raz, drugi i trzeci. Odczołgała się do tyłu, trzymając rewolwer wyciągnięty przed siebie w kierunku nalanej twarzy, która napawała ją obrzydzeniem.

- Bydlę! - krzyknęła.

Usłyszała rżenie Tildie. Przetoczyła się na brzuch i sięgnęła po AR-15. Wyciągnęła go przed siebie i strzeliła w kierunku innych zbirów, którzy zbliżali się ku niej. Wystrzeliła jeszcze parę razy. Przewiesiła karabin przez plecy i chwyciła klacz za strzemię. Dosiadła konia, trzymając się grzywy i siodła. Tildie zachwiała się i zarżała, po czym ruszyła w dół. Sarah uniosła jeszcze swój AR-15, strzeliła kilka razy w kierunku tamtych ludzi. Zamek pozostał otwarty, nie było już naboji.

- Naprzód! - krzyknęła.

Klacz skoczyła do przodu, gdy kobieta pociągnęła ją za grzywę. Stała dęba, zachwiała się i ruszyła. W oddali stał Michael z Annie. Czarna grzywa konia smagała chłopca po twarzy. Annie przytuliła się do pleców brata.

Sarah wsparła się na Tildie.

- Zabierz mnie stąd - wyszeptała i poczuła, jak łzy spływają jej po twarzy.

- Zabierz mnie stąd - powtórzyła.

## ROZDZIAŁ X

Zadecydował, że nie przysporzy to większej chwały Matce Rosji. Kiedy major Borozeni wszedł do opuszczonego domu na farmie, wydawało mu się, że usłyszał szelest - znak obecności szczurów. Odwrócił się do swego sierżanta mówiąc:

- Krasny, każcie dokładnie wysprzątać to miejsce. Nie mam zwyczaju sypiać ze szczurami.

- Tak jest, towarzyszu majorze - zsalutował sierżant. Borozeni kiwnął zwyczajnie głową i wyszedł. Jego ludzie ustawili się, zajmując swoje miejsca. Wschodnie obszary Stanów Zjednoczonych były ogarnięte przez potworne żywioły. Wszędzie szerzyła się rebelia. Począwszy od ucieczki żołnierzy Ruchu Oporu w Savannah, prowadzonych przez kobietę, która mu się wymknęła, bunt rozprzestrzenił się wzdłuż południowo-wschodniego wybrzeża.

Cień uśmiechu przemknął po spękanych wargach majora, gdy otrzepał płaszcz ze śniegu. Ściągnął rękawiczki i wyjął papierosa.

- Wszystko gotowe, towarzyszu majorze - powiedział sierżant Krasny salutując.

Gdy Borozeni wchodził do domu, minął go oddział żołnierzy z latarkami.

- To dopiero kobieta, Krasny.

- Kto, towarzyszu majorze?

- Ta Amerykanka, która zdołała zbiec. Chciałbym ją spotkać i zobaczyć, jak wygląda bez karabinu maszynowego czy pistoletu w rękach. I poza tym, gdy nie będzie cała przemoczona.

- Tak jest, towarzyszu majorze.

Borozeni kiwnął głową, drepcząc w miejscu, aby nie zmarzły mu nogi. Pomimo zimna niezbyt odpowiadał mu dom, w którym miał schronić się przed śnieżycą. Później miał zabrać swoich ludzi do Knoxville w Tennessee. Zastanawiał się, co było w tym mieście? "Ach tak, były tam kiedyś Targi Światowe" - przypomniał sobie. Był wtedy na Środkowym Wschodzie, ćwiczył partyzantów. Jednak niezbyt mu się to podobało. Nigdy nie lubił Środkowego Wschodu, chociaż mógłby się przyzwycząić do gorącego klimatu. Jakaś kobieta siedząca w ciężarówce opowiadała o uciekinierce. - Sarah - wymówił cicho jej imię, żeby sprawdzić, jak brzmi. Podobno była czyjąś żoną. Może jednego z więźniów, którzy zostali zwolnieni? Wątpił w to. A może była wdową po jednym z rozstrzelanych mężczyzn? Zastanawiał się, czy byłaby zdolna zabić go, rosyjskiego oficera, jednego z odpowiedzialnych za wojnę. Rzucił papierosa w śnieg. Najprawdopodobniej była teraz bezpieczna w ramionach swego męża... albo nie była. Uśmiechnął się sarkastycznie. Przedzieranie się przez śnieg, zablokowane drogi, lód, mróz...

Byli gdzieś w Karolinie Południowej. Nie mógł zapamiętać nazwy miasta, które mieli przed sobą. Zapalił następnego papierosa. Przyglądał się, jak jasny płomień zapalniczki tańczył na biało-niebieskim tle śniegu. - Sarah - wyszeptał znowu. Był to z pewnością typ kobiety, którą zawsze chciał spotkać i której nigdy więcej nie zobaczy...

Pokręcił głową. Uśmiechnął się smutno i odwrócił, ruszając w kierunku domu.

## ROZDZIAŁ XI

Natalia studiowała mapę. Jeśli pogoda się polepszy, to będą w środkowej Indianie za pół dnia. Mogła przekonać Paula, aby ja tam zostawił. Patrzyła w skupieniu na mapę. Ponownie usłyszała jakiś dźwięk za zasłoną. Sięgnęła do sznurowadła śpiwora, w który była opatulona. Rozwiązała je. Odpięła powoli kaburę na prawym biodrze, starając się zminimalizować trzask, który mógł być dobrze słyszalny w ciszy przerywanej tylko wyciem wiatru. Spojrzała na śpiącego Rubensteina, wahając się, czy go obudzić. Lecz jeśli ten hałas nie był pomyłką, utwierdzi go tylko w przekonaniu, że powinien ją eskortować aż do północnej Indiany. Chciała, by Paul pojechał już do Johna i pomógł mu odnaleźć żonę z dziećmi. Było w tym również pragnienie pomocy Rourke'owi, aby zachować go przy życiu. Tylko czy dla niej?

Potrząsnęła głową i wyjęła rewolwer z kabury. Był to dziwny kolt, podobnie jak ten na lewym biodrze. Oba, po prawej stronie spłaszczonych luf, miały wygrawerowane Amerykańskie Orły. Były to oryginalne, zrobione z nierdzewnej stali, Smith and Wesson - Model 686s, konstrukcji Magnum 357. Na lewej zaś stronie znajdowała się inskrypcja: PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY RENO, PA. - BY RON MAHOVSKY. Działały bardzo sprawnie. Miały zaokrąglone kolby, były dokładnie szlifowane i perfekcyjnie ukształtowane. Rourke przed Nocą Wojny mówił jej, że dobrze znał tego rusznikarza. Nigdy nie miała lepszych pistoletów. Amerykańskie Orły. Mahovsky zrobił je przed wojną dla obecnego prezydenta, Sama Chambersa, on z kolei dał je Natalii po ewakuacji Florydy. Uśmiechnęła się w duchu, przypominając sobie jego słowa:

“Nie mogę dać amerykańskiego medalu sowieckiemu szpiegowi. Zresztą wyrosliśmy z medali. Proszę jednak, aby przyjęła to pani dla własnej obrony.”

Wzięła je razem z kaburami, które Chambers polecił wykonać. Rourke znalazł dla niej pas idealnie przylegający do bioder.

Znowu usłyszała szelest i to wyrwało ją z zamyślenia. Nie nakładając rękawiczek, wyjęła drugi rewolwer i wstała. Szturchnęła Rubensteina lewą nogą. Przewrócił się na bok i spojrzał na nią. Podniosła palec do ust, wskazując jednocześnie ucho. Paul zmrużył oczy i przytaknął ze zrozumieniem, powstrzymując ziewanie. Odsunął się od ogniska, chwycił swój wysłużony karabin i przemieścił się na prawo. Powoli odciągnął zamek. Jednak w ciszy zabrzmiało to głośno, za głośno. Gestem ręki uzbrojonej w rewolwer dała mu znać, że obojdzie podporę mostu dookoła. Kiwnął głową. Pomyślała z uznaniem, iż jest pojętny. Śpiwór zsunął się jej z ramion. Jednym ruchem głowy odrzuciła do tyłu włosy, które rozwiewał wiatr. Obawiała się, że byli to bandyci. Z rosyjskimi żołnierzami nie byłoby problemu. Miała przy sobie identyfikator i mówiła po rosyjsku, a więc mogła udowodnić, kim jest, a o Paulu skłamać. Ale bandyci...

Podjęli ryzyko rozpalając ogień, lecz w przeciwnym razie Paul miałby odmrożone stopy. Nie leczona rana na lewej nodze mogłaby wywołać gangrenę. Nie mogła dopuścić, żeby Paul umarł lub został kaleką. Zbyt trudno znaleźć prawdziwego przyjaciela. Cokolwiek miałoby się stać, ognisko było tego warte, było po prostu konieczne.

Zdrętwiała, gdy ponownie usłyszała szelest. Przywarła płasko plecami do betonowej podpory mostu. Teraz słyszała wyraźniej. Ktoś mówił szeptem. Oznaczało to, że w ciemnościach jest co najmniej dwóch ludzi. Stała zziębnięta, opierając się o beton. Obydwa pistolety były gotowe do strzału. Błyszczały trochę w nocy, ale lubiła połysk polerowanej, nierdzewnej stali o dużej trwałości. - Trwałość - mruknęła pod nosem. Czym była trwałość w dzisiejszych czasach? Dopiero co powiedziała "good bye" mężczyźnie, którego kochała i którego już nigdy nie zobaczy ani nie zapomni. Wkrótce pożegna się ze swym przyjacielem, Paulem. Usiłowała przypomnieć sobie swych dawnych przyjaciół. Tatiana ze szkoły baletowej. Dzielili się z nią największymi sekretami. Tatiana była Żydówką, tak jak Paul. Jej ojciec popełnił jakieś wykroczenie, do tej pory Natalia nie wie jakie, i Tatiana nigdy nie powróciła już do klasy.

Natalia próbowała odtworzyć w pamięci obraz swoich rodziców. Było to jednak niemożliwe. Pamiętała tylko, co powiedział jej o nich wujek, który ją wychował. Jej ojciec był lekarzem, tak jak John, matka była baleriną, ale oboje umarli. Wujek Ismael nigdy do końca nie wyjaśnił jej w jakich okolicznościach. Zastanawiała się, czy - gdy umrze - ci, których kochała, dowiedzą się o tym. Nie była tego pewna.

I znowu hałas. Tym razem nie był to szept, lecz szcęk broni, a ściślej odgłos otwieranego zamka karabinu lub pistoletu maszynowego. Nie potrafiła ustalić tego z całą pewnością. Być może był to Paul ze swoim MP-40, którego uparcie nazywał "Schmeisserem". Lecz dźwięk dobiegł skądinąd. Zacisnęła dłonie na drewnianych uchwytach rewolwerów. Ruszyła spod mostu. Szła powoli do końca ściany. Rozejrzała się wokół. Dostrzegła jasny blask ogniska i cztery osoby - mężczyzn lub kobiety - nie mogła rozpoznać. W swoim życiu zabiła już dwoje ludzi.

Zbliżali się do zasłony z karabinami w dłoniach. Pomyślała, że może być ich więcej z tyłu, tam gdzie poszedł Paul. Ale on z pewnością ich zobaczy, zawsze miał dobre wyczucie. W przeciwnym razie byłaby okrażona. Wyszła zza filaru. Blask dalekiego ogniska odbijał się od rewolwerów.

- Czego chcecie?! - krzyknęła.

Mężczyzna stojący bliżej i uzbrojony w karabin zwrócił się do niej.

- Wszystkiego co masz, laleczko - zaśmiał się.

- Nie ma się z czego śmiać - powiedziała spokojnie.

Mężczyzna obrócił karabin w jej kierunku. Natalia natychmiast wypaliła z obydwu rewolwerów. Kule odrzuciły jego ciało do tyłu, w śnieg. Gdy padał, karabin wystrzelił w górę. Druga postać wycelowała w nią. Dostrzegła bujną czuprynę - to nie był mężczyzna, lecz kobieta. Natalia strzeliła najpierw z lewego, a potem z prawego kolta. Ciało kobiety skrzyło się, gdy padała, a karabin upadł obok w śnieg. Pozostała dwójka okrążyła ogień. Natalia skoczyła na stos rur kanalizacyjnych po lewej stronie. Kule zaświstały w mroźnym powietrzu, odbijając się od betonu. Wysunęła prawą rękę, oddając dwa strzały. Schowała się za rurami i wyrzuciła na dłoń dwie kule z prawego rewolweru. Pociski waliły nieprzerwanie. W kieszeni płaszcza miała ładownicę typu Safariland, z sześcioma nabojami. Chwyciła ją, przykładając do bębena. Naboje szybko wypełniły komory. Przeładowując prawy rewolwer oddała cztery strzały z lewego. Rozległ się krzyk, po którym nastąpiła prawdziwa kanonada. Z prawej strony dobiegł ją terkot karabinu małego kalibru. "Paul ze Schmeisserem" - pomyślała. Szybko załadowała rewolwer w lewą rękę i wsadziła go do kabury. Wybiegła zza rur, strzelając z prawego kolta do najbliższego napastnika, i skryła się za betonową podporą. Człowiek upadł, ale nie wstrzymał ognia.

- Ranny - wyszeptała do siebie.

Paul strzelał na drugim końcu długiego przesła. Na chwilę ucichł jego karabin. Natalia podeszła do zasłony z gałęzi. Rubenstein był uwikłany w walkę z trzema mężczyznami. Usłyszała znów jego karabin maszynowy, ale nie mogła go dojrzeć. Jeden z mężczyzn wpadł w ognisko i wił się z bólu, bo ubranie zaczęło na nim płonąć. Natalia strzeliła mu w głowę, aby skrócić agonię. Podeszła bliżej Paula. Wtem obróciła się i - balansując na prawej - lewą nogą dwukrotnie kopnęła w głowę jednego z dwóch pozostałych oprychów. Upadł do tyłu, uderzając o beton. Zobaczyła Paula. Jedną ręką przytrzymał karabin, a drugą swego przeciwnika, który chciał go dźgnąć nożem w nadgarstek. Paul odrzucił karabin i pięścią uderzył znacznie większego od siebie napastnika w brzuch. Instynkt podpowiedział Natalii, co ma robić. Odwróciła się i wystrzeliła do dwóch zbliżających się złoczyńców. Z powrotem ruszyła w stronę Paula. Nie miała dość czasu, aby wyciągnąć rewolwer z lewej kabury. Sięgnęła więc do prawej kieszeni bluzy po Bali-Song. Kciukiem odpięła zatrzask i wyjęła nóż szybkim ruchem. Spoza zasłony ruszył ku niej mężczyzna z karabinem. Nierdzewne ostrze błysnęło w świetle ogniska, obracając się w locie. Mężczyzna z karabinem zatrzymał się, rozłożył ręce i upuścił broń. Nóż ugrzązł aż po rękojeść w jego piersi. Ciało draba jakby zawisło przez moment w powietrzu, po czym runęło bezwładnie w ognisko. Gdy Natalia sięgnęła po rewolwer, poczuła w powietrzu swąd palonego ciała. Rubenstein! Zobaczyła go. Lewą ręką wciąż przytrzymał nadgarstek osiłka. Nagle cofnął prawą rękę i machnął nią z całej siły, roztrzaskując nos swemu napastnikowi. Nóż wypadł bandycie z ręki. Paul wyjął zza pasa swój pistolet High Power i strzelił mu prosto w brzuch. Ciało mężczyzny upadło jak kłoda.

- Chyba jest jeszcze dwóch na zewnątrz - powiedziała Natalia przerzucając rewolwer do prawej ręki i okrążając filar. Pobieгла szybko do rogu ściany. Jeden z napastników zaczął strzelać, jego karabin lśnił w ciemnościach. Chwyciła rewolwer w dwie ręce i strzeliła dwukrotnie. Kule odrzuciły jego głowę do tyłu, upadł. Karabin wystrzelił raz jeszcze, niepotrzebnie, w niebo. Obróciła się i wygarnęła do drugiego mężczyzny. Usłyszała jednocześnie terkot karabinu maszynowego Paula. Ciało ostatniego napastnika skręciło się i wygięło naszpikowane ołowiem.

- Niedobrze - powiedziała i usłyszała głos Paula:

- Tak. Tyle istnień straconych na darmo.

- To też - powiedziała - ale z taką ilością dziur żaden z ich płaszczy nie przyda się nam.

Ruszyła w stronę zasłony, wołając:

- Sprawdź, czy wszyscy są martwi, a ja znajdę mój rewolwer i nóż.

Poczuła nagle dotkliwy chłód.

- Jeśli któryś będzie żywy, powiedz mi - dodała.

Podniosła swego kolta, nie było widać na nim żadnych uszkodzeń. Mimowolnie wyjęła pozostałe kule z bębena, po czym naładowała go do pełna. Uzpełniła również naboje w drugim rewolwerze i obydwie włożyła do kabur. Następnie drżącymi rękoma zapaliła papierosa.

- Mam tego dosyć! - krzyknęła.

## ROZDZIAŁ XII

John Rourke spojrział na Rolexa. Zewnętrzna strona szybki zegarka była zaparowana, więc przetarł ją rękawicą. Była ósma trzydzieści. “Godzina w sam raz na party. Środek wieczoru” - pomyślał. Oparł się o pień sosny i patrzył w dół. Wiatr ustał trochę, mógł więc ściągnąć golf zakrywający mu twarz i odpiąć skórzaną kurtkę. Ustawił soczewki lornetki Bushnell Armored i śledził przez nią dolinę. Miasto, zwykle miasto, nic w nim nie uległo zmianie. Na rynku grał zespół ubrany w zielono-niebieskie kostiumy. Odgłosy muzyki były z tej odległości ledwie słyszalne. Dzieci tańczyły w tłumie widzów otaczających kapelę. Na drugim końcu miasta jechał samochód. Przez chwilę Rourke zastanawiał się, czy aby nie zwariował. Niebawem jednak doszedł do siebie. On był normalny - ale to, co widział, nie było normalne. Wziął do ust jedno ze swych ciemnych cygar i przesunął je językiem w lewy kącik ust. Lornetka zadyndała na pasku. Znalazł zapalniczkę, pstryknął i zanurzył koniec cygara w jej płomieniu. Zaciągnął się dymem, aż poczuł go w płucach.

Razem z Paulem i Natalią często rozmawiali o tym, że świat zwariował. A poniżej w dolinie rozciągał się skrawek świata, który pozostał nie zmieniony. Czy to było szaleństwo? Zamknął oczy, wsłuchując się w muzykę... Miał rozpiętą kurtkę, ale nie zdjąłby jej teraz, nawet gdyby było gorąco. Skrywała ona dwa nierdzewne Detonics’y. Zdecydował się, że wjedzie na swym Harleyu do miasta. Python i kabura były schowane do pojemnika, a CAR-15 zawinięty w koc. Tylko bardzo sprytna i ciekawska osoba zdołałaby się domyślić, że jest to pistolet.

Minął małą szkołę. Teraz słyszał muzykę znacznie wyraźniej. Szkoła mogła pomieścić około trzystu uczniów, ocenił szybko. Ze wzniesienia widział znaczną część doliny, lecz szczegóły zacierały się. Teraz mógł obejrzeć miasto dokładniej. Żadnych śladów plądrowania, bombardowania czy strzelaniny. Nic tutaj nie wskazywało na to, że w ogóle toczyła się wojna. Noc Wojny jakby nie dotknęła tego miejsca. Poczł się jak brytyjski bohater Hiltona, wjeżdżający do Shangri-La i zostawiający za sobą zamieć.

- Burza - szepnął do siebie. Nie było wiadomo, czy miał na myśli żywioł natury, czy też ten rozpętany przez ludzi...

Zatrzymał swego Harleya przed znakiem “stop”. Po przeciwnej stronie skrzyżowania stał policyjny samochód. John poprawił dłonią włosy. Następnie, ruszając z miejsca, machnął ręką i kiwnął głową do policjanta. Ten z uwagą popatrzył na przejeżdżającego Rourke’a, ale nic nie powiedział. John żuł niedopałek cygara. Dojechał do końca dzielnicy willowej wyglądającej jak reklama z prospektu, a potem skręcił w lewo, zwalniając przed znakiem “uwaga na drogę z pierwszeństwem przejazdu”. Jadąc w stronę oświetlonego placu, dostrzegł po prawej stronie bibliotekę publiczną. Na schodach przed budynkiem siedział młody chłopak z dziewczyną ubraną w kolorową sukienkę. Rozmawiali. Chłopak spojrział na Rourke’a, który kiwnął do niego głową. Minął pocztę, przy której ulica prowadząca do rynku skręcała. Zatrzymał Harleya przy barierce z łańcuchów, nie przestając się dziwić temu, co widział. Wszystko wyglądało tak jak z góry. Kapela grała, młodzi ludzie tańczyli przytupując, a dzieci biegały i bawiły się, ciągnąc swoje matki. Na

placu było około dwustu osób. Rourke wyłączył stacyjkę motoru. Zespół grał, a on usiadł i pogрузzył się w tym dziwnym nastroju. Słuchał muzyki granej przez kapelę, ale słyszał zupełnie inną, słyszał piosenkę, którą wraz z żoną nazywali "ich" piosenką. Tańczyli przy niej wiele razy. Patrząc na twarze obcych dzieci, widział twarze Michaela i Annie. Tym, czego nie mógł powstrzymać, co odczuwał najdotkliwiej, była tęsknota za światem, który już nie wróci. Sarah patrzyła na niego, uśmiechała się i wszystko mu wybaczała...

Niebiesko-zielona kapela skończyła grać i w głośnikach dał się słyszeć szum płyty. Gdy wreszcie ustał zgrzyt igły o plastik, zabrzmiała muzyka country. Przez lukę w tłumie zobaczył jeszcze więcej dzieci. Dziewczynki były ubrane w zielono-białe bluzki i króciutkie spódniczki, spod których wystawały halki. Najstarsze z dziewczynek wyglądały na około dwanaście lat, zaś najmłodsze były mniej więcej w wieku Annie, a więc miały pięć lat. Chłopcy mieli na sobie zielone spodnie, białe koszule i krawaty. Było ich kilku, stali w szeregu z boku. Zaczęli tańczyć. Rourke poczuł jakiś smakowity zapach. Odwrócił się. Po lewej stronie, na skraju placu stała błyszcząca ciężarówka. Wyglądała jak te, które przywożą do fabryk kawę, pączki i hamburgery. Zobaczył napis powyżej okienka z ladą: "COKE". Ruszył w kierunku ciężarówki. Po drodze minęła go mała dziewczynka trzymająca w prawej ręce na wpół zjedzonego hot-doga. Buzię miała wysmarowaną musztardą. Odruchowo sięgnął do kieszeni. Wciąż miał przy sobie portfel, tylko czy coś w nim było? - Tak - mruknął pod nosem. Coś podpowiedziało mu, żeby nie pozbywać się pieniędzy. Wyciągnął dziesiątkę i podszedł do ciężarówki.

- Słucham pana?

- Dwa hot-dogi i coke. Albo trzy hot-dogi.

- Pan jest nowy w mieście, prawda? Ma pan tu krewnych?

- Z jakiej to okazji? - zapytał John, zamiast odpowiedzi wskazując na rynek.

- Czwarty Lipca, proszę pana. Nie ma pan kalendarza?

- Ja... chodziłem po górach i trochę straciłem poczucie czasu.

- Proszę bardzo - uśmiechnął się sprzedawca i podał mu trzy hot-dogi w małym, białym kartoniku.

John dał mu dziesięć dolarów, wziął też coke i odszedł. - Hej! Rourke odwrócił się.

- Zapomniał pan o reszcie!

- Niech pan ją zatrzyma - powiedział mu. - Może później zechcę jeszcze jednego.

Rourke zgasił papierosa w popielniczce stojącej obok. Przeszedł przez plac najkrótszą drogą. Znalazł drzewo, oparł się o nie i słuchał muzyki, obserwując tańczące dzieci. Ugryzł pierwszego hot-doga, a coke postawił na ziemi. Do Czwartego Lipca w rzeczywistości było jeszcze wiele czasu. Człowiek, który sprzedawał hot-dogi też nie był stąd. Mówił zwyczajnie per "pan", a nie "wy", jak to było w zwyczaju w tych stronach. Rourke uznał, że ów człowiek pochodzi ze Środkowego Zachodu, sądząc po akcencie. A może to byli Rosjanie? Taki rodzaj pułapki? Ale dla kogo? Miasto, tańce, Czwarty Lipca... Jeśli on był normalny, to oni wszyscy wręcz przeciwnie. Nie był szalony. Dotykając ręką poły kurtki, poczuł wypukłość i przypomniał sobie o pistoletach pod spodem. "Nie jestem szalony" - pomyślał. Hot-dogi były smaczne. Zaczął jeść drugiego, zapominając o swoim zmartwieniu. Mała dziewczynka tańczyła w kółko, tupiąc chodakami. Jediną rzeczą nie na miejscu była musztarda na brodzie...

Pociągnął łyk coli. Była to prawdziwa coke. Nie pił takiej już od... Wodził wzrokiem w tłumie, obserwując szczerze uśmiechnięte twarze. Tracił łokciem jakiegoś człowieka, a ten uśmiechnął się i



powiedział:

- Hej!

Było to uniwersalne powitanie na Południu. John nauczył się go dawno temu, gdy przeniósł się z Północy.

- Hej! - odpowiedział Rourke śmiejąc się, a człowiek dalej obserwował festyn.

Pojawiła się teraz grupa tancerzy ubranych na biało-czerwono. Dziewczęta i chłopcy w zielono-białych strojach stali na skraju tłumu, obserwując innych.

Rourke dostrzegł jedną nie uśmiechniętą twarz. Była to twarz kobiety wyglądającej ponętnie i zachęcająco. Zbliżył się do niej. Muzyka nagle ucichła. Konferansjer, gruby facet w kowbojskiej koszuli w biało-czerwoną kratę i słomkowym kapeluszu na głowie, powiedział coś do mikrofonu. John pociągnął jeszcze łyk ze swego kubka, po czym zwawo ruszył w kierunku kobiety o twarzy bez uśmiechu.

Puszczono wolną muzykę country, tłum przeredził się. John mijał ludzi schodzących na bok, niektórzy szli przytuleni parami, kołysząc się w rytm muzyki. Kobieta bez uśmiechu była najwyraźniej sama. Odwróciła się i chciała odejść. Rourke dopił resztę coke, a kubek wyrzucił do najbliższego kosza i zawołał:

- Hej!

Odwróciła się. Zatrzymał się kilka stóp przed nią i wykrztusił:

- Ja, eee...

- Chcesz zatańczyć? - uśmiechnęła się.

- O, właśnie - przytaknął John, podchodząc bliżej. Kobieta przewiesiła torebkę w zgięciu łokcia. Lewą ręką chwycił jej prawicę, a drugą objął ją w pasie. Miała około czterdziestki i była dosyć ładna, ale nie starała się być piękną za wszelką cenę. Jej usta uśmiechały się, ale oczy nie zmieniły wyrazu.

- Kim jesteś? - spytała przyjaźnie, pozwalając się objąć.

- John. Mam na imię John - odpowiedział.

- Masz ze sobą pistolet - wyszeptała przybliżając głowę. - Przeczytałam dużo kryminałów. Jestem bibliotekarką i wiem.

- Przeczytałaś za mało - powiedział łagodnie - mam przy sobie dwa.

- Oh, jesteś także dowcipny, John.

- Czy nikt tu nie słyszał o trzeciej wojnie światowej? - zapytał ją z uśmiechem, przybliżając się w tańcu do niebiesko-zielonej kapeli.

- Gdyby ktokolwiek usłyszał, John, że mówisz o wojnie, zdarzyłoby ci się to samo, co całej reszcie. Porozmawiamy o tym później, u mnie.

- Okey - przytaknął. Zastanawiał się, kogo miała na myśli, mówiąc o "całej reszcie". Trzymając w tańcu jej rękę, wyczuł puls. Był szybki i silny.

## Rozdział XIII

Nehemiasz Roźdiestwieński wysiadł z samolotu na podmokłą murawę pasa startowego.

- Pogoda jest wściekła - krzyknął do oficera KGB stojącego obok.

- Tak, towarzyszu pułkowniku - przytaknął mężczyzna i podał mu parasolkę, choć zimny deszcz i tak już go zmoczył. Roźdiestwieński obserwował niemalże rozbawiony, jak silny podmuch wiatru porwał parasolkę i wygiął druty na zewnątrz. Otrząsnął się i pobiegł przez kałuże do czekającego nań samochodu. Wsiadając zdążył przeczytać napis: "podmiejski". Był to rodzaj Chevroleta...

Jazda zajęła więcej czasu niż przewidywał, a nie mógł wziąć helikoptera. Jednak, gdy masywny Chevrolet zatrzymał się, pułkownik uśmiechnął się do siebie i pomyślał, że warto było się trudzić. Na masywnej bramie, która kiedyś była pancerna i odporna na bomby, paliły się światła reflektorów, a pomiędzy nimi znajdowała się ciemna dziura.

- Mt. Lincoln - szepnął Roźdiestwieński. - Prezydencki schron.

Wysiadł z samochodu prosto w błoto.

- Towarzyszu pułkowniku - powiedział troskliwy oficer, dołączając do Roźdiestwieńskiego.

- W porządku, Woskawicz, nie kłopotcie się błotem. Wszystko przygotowane?

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Wszyscy więźniowie zlikwidowani - uśmiechnął się oficer KGB.

- A szkoda. Mogli być przydatni.

- Wszyscy byli martwi, gdy przybyliśmy, towarzyszu. Zepsuł się system wentylacyjny. Ciała były... - młody człowiek nie dokończył zdania.

- Bardzo dobrze, tak więc wszyscy byli martwi... - Roźdiestwieński nie miał zamiaru drążyć dalej tego tematu.

- Mamy wejść do środka. Czy to bezpieczne?

- Tak, towarzyszu pułkowniku. - Wyciągnął spod płaszcza dwie maski przeciwgazowe.

- To jest na..?

- Ciała, towarzyszu pułkowniku, nie zostały jeszcze usunięte i...

- Rozumiem - kiwnął głową Roźdiestwieński. Poprawił palcami zmoczone włosy i ruszył w kierunku wejścia. Nie zasalutował, tylko lekko kiwnął głową. Miał na sobie cywilne ubranie. Zatrzymał się przed stalowymi drzwiami.

- Wyważyliście je?

- Otworzyliśmy je przy pomocy promieniowania cząsteczkowego. Broń ta została sprawdzona przez pułkownika Karamazowa. Myślę, że została przywieziona specjalnie w tym celu.

- Częściowo. Jest to bardzo śliska sprawa i nie możemy o tym tutaj rozmawiać. Najważniejsze, że poskutkowało - powiedział Roźdiestwieński patrząc na drzwi, które zrobiły na nim duże wrażenie. Cała centralna część podwójnych drzwi jakby wyparowała.

Znów poprawił sobie włosy i nałożył maskę. Wzdął policzki, a potem wypuścił powietrze, aby zassało maskę do środka. Młody oficer wręczył mu latarkę i ruszyli. Rzekł głośno, słysząc swój

stłumiony przez maskę głoś:

- Prowadźcie mnie, Woskawicz.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Młody człowiek był kapitanem i Roźdiestwieński pomyślał, że nie pozostanie nim długo.

- Dobrze się sprawujecie, Woskawicz. Możecie być pewni, że wasi przełożeni docenią to.

- Dziękuję, towarzyszu. - Młody człowiek ucieszył się. - Uważajcie tutaj, towarzyszu pułkowniku.

Mokra plama, moglibyście się poślizgnąć.

Roźdiestwieński przytaknął, patrząc przed siebie. Przed nimi rozciągała się laguna. Przynajmniej tak mu się wydawało, gdy patrzył w głąb ciemnej jaskini.

- Tu mamy łódki, towarzyszu pułkowniku. Amerykanie używali ich, jak sądzę, do patrolowania laguny. Przepłyniemy jedną z nich na drugą stronę. To było tylne wyjście dla obsługi. Główna droga do prezydenckiej siedziby jest...

- Wiem, Woskawicz. Ja też dokładnie przestudiowałem plan wtedy, gdy mogłem zaledwie pomarzyć o obejrzeniu tego miejsca. Weźmiemy jedną łódkę, Charonie. - Roźdiestwieński zaśmiał się ze swego żartu. Było tak, jakby miał być przewożony przez rzekę Styks.

Jednak Woskawicz nie został przewoźnikiem. Łódką popłynął sierżant KGB. Pułkownik wszedł do niej z brzegu laguny. Usiłował przypomnieć sobie angielskie nazwy tego, co widział. Nie byłaby to więc "laguna", lecz raczej "jezioro", gdyż jego głębokość zwiększała się stopniowo. Zastanawiał się, czy był to sztuczny zbiornik. Żaden z raportów wywiadowczych dotyczących Mt. Lincoln nigdy nie wskazywał na jego pochodzenie. Po bokach wielkiej łódki umieszczono rzędy małych światełek. Pomiedzy nimi błyskały latarki, które trzymali Roźdiestwieński i Woskawicz. W miarę rozszerzania się zbiornika, pułkownik doszedł do wniosku, iż musi on mieć około trzech czwartych mili szerokości. Wyprostował się wygodnie. Lubił przejażdżki łodzią, nawet w masce i przy sztucznym świetle. Pomyślał, że kiedy pewnego dnia wróci do Związku Sowieckiego jako bohater, sprawi sobie dom i łódź nad Morzem Czarnym. Jest tam wiele pięknych kobiet, a tak się składa, że piękne kobiety gustują we wpływowych oficerach KGB. A z pewnością byłby wpływowym oficerem, gdyby zdołał sprawdzić wszystkie domysły dotyczące "Projektu Eden" i wyeliminować to ostatnie zagrożenie ze strony USA. Skłaniał się ku najbardziej popularnym teoriom, według których "Projekt Eden" zawierał program zagłady. Jeśli więc miałyby dojść do skażenia, które swoim zasięgiem obejmowałoby cały glob, to z pewnością musi istnieć jakiś sposób jego dezaktywacji. Wynajdzie więc sposób dezaktywacji i zostanie bohaterem. To było proste. Wiedział nawet, gdzie szukać tego programu. W Mt. Lincoln znajdowało się pomieszczenie zawierające duplikaty najbardziej tajnych wojennych dokumentów, wyłącznie do wglądu prezydenta. Były one tutaj na pewno. I tutaj odnajdzie odpowiedź. Nagle poczuł, jak łódź napędzana silnikiem uderzyła o brzeg. Przejażdżka była skończona.

Roźdiestwieński poczuł się jak cmentarny złodziej, jak archeolog wkraczający bez skrępowań do grobowca wielkiego niegdyś faraona. Właściwie było to coś bardzo podobnego. Grobowiec ostatniego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Osobiście lekceważył tego Chambersa. Objął on władzę, lecz według raportów quislinga[1], Randana Soamesa, zrobił to niechętnie. "Władza nie została przekazana, tak jak innym prezydentom USA, zgodnie z pewnym osobliwym zwyczajem" - zastanowił się Roźdiestwieński i oświetlił latarką twarz z otwartymi ustami. Były to rozkładające się ciała żołnierzy US Marines. "Trzymać się wolnych wyborów i wierzyć, że masy wyłonią przywódców, którzy będą przed nimi odpowiedzialni" - rozmyślał.

- Nic dziwnego, że przegrali - wymamrotał.

- Słucham, towarzyszu pułkowniku? - spytał Woskawicz.

- Amerykanie ze swymi absurdalnymi ideami zasłużyli na klęskę.

Przemknęło mu jednak przez myśl, że sowieckie oddziały przegrupowały się obecnie, aby walczyć z Amerykańskim Ruchem Oporu na Wschodnim Wybrzeżu. Ich klęska nie była jeszcze ostatecznie przesądzona.

Roźdiestwieński szedł nad ciałami, patrząc przed siebie w głąb korytarza, gdzie przypuszczalnie znajdowało się poszukiwane pomieszczenie. Ponownie przyszła mu na myśl analogia z egipskimi piramidami. Ci marines, niczym straż przyboczna faraona, który był ich najwyższym kapłanem. "Wyznawcy demokracji, niemodnej religii" - pomyślał. Ale nie śmiał się. Mimo woli było mu smutno, gdy patrzył na martwe twarze tych "strażników". Wyrażały one cierpienie i smutek, także szok. Zastanawiał się, co kochali i o czym marzyli. Wszyscy oni byli młodzi. Zatrzymał się przed "grobowcem". Drzwi zamknięte były na zamek cyfrowy.

- Potrzebuję specjalisty w tej dziedzinie. Natychmiast! - rozkazał.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku - odrzekł kapitan, zbierając się do odejścia. Jednak stanął i odwrócił się.

- Czy mam was zostawić, towarzyszu?

- Umarli nie zrobią mi krzywdy - powiedział Roźdiestwieński.

Woskawicz zostawił go stojącego pośród ciał przed zamkniętymi drzwiami, zapatrzonego w twarze. Pułkownik w żadnej z nich nie mógł odnaleźć rozczarowania. Zginęli dla czegoś ważnego. Co to było? Rozmyślał o tym...

Sierżant, kapral i dwóch poruczników pracowało nad otwarciem drzwi od ponad pół godziny. W końcu Woskawicz odwrócił się do niego i powiedział:

- Gotowe, towarzyszu pułkowniku.

Roźdiestwieński tylko skinął głową. Sięgnął prawą dłonią w rękawiczce do klamki i przekręcił ją. Ciągnąc drzwi do siebie, otworzył je i zaświecił latarką do wewnątrz. Poczł się jak Carter w chwili odkrycia grobowca Tutenchamona. Nie było tam jednak żadnych złotych bożków, tylko szafki z zapieczętowanymi aktami, niepodobne do tych w innych częściach kompleksu. Nie było też stosu zwęglonych papierów ani mikrofilmów na podłodze.

- Żadni złodzieje grobowców nie uprzedzili nas - zauważył i wszedł do środka. W ciemności świecił latarką po żółtych indeksach szuflad. Znalazł te, których szukał. Było tam sześć szuflad z napisem "Projekt 4.832-C/RS9". Otworzył najwyższą i wyciągnął kilka kartek z góry. Przeczytał je, zamknął oczy i nagle poczuł się zmęczony.

- Woskawicz, nikt nie może zaglądać do tych szuflad. Będę potrzebował wozu, aby je stąd zabrać. Sprowadźcie tu kartony, przepakuję je osobiście.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku - odpowiedział kapitan.

- Zostawcie mnie samego.

Kiedy wyszli, wyłączył latarkę i stał tak w ciemności obok szuflad z aktami. Teraz wiedział już, na czym miał polegać "Projekt Eden". Amerykanie nigdy nie przestali go zadziwiać.

## Rozdział XIV

- Nie urodziłam się tutaj. Jednak większość z nich pochodzi stąd. Ich rodzice też się tutaj urodzili, przed tym wszystkim - powiedziała mu kobieta.

- Cóż to, u diabła, ma znaczyć? - spytał ja rozdrażniony Rourke, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby. Tymczasem mężczyźni, kobiety i dzieci utworzyli łańcuch rak, a teraz rozchodzili się do domów.

- Nazywam się Martha Bogen - uśmiechnęła się.

- Nie pytam o twoje imię. Czy ci ludzie nie...

- Masz rację, Abe - powiedziała te słowa głośno, aby grupa zbliżających się ludzi mogła je usłyszeć. Spojrzała na ładną starszą kobietę w centrum grupki - po sześćdziesiątce, jak ocenił Rourke - i powiedziała do niej:

- Marion, to jest mój brat, Abe Collins. W końcu mnie odnalazł!

- Och! - ucieszyła się starsza pani. - Martha, jesteśmy tacy szczęśliwi, że jest z tobą brat. Och, Abe - powiedziała wyciągając do Rourke'a rękę, która on uściśnął. Dłoń była lepka i zimna.

- To wspaniale cię spotkać po tym wszystkim. Martha ma młodszego brata! Mam nadzieję, że ujrzymy cię jutro w kościele.

- No cóż. Miałem ciężką podróż... ale spróbuję - Rourke uśmiechnął się.

- Świetnie. Z pewnością macie sobie wiele do powiedzenia. - I znów posłała mu uśmiech.

Następnie musiał uściśnąć rękę wszystkim innym, a gdy już odeszli, wykrzywił pogardliwie usta do Marthy Bogen. Prawą ręką chwycił ją za lewe ramię i wbił mocno palce w ciało.

- Odpowiesz mi teraz.

- Chodźmy do mnie, Abe, to spróbuję. "Zaśmiała się całkiem szczerze" - pomyślał.

- Wezmę motor. Stoi na rogu. - Odwrócił się, obawiając trochę, iż od momentu, gdy ostatni raz patrzył w tamtą stronę, ktoś mógł go zabrać. Stał jednak nietknięty.

- Przypuszczam, że macie też czynną stację benzynową?

- Tak, jutro będziesz mógł napełnić zbiornik. Powinieneś zostać tutaj na noc. W moim domu.

Wszyscy tego oczekują.

- Dlaczego? - wyrzucił z siebie John.

- Powiedziałam im, że jesteś moim bratem.

Znów się uśmiechnęła, biorąc go za rękę i ruszając przez topniejący tłum.

- Dlaczego im to powiedziałaś?

- Gdyby dowiedzieli się, że jesteś obcy, wtedy musieliby coś zrobić...

Z uśmiechem ukłoniła się starszej pani mijającej ich. Rourke też się ukłonił, po czym spytał chrapliwym głosem:

- Co zrobić?

- Większość obcych nie chce zostać.

- Nikt nie uwierzy, że jestem twoim bratem, przecież to widać jak na dłoni...

- Mój brat miał przyjechać. Najprawdopodobniej nie żyje, jak wszyscy na zewnątrz. Bóg raczy wiedzieć, jak ty przeżyłeś.

- Wielu z nas przeżyło. Nie wszyscy są martwi.

- Wiem, ale to musi być straszne, ten świat na zewnątrz.

- Wiedzą, że nie jestem twoim bratem.

- Wiem o tym - rzekła Martha Bogen. - Lecz to nie ma żadnego znaczenia dopóty, dopóki będziesz udawał.

John potrząsnął głową i popatrzył na nią, a później powiedział ściszym głosem:

- Udawać? Co tu się dzieje, do cholery?

- Nie potrafię ci tego do końca wyjaśnić, Abe...

- John - mówiłem ci już!

- John. Chodźmy do mnie. Wyśpisz się na tapczanie. Wygląda na to, że dzisiaj jest okropna pogoda poza doliną. A jutro po dobrym śniadaniu, a nie tych okropnych hot-dogach, zdecydujesz, co robić.

Rourke zatrzymał się obok motoru.

- Nie zostanę, nie teraz - powiedział jej, czując jak jeżą się mu włosy z tyłu głowy, co oznaczało, że jest gorzej, niż mógł sobie wyobrazić.

- Widziałeś policję przy wjeździe do miasta, John?

- No i co z tego? - spojrzał na nią.

- Wpuszczają każdego, ale nie pozwolą ci wyjechać. Nocą nie dasz rady, jeśli nie znasz doliny. A ja ją znam. Przed śmiercią mojego męża często chodziliśmy tam na spacer. Mój mąż dużo polował na jelenie. Znam tutaj każdą ścieżkę.

Rourke poczuł, jak opadły mu kąciki ust.

- Jak dawno umarł twój mąż?

- Był lekarzem. Ty też masz ręce jak doktor, John. Dobre ręce. A umarł pięć lat temu. W dolinie wybuchła epidemia grypy i zaharował się. Dzieci, kobiety w ciąży, wszyscy to mieli. On też, zaraził się i umarł.

- Przykro mi, Martha - powiedział jej szczerze - ale nie mogę zostać.

- Mamy dwunastu policjantów i ostatnio pracują na dwie zmiany. Sześciu na służbie, a sześciu wolnych. Musiałbyś dać, radę sześciu policjantom, aby wydostać się z miasta. I do tego ta zamieć. - Dotknęła jego twarzy prawą ręką. - Powinieneś się ogolić. Myślę, że gorący prysznic i wygodne łóżko dobrze ci zrobią.

Zarumieniła się i dodała:

- W pokoju gościnnym, oczywiście.

Rourke kiwnął głową. Przez sto mil nie było żadnego strategicznego punktu, a on potrzebował benzyny. Powolna jazda w śnieżycy wyczerpała bak motocykla.

- Czy ta stacja naprawdę ma paliwo? - spytał ją.

- Możesz nawet skorzystać z mojej karty kredytowej, John. Jeśli nie masz pieniędzy.

Rourke podniósł na nią oczy, nie odzywając się ani słowem. "Karta kredytowa? - pomyślał. Benzyna? Bez niej nie będę mógł kontynuować poszukiwań Sarah i dzieci".

- W porządku, Martha. Przyjmuję twoje wspaniałomyślne zaproszenie. Dziękuję.

Gdy to mówił, czuł jak cierpnie mu skóra.

## Rozdział XV

Tildie sapała ciężko, a kłęby pary dobywały się z jej nozdrzy. Na wzniesieniu otaczającym jezioro Hartwell Sarah zatrzymała spoconą klacz. Poniżej rozciągała się Karolina Południowa, a na odległym drugim brzegu - Georgia. W oddali po lewej stronie dostrzegła przez padający śnieg zarys tamy. W dole na jeziorze zamajaczył domek na płaskiej barce. Z małego komina umieszczonego na środku dachu unosił się dym. Odwróciła się i spojrzała na zziębniętych Michaela i Annie oraz Sama. Przed wojną był to koń Johna, a teraz w zasadzie należał do chłopca. Zwierzę drżało, a para buchała mu z pyska, podobnie jak Tildie.

- Michael, skąd wzięłeś ten nóż?

- Dało mi go jedno z dzieci na wyspie.

Sarah nie wiedziała co powiedzieć. Jej syn dźgnął mężczyznę, który zaatakował jego siostrę.

- Dobrze zrobiłeś, używaj go, ale bądź z nim ostrożny. - Nie mogła zdobyć się na to, aby wyznać, że wolałaby mu go zabrać. - Bądź ostrożny. Pomówimy o tym później.

- Dobrze - powiedział trochę bez przekonania, jak się jej wydało.

Sarah znów spojrzała na domek.

- Pójdę zobaczyć, czy jest ktoś w środku, jeśli tak, to może znaleźlibyśmy tam schronienie.

Michael, zostań tu z Annie. Nie jedźcie za mną. Gdybyście widzieli, że jestem w tarapatach... wtedy...

Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. W końcu rzekła:

- Postąpisz według swego uznania. Ale czekajcie aż wrócę lub zobaczycie, że coś jest nie tak.

Rozumiesz?

- Tak, rozumiem - odpowiedział.

Wiedziała, że rozumiał jej intencje. Czy zrobi jednak tak, jak mu powiedziała, to inna sprawa.

- Patrz też do tyłu, czy ci... ludzie... - nie wiedziała, jak określić tych mężczyzn i kobiety, którzy ich zaatakowali. Zsiadła z Tildie i poczuła dotkliwe zimno na pośladkach osłoniętych dotychczas ciepłym siodłem. Oddała Michaelowi cugle.

- Trzymaj ją. Idę na dół.

Przewiesiła AR-15 przez plecy. Jednak po chwili zdjęła go i wzięła w rękę. Magazynek o pojemności trzydziestu naboji był na miejscu, dopiero co załadowany. Pistolet miała również nabity i ukryty pod bluzą na brzuchu. Zaczynał już rdzewieć i nie wiedziała, jak temu zaradzić. Oliwienie nie wystarczało. Ściągnęła niebiesko-białą chustę z uszu. Jeszcze raz uśmiechnęła się do dzieci.

- Kocham was oboje. Michael, zaopiekuj się Annie. Ruszyła w dół w kierunku domku. Wyglądał, jakby nie był przycumowany i tylko fala znosiła go na brzeg. Schodziła szybko, ześlizgując się kilka razy w miejscach, gdzie lód obsuwał się na żwirze. Pod spodem była czerwona glina. Mokra i gładka jak wypolerowany lód. Gdy zeszła na dół, domek był od niej w odległości nie większej niż trzydzieści stóp. Nie było żadnych cum, ale barka stykała się już z drzewami. Kołysała się lekko na małej fali, dryfując do brzegu i z powrotem. Sarah obejrzała brzeg. W jednym miejscu burta

znajdowała się w odległości trzech stóp w chwilach przyływu. Ruszyła, ślizgając się na glinie, w kierunku tego miejsca. Zatrzymała się na chwilę. Odbezpieczyła karabin i odruchowo - nie ściągnawszy rękawiczek - jakby próbując osuszyć dłonie z potu, potarła nimi o uda. Gdy barka zbliżyła się, Sarah skoczyła. Wyciągnęła rękę, chwytając się relingu. Jednakże oblodzony sznur wyślizgnął się jej z palców. Zachwiała się, zgięła w pół i upadła ciężko na oblodzony pokład. Przez moment leżała, usiłując złapać oddech. Bolał ją brzuch w miejscu, gdzie wbił się w jej ciało pistolet schowany pod bluzą. Przetoczyła się na bok i pomachała dzieciom, ciągle obserwującym ją z góry. Nie krzyknęła jednak. Z komina unosił się dym, więc w środku musieli być ludzie. Próbowwała wstać, lecz pokład był zbyt śliski. Upadła zatrzymując się na rękach. Kolba karabinu uderzyła o podłogę. Podczołgała się do drzwi. Zatrzymała się przed nimi i rozejrzała się dokoła. Przełączyła AR-15 na pełny automat. Wyciągnęła rękę i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Nie wchodząc, ostrożnie spojrzała do środka. W rogu obszernego pokoju, na łóżku w poplamionej pościeli leżeli mężczyzna i kobieta. Poczowała znany sobie fetor. Leżeli w objęciach, a ich ciała były niebiesko-sine i martwe.

- Zabili się - wyszeptała opierając się rękami o futrynę.

Sarah Rourke zapłakała nad nimi i nad sobą.



## Rozdział XVI

Osadzając okulary głębiej na nosie, Paul Rubenstein ściągnął jednocześnie kolorową chustkę zakrywającą mu twarz i zmniejszył szybkość Harleya. Śnieg leżący na drodze był na wpół stopniały i mokry. Paul spojrział na góry i przez chwilę mógł dostrzec skrawek błękitu pomiędzy szybko pędzącymi chmurami.

- Przejaśnia się - powiedziała Natalia z tyłu.

- Najwyższy czas - uśmiechnął się. Nagle odczuł ciepło na twarzy.

- Jest około dwudziestu stopni więcej niż wówczas, gdy rozbiliśmy obóz - powiedział spoglądając na nią przez ramię.

- Wkrótce wkroczymy na moje terytorium, Paul. Może nie być czasu - zaczęła.

- Tak, wiem. Mam powiedzieć Johnowi o twojej miłości? Poczul, jak Rosjanka uderzyła go pięścią w plecy.

- Tak - usłyszał jej śmiech - a to dla ciebie.

Jej ręce chwyciły go silnie za głowę i odwróciły ją do tyłu. Twarzą wcisnęła mu okulary wysoko na nos, całując go mocno w usta.

- Tego nie musisz przekazywać Johnowi. To było wyłącznie dla ciebie. - Uśmiechnęła się.

- Słuchaj, nie musisz przecież...

- Wracać do swoich? Rozmawiałam o tym z Johnem. Jestem Rosjanką i nieważne jak dobrze mówię po angielsku. Nie liczy się to, czy mówię i wyglądam jak Amerykanka. Jestem Rosjanką. To, co czuję do Johna i do ciebie jako przyjaciela, nigdy się nie zmieni. Ale jestem, kim jestem i to też się nie zmieni.

- Wiesz, że walczysz po złej stronie - rzekł do niej Rubenstein, przestając się nagle uśmiechać.

- Gdybym powiedziała ci to samo, uwierzyłbyś mi?

- Nie - odpowiedział obojętnie.

- Tak więc, ta sama odpowiedź dla ciebie, Paul. Moi ludzie wyrządzili wiele zła, ale twoi też. Z dobrymi ludźmi, jak na przykład mój wujek, mogę być może jeszcze coś zrobić dla...

- Dla szczęśliwego komunistycznego świata - zaśmiał się Paul.

Natalia odrzekła, również tłumiąc śmiech:

- Nie jesteś tym samym chłopcem, którego kiedyś spotkałam, gdy wlaził boso na wielką jabłoń, Paul.

On zaś odpowiedział jej śmiertelnie poważnie:

- A ty nie jesteś tą samą osobą, którą wtedy udawałaś. Powiem ci, na czym polega twój problem. Wyrosłaś wierząc w pewne ideały i zaczynasz sobie uświadamiać, że to wszystko było złe. Karamazow był komunistą, wcieleniem...

- Nie będę cię słuchać, Paul. - Dotknęła palcami jego ust, uśmiechając się.

- W porządku. - Uśmiechnął się i pocałował ją w czoło, gdy przez moment oparła głowę na jego piersi.

- Wyobrażam sobie, jak dobraną parę tworzylibyście z Johnem - powiedział jej.

Spojrzała na niego, jej oczy były wilgotne.

- Walcząc? Cały czas walcząc? Przeciwko bandytom i innym wrogom?

- Nie to miałem na myśli. Moglibyście być niezwyciężeni w inny sposób - zaśmiał się, ponieważ zabrzmiało to patetycznie.

- On nie może. Ja nie mogę.

- Co będzie, jeśli nigdy nie znajdzie Sarah?

- Znajdzie - odrzekła beznamiętnie. Paul nie ustępował.

- Ale co będzie, jeśli nie znajdzie jej? Wyjdiesz za niego?

- To nie twoja sprawa, Paul - powiedziała z uśmiechem.

- Wiem o tym, ale czy wyjdiesz za niego?

- Tak - rzekła łagodnie i zaczęła szukać czegoś w torbie. Wyjęła papierosa i zapalniczkę.

Zanurzyła koniec papierosa w jasnym płomieniu z taką pieczołowitością, że wyglądało to jak...

- Stać! Nie ruszać się! Ręce do góry i spokojnie, a nic wam się nie stanie!

Rubenstein spojrział przed siebie. Przed nimi, w długich zaśnieżonych płaszczach, stało pół tuzina rosyjskich żołnierzy z oficerem na czele.

- Jesteście aresztowani. Oddajcie broń.

Natalia odpowiedziała po angielsku, tak że Paul mógł zrozumieć.

- Jestem major Natalia Tiemerowna - usłyszał i pojął, nim dodała - z Komiteta Gosudarstwiennoj Biezopasnosti.

## Rozdział XVII

Warakow otworzył okno, wciskając guzik. Było dosyć ciepło, znacznie cieplej niż poprzednio.

Spojrzał na swego nowego kierowcę - nie był tak dobry jak Leon. Generał oddychał ciężko, czekając, aż sowiecki bombowiec skończy kołowanie na lotnisku.

- Zaczekaj na mnie. - Otworzył drzwi. - Wsiądę sam.

- Tak jest, towarzyszu generale - odpowiedział kierowca, odwracając się.

Warakow uśmiechnął się. Nie było sensu traktować surowo tego młodego człowieka tylko dlatego, że nie był Leonem.

- Możecie sobie zapalić, kapralu - dodał Warakow, gramoląc się z samochodu i zatraskując drzwi. Wyprostował się i ruszył w kierunku wolno kołującego samolotu.

Czy istniał plan zagłady przygotowany przez Stany Zjednoczone i już realizowany? Czy nadchodził nieuchronny koniec? Zastanawiał się. Na ogół skrupulatnie unikał zagadnień natury ogólnej. Pełnienie funkcji generała nie dawało się pogodzić z filozofowaniem. Zresztą zawsze tak było. Czas swego życia dzielił między osiągnięcia zawodowe, przyjaciół, których pozyskał, i dziecko, które wychował. Natalia nie była jego córką, lecz bratanicą. "Chyba dobrze spełniłem swój obowiązek" - pomyślał. Jeśli zaś chodzi o Karamazowa, to z czasem powinno jej minąć. Spotka innego mężczyznę. A może już spotkała, tego Amerykanina, Rourke'a?

Potrząsnął głową.

Bał się o Natalię i o ludzi z jej pokolenia. Nowa Rosja walczyła przez całe jego życie, aby zwycięsko przetrwać.

- Zagłada - wyszeptał, wracając myślą do "Projektu Eden".

Samolot zatrzymał się, a drzwi otworzono natychmiast. Umundurowani żołnierze sowieccy podstawili do nich schodki. W drzwiach ukazała się sylwetka cywila. Był nim Roźdiestwieński. Ubranie miał pogniecione, jakby spał w nim, a włosy potargane. Warakow podszedł kilka jardów. Roźdiestwieński był w połowie trapu.

- Dowiedzieliście się czegoś, pułkowniku? Młodszy mężczyzna zatrzymał się.

- Dowiedziałem się wszystkiego, towarzyszu generale. Wszystkiego. - Odwrócił się i krzyknął do środka samolotu:

- Tych sześć zapieczętowanych kartonów ma być nietknięte. Przenieście je natychmiast do mojego samochodu!

Warakow spojrzał na płytę lotniska. Czarny amerykański Cadillac już czekał. Był to na pewno wóz Roźdiestwieńskiego. Gdy młody oficer zbliżał się do końca schodów, Warakow podał mu prawą rękę, aby pomóc przy zeskakiwaniu.

- Czy to jest mechanizm zagłady? Co to jest?

- To nie jest mechanizm, towarzyszu generale - powiedział Roźdiestwieński bez uśmiechu. - ale nie mogę powiedzieć wam więcej. Taki jest ścisły rozkaz Politbiura. Przepraszam was, generale - dodał. Zignorował rękę Warakowa i odszedł.

Generał obserwował, jak przenoszono obok niego pierwszą z zapieczętowanych paczek. Czuł się głęboko dotknięty.

## Rozdział XVIII

Rourke spojrział na swego Rolexa. Starł parę z powierzchni szybki. Dochodziło już południe. Kobieta pozwoliła mu spać dłużej, ale też łóżko w normalnie wyglądającym domu zrobiło swoje. Tej nocy śniła mu się Sarah, Michael, Annie i... Natalia. Nie pamiętał tych snów i był z tego zadowolony. Snów nie sposób kontrolować. Jest to inna rzeczywistość, która wywodzi się z podświadomości. Pragnienia, obawy, wszystkie rzeczy, które nie chciały poddać się jego woli. Zawsze go to drażniło i jeśli czegokolwiek się bał, to właśnie tego.

Odkręcił zimną wodę. Pochylając się zauważył, że posiwiał mu zarost na piersiach. Zakręcił kurek, odsunął zasłonę prysznic, chwycił ręcznik i wytarł się. Następnie wyszedł do bardzo czystej i kobieco wyglądającej łazienki. Przez szparę pomiędzy zasłoną a plastikową wykładziną dostrzegł leżący na krawędzi wanny jeden ze swoich Detonics'ów, nie najgorszy "sprzęt" do noszenia pod ubraniami. W częściowo zaparowanym lustrze zobaczył siniak na ramieniu - od upadku na drogę przy wyskakiwaniu z samolotu. Rozruszał trochę rękę, aby pozbyć się drętwienia. "Zagoi się" - pomyślał. Uśmiechnął się. Żaden dobry doktor nie ufa własnej diagnozie, ale w tych okolicznościach...

Martha Bogen pomimo późnej godziny przygotowała mu śniadanie. Rourke w tym czasie wyprowadził Harleya z garażu, gdzie zamknął go na noc, i pojechał zgodnie ze wskazówkami Marthy do najbliższej stacji benzynowej. Jechał z podwiniętymi rękawami, a ciepły wiatr targał mu włosy. Obydwa pistolety miał wsadzone za spodnie pod koszulą. Zobaczył przed sobą stację. Przy samoobsługowym stanowisku nie było żadnego samochodu, więc zwalniając skręcił w stronę punktu obsługi. Postawił maszynę na stopce i zsiadł. Uśmiechnięty sprzedawca w niebieskim kombinezonie - z imieniem Al wyszytym w okolicy serca - wyszedł z kanału, gdzie zmieniał olej w samochodzie.

- Do pełna?

- Tak. Mam zapasowy kanister, napełnij go również - powiedział chrapliwym głosem Rourke.

- Sprawdzić olej?

- Tak, sprawdź - przytaknął.

Spojrzał na swój motor. Cudownym trafem po katastrofie samolotu i poślizgu na górskiej drodze nie pozostały żadne zadrapania, żadne widoczne uszkodzenia.

- Masz tu jakichś krewnych? - zapytał z uśmiechem sprzedawca.

John otrząsnął się.

- Tak. Martha Bogen jest moją siostrą. Mam na imię Abe.

- Fajnie... Hej, Abe. - Al znowu się uśmiechnął. - To dobrze dla Marthy. Byłoby smutno, gdyby...

Doktor chciał spytać - dlaczego, ale powstrzymał się.

- Na pewno - zgodził się.

- Sympatycznie wygląda ta twoja maszyna - powiedział Al.

- Dzięki - skinął głową. - Miasto też sympatyczne. Na zewnątrz zimno jak cholera, a wy macie tu ładną pogodę.

- Owszem. Po prostu jesteśmy niżej i tyle. Zawsze zamierzaliśmy spytać facetów z instytutu

meteorologicznego, dlaczego tak jest, ale nigdy nie było na to czasu.

- Tak, często odkłada się różne sprawy do jutra - powiedział z sarkastycznym uśmiechem John.

- Otóż to - zaśmiał się Al - tak jest zawsze.

Wyjął dyszę z baku i zakręcił przykrywkę. Gdy sprawdził pompę, John wyjął z kieszeni portfel i dał mu dwadzieścia dolarów.

- Zaraz przyniosę...

- Resztę zatrzymaj - uśmiechnął się Rourke. Dosiadł Harleya, uruchomił go i złożył stopkę.

- No to... dziękuję, Abe - pomachał ręką Al.

- O.K. - skinął John.

“Oni wszyscy są szaleni” - pomyślał zjeżdżając z powrotem na ulicę.

- Dobrze gotujesz - powiedział jej John, spoglądając sponad prawie zjedzonego steku z jajkami na niebiesko-szarym talerzu.

- Raczej nie mam okazji - uśmiechnęła się. - Żyję całkiem sama.

- Nie zapomniałaś o tym? - rzekł znacząco.

Odwróciła się od zlewu i zakręciła wodę. Znow zwróciła się w jego stronę, wycierając ręce w fartuch.

- Jeszcze mnie nie pytałeś.

- Obiecałaś, że wszystko mi wyjaśnisz. Czekam, aż zaczniesz - uśmiechnął się. Miał wiele pytań, ale najpierw chciał usłyszeć jakieś wyjaśnienia. - Domyślam się, że skoro jestem twoim bratem, to powinienem zaakceptować wszystko, co tutaj się dzieje?

- Tak, owszem. - Wygładziła rękami fartuch i usiadła naprzeciw niego. Nalała kawy do niebiesko-zielonej filiżanki, po czym postawiła elektryczny warnik na dużym trójnogu.

- Dzwoniłam do pracy. Powiedziałam, że się spóźnię. Oni to zrozumieją, w końcu przyjechał mój brat.

Rourke nadział na widelec ostatni kawałek steku i spojrzał na nią.

- Telefony?

- Mhm... - mruknęła przytakująco. Spojrzał na leżącą na stole gazetę.

- Mogę?

- Jesteśmy prawdopodobnie jedynym miastem na tej szerokości w Ameryce, które posiada codzienną prasę - powiedziała nie bez dumy, wręczając mu gazetę.

Rozłożył ją. Nagłówek brzmiał: “Wigilia Wszystkich Świętych[2] dziś wieczorem”. Patrząc poniżej przeczytał: “Wyniki wyborów do szkolnej rady”.

- Wybory do szkolnej rady?

- Przedwczoraj - uśmiechnęła się.

- A wczoraj był Czwarty Lipca?

- Mhm - pokiwała głową, odgarniając palcami z czoła kosmyk ciemnych włosów.

- A dzisiaj jest Wigilia Wszystkich Świętych?

- Dla dzieci. One to uwielbiają.

- Jutro wieczorem Święto Dziękczynienia? - Tak.

Rourke pociągnął łyk kawy. Pili z tego samego dzbanka, więc nie obawiał się. Nie ufał już nikomu ani niczemu w tym mieście.

## Rozdział XIX

Sarah Rourke podłożyła kawałek drewna do pieca. Był on przerobiony z gazowego, jak sądziła. Zostało jeszcze mnóstwo nóg od krzesel i stołu, a pogoda zdawała się poprawiać.

Wstała z łóżka, nie budząc dzieci. Ciała ludzi wyrzuciła za burtę razem z poplamioną pościelą. Na szczęście materac nie zdążył nasiąknąć odorem martwych ciał. Ludzie ci na palcach mieli ślubne obrączki, byli więc - jak zakładała Sarah - mężem i żoną.

Łód z pokładu barki stopniał, toteż mogła, choć z trudem, poruszać się po nim. Chwyciła się relingu, który nie był już oblodzony, ale po prostu mokry. Patrzyła na jezioro i wyobrażała sobie, jakie okropności dzieją się na brzegu.

Po usunięciu ciał przycumowała domek do grubego pnia drzewa rosnącego tuż nad wodą. Następnie sprowadziła Michaela i Annie z końmi. Przy pomocy Tildie i Sama podciągnęła barkę do miejsca, gdzie brzeg był dość równy. W ten sposób dzieci i konie mogły wejść na pokład. Zwierzęta były teraz uwiązane na środku głównego pokoju, jak gdyby salonu. Zniszczyły dywan i było im ciasno, ale znacznie cieplej. Potem z pomocą Michaela i Annie odczepiła ciężką kotwicę od pnia drzewa. Chciała w miarę możliwości odepchnąć barkę od brzegu i właśnie szukała czegoś do tego celu, gdy Annie włączyła silnik, który zawarczał przez chwilę i zgasł. Sarah przeczyściła zaciski przewodów i włączyła go znowu. Tym razem silnik zaskoczył. Zbiornik paliwa był napełniony do połowy. Używając tego napędu wypłynęła na środek jeziora i opuściła kotwicę, aby spędzić spokojną noc.

Była to pierwsza taka noc od...

Nagle coś pchnęło ją do przodu. Oparła się ciężko na barierce. Usłyszała huk łamanego drzewa i rozrywanej stali. Z tyłu pękła lina kotwicy. Z przerażeniem spojrzała w stronę, skąd doszedł ją dźwięk, a potem na wodę. Pojawił się prąd. Wcześniej go nie było. Pobiegła do kabiny. Znalazła swoją torbę i wyjęła z niej lornetkę. Z powrotem wybiegła na pokład. Skupiła uwagę na tamie w drugim końcu jeziora.

- Jezu! Nie! - krzyknęła.

Tama pękła. Pokład barki zatrzęsł się. Konie w środku zarżały. Dobiegł ją głos Annie:

- Mamo!

Dom na barce, razem z ciepłem, bezpieczeństwem i możliwością przemieszczania się, dryfował w stronę tamy, unoszony przez coraz silniejszy prąd. Sarah Rourke podniosła na chwilę oczy ku szarym chmurom pędzonym wzmagającym się wiatrem i krzyknęła:

- Już dosyć! Boże! Już dosyć!

## Rozdział XX

Rourke sięgnął po puszkę brzoskwiń. Była to jedna z sześciu puszek pozostałych na sklepowej półce i wysuniętych do przodu, aby zasłonić pusta część półki. Zaczynał rozumieć. Brzoskwinie, pudełka z kasza, a nawet benzyna, którą napełnił Harleya, wszystko to było “wysunięte do przodu”.

Martha kupiła paczkę kawy i wyszli. Gdy już byli na zewnątrz, powiedział do niej:

- Myślę, że rozumiem. Utrzymać wszystko w nienagannej niby normalności tak długo, jak się da, a potem...

- Samo się rozstrzygnie - uśmiechnęła się. - Odprowadź mnie do biblioteki.

- Nie ma sprawy - odpowiedział i spojrzał na zegarek. Widok dzieci idących ulicą z tornistrami na plecach lub z książkami pod pachą przypominał mu Michaela i Annie. Była trzecia piętnaście po południu.

- Koniec lekcji na dziś?

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem.

Szedł obok niej w milczeniu. Było mu gorąco w skórzanej kurtce, która jednak była konieczna dla ukrycia zawieszonych pod nią dwóch Detonics'ów. Jego Harley stał zamknięty w garażu razem z pozostałą bronią - z wyjątkiem Stinga, którego nosił nieodmiennie przy sobie.

- Pistolety nie są ci potrzebne - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - Nikt ci nic nie zrobi. Jesteś moim bratem.

- Ale ja nie jestem pani bratem, Mrs. Bogen - nachylił się ku niej, uśmiechając się, gdy mijala ich grupka machających rękami dzieci.

- To nie ma znaczenia - uśmiechnęła się Martha i spojrzała na dzieci. - Hej, Tommy, Bobby, Ellen, hej!

Rourke zatrzymał się przed biblioteką. Kawalek dalej była poczta. Przed budynkiem, pośrodku małego kwietnika, na maszcie łopotała amerykańska flaga.

- Przyjemny widok, prawda, John? - spytała z uśmiechem.

- Owszem - to było wszystko, co mógł jej odpowiedzieć.

Poczuł, że coś go stuknęło. Spojrzał w dół. Zobaczył jakiegoś smyka z czarną maską na twarzy i w białym, słomkowym, kowbojskim kapeluszu, spod którego wystawały rude włosy.

- Sorry! - zawołał mały i pobiegł dalej.

Za chłopcem szła kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat.

- Harry, ściągnij tą maskę z twarzy i zaczekaj do wieczora. Nie widzisz nawet gdzie idziesz.

Rourke spojrzał za chłopcem i rzekł w zamyśleniu:

- Wychowałem się tak jak ten chłopiec. Oglądałem podobne filmy.

Martha zauważyła:

- Nie zapominaj, że dziś Wigilia Wszystkich Świętych. Rourke wszedł z nią do środka. Jak się spodziewał, była tam grupa nastolatków piszących wypracowania. Na kilku stołach porozkładane były w nieładzie tomy encyklopedii i różne opracowania. Starsza, siwa kobieta szukała czegoś w



katalogach. Była to najzwyczajniejsza biblioteka pod słońcem.

- Mam parę rzeczy do zrobienia. Jeśli chcesz, możesz przejrzeć prasę - zaproponowała i podeszła do oszklonych drzwi biura.

- Co? I przeczytać o Dniu Pamięci albo o Walentynkach?

- Ja tylko na chwilę. Potem zrobię kawę i odpowiem ci na wszystkie pytania.

- Już niedługo muszę jechać. Obiecałaś mi pokazać przejście.

- Bibliotekę zamykamy o piątej. Będzie jeszcze całkiem jasno - powiedziała, po czym odwróciła się i weszła do biura.

Pokręcił głową i przejrzał półki z książkami. Zatrzymał wzrok na jednej, przynajmniej część tytułu była odpowiednia: "Wojna i pokój". Uśmiechnął się pod nosem i wymamrotał: -Na razie przerabiamy pierwszą część - Siwa kobieta spojrzała na niego podejrzliwie znad katalogu. Rourke uśmiechnął się do niej nieznacznie.

O piątej, jakąś małą ścieżynką opuści miasto. Nawet gdyby miał strzelać do policjantów.

## Rozdział XXI

- Szybko, Michael, Annie! - krzyknęła Sarah, ściągając torby z siodła Tildie i przewieszając je przez ramię. Pomyślała jednak, że może to być dla niej zabójczy ciężar. Odcięła od siodła rzemień i przywiązała nim torby pod ramionami. - Michael, weź swój nóż. Przetniesz nim reling gdy ci powiem.

- Dobrze, mamó - odpowiedział chłopiec, wyciągając spod płaszcza nóż.

- O Boże! - wykrzyknęła i zwróciła się do Annie.

- Weźmiesz, co ci powiem i zrobisz to, co ci każę.

Dwusilnikowy napęd barki nie był w stanie walczyć z silnym prądem. Próbowwała, nawet dłużej niż powinna, skierować ją ku brzegowi, ale nie udało się jej. Mogli jednak opuścić barkę w pław, zanim roztrzaska się o pozostałości betonowej tamy hydroelektrowni lub wpadnie w wyrwę, gdzie spotkają ten sam los. Obydwie możliwości oznaczały pewną śmierć dla niej i dla dzieci. Konie są dobrymi pływakami i jeśli będą się ich trzymali, to być może jest szansa na dopłynięcie do brzegu.

Sarah odwiązała zwierzęta, a potem dosiadła Tildie i wzięła Annie.

- Trzymaj te końce. Nie puszczaj ich, aż ci powiem albo, gdy będziesz musiała.

Jeśli wyjdą z tego cało, będą przemoczeni i przy takim zimnie dostaną dreszczy, a może i zapalenia płuc. Koce będzie można wysuszyć nad ogniskiem. Sarah trzymała Annie przed sobą na siodle. Prawą ręką otaczając dziewczynkę, trzymała cugle Tildie, a lewą Sama. Pochyliła się, aby nie uderzyć w nic głową. Barka płynęła coraz szybciej.

- Michael, przetnij linę, gdy ci powiem. Potem dosiądź Sama i płyn blisko mnie.

Myślała o przywiązaniu dzieci do jednego konia, ale gdyby zwierzę nie dało rady, nie byłoby dla nich ratunku. Sarah pływała całkiem nieźle. Annie machała rękami, ale tak naprawdę nie było to pływanie. Michael pływał nadzwyczaj dobrze jak na swój wiek. Powinien utrzymać się na wodzie. Modliła się o to.

Kolanami ponagliła konia, trzymając jednocześnie lejce. Trochę za późno schyliła głowę i uderzyła czołem o framugę. Pokład był mokry od wody rozbryzgującej się o burty barki, która sunęła w stronę tamy. Dostrzegła teraz wyraźnie wyrwę powstałą od dynamitu albo wskutek bombardowania w trakcie Nocy Wojny. Dokładnej przyczyny nie знаła.

- Michael, przetnij szybko liny!

- W porządku, mamó! - Chłopiec, a właściwie nie chłopiec, pomyślała znowu, odwrócił się do relingu, waląc w sznur.

- Tnij go, Michael! Tnij go nożem!

Najwyższa linę już przeciął i teraz wziął się za następną. Sarah spięła Tildie. Sam wierzgał i rżał, bo ciągle znajdował się w środku. Ledwie mogła utrzymać cugle.

- Szybciej Michael! Szybciej! Nie utrzymam dłużej konia!

Druga lina już przecięta. Chłopiec spojrział w kierunku matki, po czym ignorując jej radę, zaczął walić ciężkim ostrzem w ostatnią linę. I raz... i drugi... aż nóż odskakiwał mu w pobliże twarzy.

- Michael - krzyknęła, ale sznur był już przecięty. Wiedziała, że nie zdąży już wyprowadzić Sama. Ruszyła do przodu, w kierunku Michaela, który chował właśnie nóż do pochwy.

- Siądź z tyłu i nie puszczaj mnie! - usłyszała swój wrzask. Michael chwycił się jej lewej ręki, z której wypuściła lejce i usiadł za nią.

- Naprzód! - krzyknęła kopiąc piętami przerażoną klacz. Koń skoczył pomiędzy słupkami barierki do wody. Głowa konia na chwilę zniknęła pod powierzchnią wody, ale zaraz się ukazała. Woda była lodowata. Annie krzyczała. Sarah zachwiała się. Usłyszała głos Michaela:

- Trzymam cię, mam!

Spojrzała za siebie. Sam skoczył, ale straciła go z oczu w następnej chwili. Barka pędziła w kierunku wyrwy, kręcąc się jak liść, który wpadł w wir.

- Tildie, ratuj nas! Tildie! - krzyczała bojąc się kopać piętami zanurzającą się klacz.

- Tildie! - wrzasnęła, gdy nagle głowa konia zniknęła pod powierzchnią.

- Musimy zeskoczyć, mam! - krzyknął do niej Michael. Sarah ugryzła się w dolną wargę i trzymając mocno Annie, krzyknęła głośno, aby syn mógł ją usłyszeć poprzez szum wody.

- Michael, nie odpływaj daleko! Jeśli zatone, ratuj Annie! Zeskoczyła z konia. Lewe strzemie wstrzymało na chwilę jej stopę, ale puściło, gdy koń odpłynął z prądem na bok.

- Tildie! - krzyknęła, ale klacz zniknęła jej z oczu. Michael trzymał ją za szyję. Chciała mu powiedzieć, aby poluzował koniowi duszący uchwyt, ale bała się, że zatonie.

Torby były wypełnione wodą, AR-15 został stracony wraz z jedzeniem i ubraniami, z wyjątkiem tego, co miała w woreczkach. Walczyła z prądem. Usta Annie zanurzały się. Chciała je utrzymać nad powierzchnią, ale traciła oddech i siły. Michaela nie było w pobliżu.

- Michael!

- Tutaj - odpowiedział zjawiając się nagle obok niej. Pomógł Sarah podtrzymać Annie.

- Mam, już blisko brzegu.

Kobieta spojrzała przed siebie. Fale rozpryskiwały się jej na twarzy, smagając ją i zadając ból, jakby nie były ciecżą, lecz ciałem stałym. Ujrzała błotnisty brzeg. Wyciągnęła dalej prawą rękę,omalże nie wypuszczając Annie. Dziewczynka zdołała wykrztusić:

- Mam, boję się.

- Ja też! - krzyknęła Sarah widząc, jak szybko przesuwa się brzeg.

Spojrzała na prawo, gdzie zobaczyła coraz większą wyrwę w tamie. Barka nie mieściła się w dziurze. Zatrzymała się na chwilę, po czym prąd wessał ją do środka. Sarah znów machnęła mocno prawą ręką. Michael próbował ją holować. Chciała mu powiedzieć, aby ratował siebie. Przynajmniej on by przeżył.

- Michael!

- Jeszcze tylko trochę! - krzyknął i fala uderzyła go w twarz. Zachłysnął się i zakrztusił.

Sarah machała rękami, ciągnęła, szarpała. Prąd znosił ją, a brzeg umykał szybko. Jednak wydawał się być odrobinę bliżej.

Michael ciągnął ją, ciągnął Annie. Nie mogła zrozumieć, skąd miał tyle sił.

Mimowolnie ruszała cały czas rękami, nie wiedząc, czy to coś daje. Lewa ręka, prawa i znowu lewa... Chciała już zasnąć, otworzyć usta i wciągnąć wodę. Nogami też poruszała, lecz były to zbyt wolne ruchy. Coś twardego, znacznie twardszego niż woda uderzyło ją w twarz. Spojrzała. Czerwona glina, mokra, śliska... Chciała ją całować. Wyciągnęła Annie z wody. Dziewczynka dusiła się kaszłąc. Matka klepała ją w plecy.

- Annie!

Dziewczynka osunęła się w błotnistą glinę, lecz żyła.

- Michael! Nigdzie go nie było.

- Michael! - krzyknęła Sarah kaszląc i ślizgając się po glinie. Upadła na kolana. Zobaczyła ciemne miejsce w wodzie. Jego włosy, ciemnobrązowe jak ojca.

- Michael! - krzyczała, a łzy spływały jej po twarzy. "Skoczyć i ratować go" - przemknęło jej przez myśl. A jeśli zginie, co będzie z Annie?

- Mich...! - Jego głowa zanurzała się. Sarah zamarła. Po chwili jego czupryna znowu się ukazała, machał rękoma nad powierzchnią wody i płynął w jej stronę. Sarah weszła do wody, aż po biodra. Odwiązała torby przymocowane rzemieniem i rzuciła je na brzeg.

- Annie, zostań tutaj?

- Michael żyje?

Michael wyciągnął do niej rękę. Matka przyciągnęła go i objęła mocno. Zachwiali się. Oboje wyszli na brzeg. Chłopiec krztusił się.

- Tak, żyje, Annie - wyszeptała.

Michael objął ją, ciągle kaszląc, a potem dziewczynka zarzuciła jej ręce na szyję, śmiejąc się. Sarah też się zaśmiała.

- Dzięki ci, Boże! Pobłogosław basen Związku Młodzieży Chrześcijańskiej.

## Rozdział XXII

Rourke siedział popijając kawę.

- A kiedy wybuchła wojna, dowiedzieliśmy się o tym, chociaż zawsze byliśmy trochę odcięci od świata. Odbiór telewizji nigdy nie był dobry, a potem urwał się zupełnie. Zostało nam tylko radio. Wiedzieliśmy o wszystkim... Większość z nas przesiedziała całą noc na rynku. Mogliśmy dostrzec światła na horyzoncie wokół doliny. Zdawaliśmy sobie sprawę, co się działo. Zdecydowaliśmy, że życie w zniszczonym świecie nie będzie życiem. Wszyscy z wyjątkiem sześciu rodzin, które wyjechały i prawdopodobnie już nie żyją. Jemy w zasadzie tylko to, co uprawiamy w ogródkach warzywnych. Stacja benzynowa zaopatrzyła się jeszcze przed wojną, a że prawie nikt nie jeździ, więc nie zużywamy paliwa. Wielu z nas, prawie wszyscy, chodzi zwyczajnie do pracy.

- Postanowiliście żyć tak jak przedtem - powiedział Rourke.

- Mniej więcej - uśmiechnęła się i pociągnęła łyk kawy. Potem dołała Rourke'owi. - Przynajmniej próbowaliśmy.

- Ale...

- Ale zorientowaliśmy się, że to nie może trwać długo, chociaż bardzo się staraliśmy. Zawsze byliśmy silnie związani.

- Nie jesteś stąd - powiedział beznamiętnie Rourke, popijając kawę.

- Nie, nie jestem. Mój mąż urodził się tutaj. Razem studiowaliśmy na Akademii Medycznej. Pobraliśmy się i przywiózł mnie w to miejsce.

- Z czego utrzymywało się miasto? - spytał. - Widziałem fabrykę...

- Jest tutaj dopiero od siedmiu lat. Wcześniej było tu tylko rzemiosło. Fabryka wytwarza jakiś sprzęt dla Departamentu Obrony. Ludzie, którzy w niej pracują, nigdy nie byli pewni do końca, co to jest.

- Zresztą to już nie ma znaczenia - stwierdził rzeczowo.

- Fabryka jest wciąż czynna...

- I co wytwarza? - prawie się zachłysnął.

- To, co przedtem. Wszystko jest tak samo, jak było wcześniej.

- To bez sensu. Istny obłąd. Po co? - zapytał ją. - Rozumiem świętowanie, to jest zawsze przyjemne. Cieszymy się, dopóki możemy. Ale co potem? Co zrobicie, gdy skończą się zapasy żywności i... ?

- Nic nie zrobimy.

Rourke zapalił jedno ze swych cygar. Powoli ich zapas zaczynał się kończyć. Będzie go musiał uzupełnić w miejscu odwrotu.

- Jakie było twoje rzemiosło?

- Sztuczne ognie - uśmiechnęła się.

Poczuł się obco, zdając sobie sprawę z tego, co mówiła. - Nie jesteś...

- Kiedy obcy przyjechali po Nocy Wojny, zapraszaliśmy ich, aby zostali. Niektórzy z nich

przyłączyli się do nas, resztą zajęła się policja, ale zostaną wypuszczeni. Dlatego policja musi pracować całą dobę.

- Kiedy zostaną uwolnieni?

- Boże Narodzenie było naszym ulubionym świętem. Wszyscy zjednoczeni z rodziną i przyjaciółmi...

Rourke obejrzał się za siebie w stronę czytelnicy za szybą. Była ciemna i pusta. Spojrzał na zegarek. Było już po piątej. Zamazywał mu się obraz przed oczami.

- Chciałabym, żebyś został.

Wstał i nagle poczuł się dziwnie. Pochylił się nad biurkiem.

- Kawy - wymamrotał.

- Zaminowaliśmy całą okolicę. Pojutrze w nocy odbędzie się pokaz sztucznych ogni, a potem wszyscy... każdy z nas...

Rourke opadł na biurko, przeklinając w myśli swoją głupotę. Podniósł na nią wzrok.

- Zbiorowe...

- Samobójstwo - z uśmiechem dokończyła jego myśl. - Wszyscy. Dwa tysiące trzystu czterdziestu ośmiu mieszkańców. Dlatego nikt nie zważał na kłamstwa, John, gdy mówiłam do ciebie Abe.

Miał problemy ze słyszeniem i widzeniem. Chwycił swój pistolet, ale przytrzymała jego nadgarstek. Nie mógł ruszyć ręką.

- Ja jako jedyna nie mam rodziny. Mój mąż nie żyje. Nie mieliśmy dzieci, nigdy nie było na to czasu. Ale nie umrę sama, John.

Chciał przemówić, ale język miał ciężki i bezwładny.

- Pomagałam mojemu mężowi w klinice. Znam się na narkotykach. Nie będziesz w stanie nic zrobić, John, dopóki nie będzie za późno, a wtedy umrzesz razem ze mną.

Z uśmiechem głaskała go po głowie. Poczuł, jak nachyla się nad nim i całuje go w policzek.

- Wszystko będzie dobrze, John. Tak będzie najlepiej. Umrzemy wszyscy. I wszystko będzie tak jak zawsze, normalne.

Rourke próbował otworzyć usta, ale nie mógł.

## Rozdział XXIII

Padał teraz rzęsimy deszcz, ale nie było zimno. Krople wpadały mu za kołnierz pożyczonej wojskowej kurtki. Włosy miał zbyt mokre, aby opłacało mu się zakładać kaptur. Rękawice przemoczone. "Schmeisser" był zawinięty w karimatę, a browninga włożył pod kurtkę. Nawet buty miał mokre, gdyż jadąc Harleyem, rozbryzgiwał głębokie na kilka cali kałuże na powierzchni drogi. Jechał powoli, aby nie chlapać zbyt mocno i nie zamoczyć silnika. Spojrzał w bok przez pokryte kroplami okulary. Kentucky. Wjechał do Kentucky. Paul Rubenstein zastanawiał się nad dwiema rzeczami: czy zobaczy jeszcze kiedykolwiek Natalię, która teraz była już bezpieczna wśród Rosjan, i czy Rourke odnalazł Sarah z dziećmi, przejechawszy przez śnieżycę?

Natalia powiedziała rosyjskim żołnierzom, że on, Rubenstein, jest sowieckim szpiegiem, który przewiózł ją przez amerykańską strefę, jako że ludzie z Ruchu Oporu znali go, a nawet uważali za swego członka. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy potwierdzał jej wyjaśnienia. Sprawdzili listy uwierzytelniające Natalii, a jego wypuścili.

Rozmawiając kilka jardów od grupy żołnierzy, uścisnęli sobie tylko dłonie i Natalia przesłała mu pocałunek. Potem wsiadł na motor i ruszył poprzez zamieć. Obejrzał się za siebie, nie machała do niego, ale czuł, że zrobiłaby to, gdyby mogła.

Rubenstein nie martwił się o to, czy Rourke przebrnął przez śnieżycę. John był niezwykły, nie do zatrzymania. Puścił na chwilę kierownicę, aby poprawić okulary. Zastanawiał się, czy John odnalazł już rodzinę.

## Rozdział XXIV

Tildie wyszła z wody w chwilę po tym, jak Sarah wyciągnęła na brzeg Michaela. Annie zauważyła ją pierwsza.

Sarah rozpałała ognisko niedaleko brzegu, za zasłoną kilku skał i glinianej skarpy. Zrobiła, co mogła, aby rozgrzać dzieci i zajęła się koniem. Jedyнным sposobem rozgrzania Tildie był ruch i nacieranie jej. Jeździła wzdłuż brzegu, w zasięgu wzroku dzieci, tam i z powrotem. Zimny wiatr zmroził ją do szpiku kości, ale klacz powoli rozgrzewała się. Sarah przywarła do Tildie, wtulając się w jej grzywę, aby znaleźć osłonę przed wiatrem. Temperatura była niska, lecz dużo wyższa niż poprzedniego dnia. W głębi serca wiedziała, po co tak jeździ wzdłuż brzegu. Chciała zastanowić się, co dalej? Musiała poszukać Sama, konia jej męża i syna. Tildie nie mogła wieść Michaela, Annie i jej przez dłuższy czas. Poza tym wchodziło tu w grę uczucie pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem. Chciała wiedzieć, czy Sam jest martwy, czy też żyje i może leży gdzieś połamany. Wstrzymała klacz. Do tamy było około ćwierć mili. Stojąc na skarpie z czerwonej gliny dostrzegła, jak coś się w dole poruszyło.

- Sam! - Sarah nie chciała ryzykować zejścia ze skarpy na Tildie.

Zsiadła z konia i przywiązała go do młodej sosny georgijskiej. Ruszyła wzdłuż skarpy w kierunku drzew rosnących nad brzegiem. Dostrzegła teraz wyraźnie sylwetkę zwierzęcia. Zatrzymała się przy nadbrzeżnych drzewach.

- Sam! - Biała sierść konia pokryta była czerwienią. Czyżby krew? Koń podszedł bliżej i ujrzała, że było to tylko błoto. Wyciągnęła ręce. Wystraszone i wycieńczone zwierzę zbliżyło się do niej, wsuwając pysk w jej dłonie.

- Sam! - Przytuliła się do niego, wycierając czerwona glinę z jego szyi.

Założyła mu siodło i wskoczyła na niego ściągając lejce. Stopy majtały się jej poniżej strzemion dopasowanych do nóg Michaela.

- Zabiorę cię stąd, Sam - szepnęła głaszcząc go łagodnie po ubrudzonej czerwona glina białej szyi i grzywie, która kiedyś była czarna.

- Zabiorę cię stąd - trąciła go kolanami.

Minęło sporo czasu, zanim wspięła się po skarpie na wyczerpanym koniu i odnalazła Tildie. Sarah przesiadła się na Tildie, a Sama prowadziła, trzymając go za uzdę. Glina na jego ciele zaczynała zasychać i odpadać. Wracając do dzieci, zobaczyła tylko trzęsącą się Annie. Michaela nie było. Zamarła na moment. Ujrzała go po chwili, targającego naręczą drewna do ogniska. Zauważyła, że nie miał na sobie kurтки, oddał ją siostrze. Sarah swym ciałem rozgrzała Annie. Mówiła, ni to do dzieci, ni to do siebie, w zasadzie głośno myśląc:

- Straciłam karabin. Konie są wyczerpane. Szaleńcy, którzy byli razem z tym, co miał naszyjnik z ludzkich zębów, są prawdopodobnie gdzieś niedaleko...

Nagle usłyszała coś, co najpierw ją przeraziło, a potem dodało otuchy. Byli to z pewnością bandyci, ale dobiegł ją warkot ciężarówki. Zostawiła Michaela i Annie wraz z końmi pół mili dalej,



zaś sama, drząc z zimna, w przemoczonym ubraniu, zaczęła się w zaroślach blisko brzegu. Zauważyła jeden samochód, pickup, z kanistrami zapasowego paliwa na skrzyni. Z dodatkową benzyną mogłaby włączyć ogrzewanie. Był to ford. Często jeździła takim pickuperem. Poradziłaby sobie z prowadzeniem go. Dostrzegła dziesięciu bandytów. Jeśli dwóch jechało w pickupie, to sądząc po ośmiu zaparkowanych samochodach, widziała ich wszystkich. Wytarła prawą dłoń o mokre spodnie i chwyciła nią pistolet maszynowy. Nie wiedziała, czy proch nie zamókł, czy w ogóle wystrzeli albo czy nie wybuchnie jej w rękach.

Był tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Wyszła zza drzew, podchodząc bliżej brzegu. Bandyci zgromadzili się wokół ogniska, dosyć daleko od wozu. Broń położyli obok na ziemi lub też oparli o drzewa. Leżały tam karabiny typu Colt, a może nawet AR-15, takie jak ten, co utonął w jeziorze.

Wszystko na nic, jeśli w stacyjce nie będzie kluczyka. Wiedziała, że można zapalić samochód bez klucza, ale nie potrafiła tego zrobić. Z wodą chlupiącą w butach, z mokrą chustą na głowie, drząc pod wełnianym płaszczem, ruszyła w kierunku samochodu. Nagle skoczyła, kryjąc się za kabinę wozu. Usłyszała charczący głos jednego z bandytów:

- Idę się odlać, za sekundę wracam.

Odgłos kroków zbliżał się. Przywarła przodem do kabiny pickupa. Silnik był gorący i poczuła jego ciepło. Kroki bandyty stawały się coraz głośniejsze. Odbezpieczyła pistolet, który trzymała w prawej ręce. Wstrzymała oddech. Mężczyzna minął ją i poszedł w kierunku drzew, pomiędzy których wyszła. Odetchnęła. Zabezpieczyła pistolet i spojrzała do tyłu, za ciężarówkę, w kierunku pozostałych dziewięciu bandytów. Wciąż stali wokół ogniska. Wyprostowała się i przeszła na stronę kierowcy. Drzwi były zamknięte. Zanim otworzyła je, spojrzała do wewnątrz.

- Dzięki ci, Boże - szepnęła. Kluczyk był w stacyjce. Przełożyła pistolet do lewej ręki, a prawą nacisnęła kłamekę.

Drzwi otworzyły się, lekko zgrzytając w zawiasach. Obejrzała się. Żaden z bandytów nie odwrócił się. Wsiadła do kabiny i wtedy usłyszała:

- Hej, hej, ty kurwo!

Spojrzała do przodu przed ciężarówkę. Był to ten mężczyzna, który minął ją, idąc w krzaki. W tym momencie przeklinała mężczyznę za to, że mogą zrobić to tak szybko.

Przełożyła pistolet do prawej ręki i odbezpieczyła go kciukiem. Wsunęła lufę pomiędzy kabinę a drzwi. Nie powiedziała: "Stój! Nie podchodź bliżej!". Dawna Sarah Rourke zrobiłaby to. Czowała to. Pociągnęła za spust. Pistolet podskoczył jej w dłoni. Twarz mężczyzny zalała krew. Odłożyła pistolet i ponownie zablokowała go. Przekręciła kluczyk, lewą stopą nacisnęła sprzęgło, a prawą trzymała na gazie. Nie ujechała jednak daleko. Silnik warczał, ale maszyna stała w miejscu. Łokciem wcisnęła blokadę drzwi, aby w razie czego mieć więcej czasu, i znalazła ręczny hamulec. Usłyszała zgrzytanie zawiasów. Spojrzała w bok i ujrzała twarz jednego z bandytów.

- Co za cho...

Chwyciła za broń, uprzedzając w tym mężczyznę i wystrzeliła. Jego oko jak gdyby eksplodowało, a ciało osunęło się. Zwolniła ręczny hamulec i puściła sprzęgło. Popatrzyła w lewo. Jeden ze zbirów chwycił się drzwi kabiny. Jadąc słyszała, jak miotał przekleństwa i walił pięścią w szybę. Obejrzała się i dostrzegła rozwścieczoną twarz mężczyzny stojącego na skrzyni. Włączyła wsteczny bieg. Przyśpieszyła i tyłem fordą zmiażdżyła motory. Siła bezwładności odrzuciła ją do tyłu, gdy zahamowała. Zapomniała o sprzęgle. Silnik zgasł. Mężczyzna cały czas walił pięścią w szybę, wisząc na kabinie. Wcisnęła sprzęgło lewą nogą i przekręciła kluczyk w stacyjce. Samochód nie

zapalił. Usłyszała strzały. Kule zadźwięczały, uderzając o kabinę. Wciągnęła powietrze i omal nie krzyknęła. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Kula trafiła w prawe boczne lusterko. Znowu przekreśliła kluczyk.

- Proszę cię, zapal! Zapal!

Silnik zaskoczył. Wrzuciła pierwszy bieg i dodała gazu, puszczaając sprzęgło. Pickup skoczył do przodu. Zerknęła we wsteczne lusterko. Motory były teraz kupą zgniecionego żelastwa, powykręcane i przyciśnięte do drzewa, jakby były z papieru. Mężczyzna, który uczepił się boku kabiny, ciągle walił w szybę. Bandyta na skrzyni był teraz przy kabinie. Sarah skręciła gwałtownie w prawo i rzuciła go z wozu. Strzały padały coraz częściej. Przelatująca kula utworzyła na tylnej szybie "pajęczynę". Starła się jechać szybciej. Mężczyzna z boku zaczął teraz walić w szybę głową, wykrzykując coś do niej. Musiała najpierw odjechać kawałek. Zabłąkana kula mogła trafić w kanistry z benzyną umieszczone z tyłu wozu. Wybuch zabiłby ją. Co stałoby się wtedy z Michaeliem i Annie? Nie mogła otworzyć okna, aby zastrzelić tego mężczyznę. Przejechała - tą stroną samochodu, której uczepony był bandyta - blisko drzewa, prawie ocierając się o nie. Usłyszała jego głośny krzyk. Bryzgi krwi poplamiły boczną szybę. Wyrównała bieg i pojechała dalej. W lusterku widziała goniących ją i strzelających mężczyzn. Już nie byli groźni.

Po zmyleniu bandytów wróciła do Michaela i Annie. Następnie sprawdziła benzynę w samochodzie. "Wystarczy, aby dojechać do Tennessee, na farmę Mullinerów lub jej poblizę" - pomyślała.

Dzieci siedziały już od dziesięciu minut w kabinie, zawinięte w koce znalezione z tyłu. Ogrzewanie działało na pełnych obrotach, więc mogły zdjąć mokre ubrania

Odpięła siodła Sama i wrzuciła je na skrzynię. To samo zrobiła z siodłem Tildie. Potem podeszła do koni. Objęła Tildie za szyję, a Sama pogłaskała po czole między oczami.

- Kocham was oboje - szepnęła, całując w pyski. Zdjęła im uzdy i klepinięciem w zady pognęła wzdłuż brzegu. Popatrzyła za nimi przez chwilę. Wiatr rozwiewał im grzywy, a ich ogony były uniesione. Sarah odwróciła się i zapłakała.

## ROZDZIAŁ XXV

Powietrze wydawało się dosyć ciepłe. Wiatr rozwiewał jej włosy, a pożyczony motocykl huczał miarowo. Pochyliła się mocno, biorąc ostry zakręt i odczytała napis na zaroszonym, pochylonym drogowskazie. Kiedyś było tu muzeum, a teraz zamieniono je na koszary. Natalia przyśpieszyła. Ten Kawasaki nie był tak dobry jak motor Rourke'a, "Ach, Rourke..." - pomyślała. Zastanawiała się, czy znalazł już Sarah i dzieci. "Czy byli już razem?" "Paul" - uśmiechnęła się. Był dobrym człowiekiem, przyjacielem ich obojga. - Obojga - powtórzyła głośno, lecz nie usłyszała swego głosu, zagłuszył go warkot silnika. Takie słowa jak "oboje", "my", nie miały już dla niej żadnego znaczenia.

Jezioro Michigan było spokojne. Z przyjemnością patrzyła na małe grzywiaste fale w oddali. Przymknęła na moment oczy. Była bardzo zmęczona.

Nie chciała zostawać razem z oddziałem żołnierzy, którzy zatrzymali ją i Paula. Pojechała z nimi do Gray w Indianie. Stamtąd wraz z pożyczonym motocyklem poleciała samolotem ponad zgliszczami Chicago na południowy brzeg jeziora. Z miasta nie pozostał żaden budynek, drzewo, ani źdźbło trawy. Na pustych ulicach nie bawiły się dzieci, nie zawył pies. Takie były skutki neutronowego bombardowania. Potem skierowała się na północ, do muzeum, którego Warakow strzegł tak starannie, że urządził w nim swoje biuro. Mieściła się tu również kwatera dowództwa KGB. Natalia zastanawiała się, czy Roźdiestwieński już przybył, aby objąć stanowisko po jej mężu. Słyszała pogłoski, że przyleciał. Nie wątpiła w nie, choć nie były sprawdzone.

Omali nie minęła wartowni wciśniętej w małą aleję po lewej stronie. Zwolniła tylko, żeby wartownicy mogli ją rozpoznać, ale nie zatrzymała się. Zasalutowali. Ona skinęła głową.

Zatrzymała się przy schodach muzeum. Zsiadła i postawiła motor na stopce. Odgarnęła włosy z twarzy.

- Major Tiemerowna... jesteście...

- Żywa - uśmiechnęła się, patrząc w twarz młodemu człowiekowi. Był to kapral, często trzymający straż przed muzeum. - Dziękuję wam za troskę - znów się uśmiechnęła. - Proszę, postarajcie się o to, by ten motocykl został zwrócony kapitanowi Konstantinowowi z Gray w Indianie, pożyczyl mi go.

- Tak jest, towarzyszeko major - zasalutował młody człowiek. Skinęła tylko, wskazując na swe cywilne ubranie i ruszyła na górę. Pistolety w kaburach obijały się jej o biodra. Amerykańskie Orły wygrawerowane na lufach wywoływały zdziwienie towarzyszy w Indianie. Uśmiechnęła się myśląc o tym. Był to prezent, dowód przyjaźni, więc będzie je nosiła cały czas.

Stojąc na ostatnich stopniach schodów, spojrzała na czerwono-pomarańczową kulę słońca nad taflą jeziora. "Ile czasu jeszcze zostało?" - zastanawiała się. Pomyślała o Rourke'u. Potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu włosy. Przez mosiężne drzwi weszła do muzeum. Szła przez obszerny główny hall. Zobaczyła mastodonty, które jej wuj studiował prawie obsesyjnie. Ujrzała go tak, jak się spodziewała, stojącego na małym balkonie półpiętra, wpatzonego w ciała ogromnych zwierząt,

W hallu był duży ruch. Nie zważała na ludzi. Mijając w biegu ich i mastodonty, zawołała:

- Wujku Ismaelu? Odwrócił ku niej twarz.

- Wujku!

Dostrzegła uśmiech na jego mięsistych wargach. Wbiegła po schodach, po dwa stopnie na raz. Rozłożył na powitanie ramiona, a poły jego kurtki rozchyliły się, ukazując wydatny brzuch. Brzuch wuja był zawsze taki sam, jak daleko sięgała pamięcią. Przypominał brzuch jej ojca. Rzuciła mu się w ramiona, jak córka. Objęła go za szyję i poczuła jego mocny uścisk.

- Natalia Anastazja - wyszeptał.

- Wujek - uściśnęła go mocniej.

- Nic ci nie jest, dziecko? - spytał ją. Objął ją ramieniem i zwrócił się w kierunku głównego hallu. Stała obok niego.

- Nie, wujku, nic mi nie jest.

- Ta śnieżyca... Kiedy usłyszałem, że nasze oddziały odnalazły cię, moje serce, jeśli to w ogóle możliwe w przypadku starego człowieka, zaśpiewało - powiedział nie patrząc na nią.

Przyglądała się jego twarzy.

- Gdy nie otrzymałem wiadomości od amerykańskiego prezydenta, Chambersa, zacząłem się o ciebie bać.

- John Rourke zabrał nas wszystkich z Florydy, wujku. Pomógł Paulowi Rubensteinowi odnaleźć rodziców. Wystartowaliśmy w....

- W chwili ostatecznego wstrząsu. Dzięki... - spojrzał na nią i zaśmiał się. - Tak, Leninowi niech będą dzięki, moje dziecko. - znowu zarechotał. - Ten mężczyzna, tajny agent, który był z tobą, kiedy znaleźli was żołnierze, domyślam się, że to był ów młody Żyd, Paul Rubenstein.

- Tak, wujku - odpowiedziała cicho, patrząc w bok. - Nie mogłam...

- Zdradzić przyjaciela? Wiem, że nie byłabyś do tego zdolna, moje dziecko. Ale powiedz mi, to ważne, czy ten młody...

- Tak, to był Paul Rubenstein - powiedziała szukając w torbie papierosów. Wyjęła jednego i zapalniczkę. Zapaliła, mocno zaciągając się dymem.

- Palenie to zły nawyk. Palisz coraz więcej od śmierci Karamazowa.

- Wiem - uśmiechnęła się wypuszczając dym nosem. Popatrzyła, jak niebieski obłok wisiał przez chwilę w powietrzu, póki się nie rozproszył.

- Nie prędko zobaczysz Rourke'a. Przejmujesz się tym?

- Czy został poj...

- Pojmany? Czasami przypomina bardziej ducha niż człowieka. Nie, nie złapaliśmy go, ale muszę się z nim zobaczyć.

Właśnie uniosła papierosa, by się zaciągnąć, gdy poczuła, że drżą jej ręce.

- On nie jest...

- W takim razie źle to powiedziałem - Warakow uśmiechnął się. - Czy możesz dla mnie odnaleźć Rourke'a?

- Wujku, ja...

- Nie prosiłbym cię, gdyby ta sprawa nie była taka ważna. Potrzebuję kogoś z poczuciem honoru, kogoś, kto... Zresztą wytłumaczę ci to później, Natalio. Nie możesz go dla mnie znaleźć?

- Nie wiem, gdzie go szukać, wujku - odpowiedziała. - Wyjechał na poszukiwanie żony i dzieci. Rozstaliśmy się w śnieżycę...

- Pojechał sam, a Rubensteina posłał z tobą dla bezpieczeństwa?

- Tak. Próbowalam mu wytłumaczyć, że mogłabym...

- Postąpił jak prawdziwie kochający mężczyzna. Jest odpowiedzialny za dwie kobiety i wobec obu lojalny. Szuka jednej, tymczasem drugą, która doskonale poradziłaby sobie sama bez niczyjej opieki, oddaje w opiekę swemu najlepszemu przyjacielowi. Zrobił to samo, co ja zrobiłbym na jego miejscu. Powinien być Rosjaninem ten Rourke.

- Chciałabym, żeby był - uśmiechnęła się. Nie patrzyła na Warakowa, gdy powiedział:

- Opisz mi najdokładniej Rubensteina i jego samochód.

- Motor. Taki sam jak Rourke'a, cały niebieski.

- Tak, niebieski motor. A kierunek, w którym jedzie? Nawet teraz, w odwrocie, Roźdiestwieński przegrupowuje moje oddziały, przygotowując siłę uderzeniową. Muszę porozmawiać z Rubensteinem, aby odnaleźć Rourke'a. On ma miejsce, z którego może działać, a ten Żyd może go odszukać. Muszę się widzieć z Rourke'em.

- Po co? - spojrzała na wuja.

- Musisz mi zaufać, że nic nie stanie się ani jemu, ani Rubensteinowi. W czasie, gdy moi ludzie będą szukali tego młodego człowieka, mam dla ciebie zadanie do wykonania. Jest to chyba najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek otrzymałaś.

- Gdzie mam jechać, wujku?

- Do gabinetu Roźdiestwieńskiego. Chodźmy, opowiem ci wszystko. Zgasła papierosa w popielniczce. Jej dłonie były spocone. Powoli, bo chore nogi Warakowa nie pozwalały mu chodzić szybko, zeszli na dół do hallu.

## ROZDZIAŁ XXVI

Nehemiasz Roźdiestwieński rozparł się wygodnie w fotelu.

- Tak... Tak, towarzyszu... Nie słyszę was!... Połączenie... teraz słyszę... Prace nad budową "Łona" trwają. Właśnie przygotowuję do uruchomienia najważniejsze fabryki... - słuchawkę telefonu przytrzymał przy uchu ramieniem. Siedział za biurkiem naprzeciw wielkiego lustra. Szukając papierosów mógł patrzeć na połyskujące w lustrze czubki swoich butów. - Nie, towarzyszu, nie zrobiłem kopii dokumentów "Projektu Eden". Mogłyby dostać się w niepowołane ręce - kaszlnął, by usprawiedliwić fakt, iż wpadł w słowo najwyższemu dowódcy KGB, Anatolowi Tporiczowi. - Nie, towarzyszu. Kurier przywiezie wam kopię streszczenia i mój wstępny raport z odkrycia. Nie będzie żadnej pomyłki. Zadbam o to, by fabryki pracowały na cztery sześciogodzinne zmiany. Pracownicy i inżynierowie będą wypoczęci. Będą mieszkali w fabrykach, bez możliwości kontaktu z kimkolwiek z zewnątrz - zakasłał, gdyż znów przerwał zwierchnikowi. - Tak, towarzyszu, tylko członkowie KGB... Nie, towarzyszu, nie major Tiemerowna. Zgadzam się, że jej lojalność budzi wątpliwości.

Tporicz instruował go o środkach ostrożności. Roźdiestwieński nie znosił, gdy pouczano go w dziedzinie, w której uważał się za eksperta. Był poirytowany.

- Będę miał oczy otwarte, towarzyszu... Halo! Nie słyszę was, towarzyszu! - W słuchawce zapanowała cisza. Połączenie było możliwe tylko dzięki wysokościowym bombowcom tworzącym kanał radiowy między kontynentami. Bombowce zastąpiły niesfunkcjonujące od Nocy Wojny satelity.

- Halo!... Słyszę was znów, towarzyszu - Roźdiestwieński zapalił papierosa. Przez moment oglądał w lustrze swoje lśniące zęby. - Tak... zdaję sobie sprawę z tego, że pozostało niewiele czasu. "Łono" będzie gotowe... Przysięgam jako lojalny członek partii.

Połączenie urwało się. Roźdiestwieński kolejny raz wziął do rąk streszczenie "Projektu Eden". Było jasne, zwięzłe, ale niepełne. Potrzebował więcej informacji. Nie powiedział o tym Tporiczowi. Zdąży dowiedzieć się wszystkiego na czas. Musi zdążyć, aby przeżyć. A przeżyć znaczyło dla niego wszystko. Zawsze czuł, po życiu nie było już nic.

## ROZDZIAŁ XXVII

Licznik Harleja łakomie połykał mile od ostatniego przystanku w ukrytym, wojskowym punkcie paliwowym, o którym Rourke powiedział Paulowi. Rubenstein czuł się teraz o wiele lepiej. Jechało mu się dobrze. Było ciepło. Mknął przez Kentucky, zbliżając się do granicy Tennessee.

Na wzniesieniach nieprzyjemna chlapa i błoto utrudniały jazdę. Wieczorem spadła temperatura. Chciał więc dotrzeć jak najbliżej Georgii. Byłby wtedy przed zmrokiem w pobliżu Savannah. Rourke powinien przemierzać teraz przez tereny Georgii lub Karoliny w poszukiwaniu Sarah i dzieci. Być może już ich znalazł. Paul uśmiechnął się na samą myśl o tym. Czy wobec tego nie powinien zawrócić?

“Muszę zerknąć na plan - pomyślał. - Jeżeli Rourke zaznaczył...” Hałas silników śmigłowca zmusił Paula do spojrzenia w górę. Amerykański helikopter z domalowaną sowiecką gwiazdą leciał nisko, doganiając go.

- Cholera! - Rubenstein pochylił się nad kierownicą, dociskając gaz do dechy. Zdążył już prawie zapomnieć o Rosjanach. - Czego chcecie? Zabawić się moim kosztem? - rzucił przez zaciśnięte zęby. Puścił na chwilę kierownicę i poprawił okulary.

Helikopter wisiał tuż nad nim. Paul sięgnął po pistolet, lecz maszyna uniosła się poza zasięg jego ognia i odleciała. Zatrzymał Harleja, aby się rozejrzeć. Na prawo była polna droga, niewiele szersza od wydeptanej ścieżki. Zastanawiał się, czy w nią skręcić. Powracający śmigłowiec przyspieszył decyzję. Motocykl, kołami buksując w piachu, skręcił ostro w prawo i podskoczył na płaskim kamieniu przy zjeździe w polną drogę. Silnik głośno ryczał na niewielkiej pochyłości gruntu.

- Paul Rubenstein! Zatrzymajcie się i odłóżcie broń, a nic wam się nie stanie! - nawoływał głos przez tubę.

Paul spojrział w górę. Helikopter wisiał nad nim. Motor znów podskoczył na wyboju, wyjeżdżając na szeroki most. Na horyzoncie pojawił się drugi helikopter. Głos dalej wołał:

- Kontynuując ucieczkę możecie sobie zaszkodzić! Poddajcie się! Nie zrobimy wam nic złego!

- Spadaj! - krzyknął Rubenstein w górę, lecz pęd powietrza wzniesiony przez motor zdławił i zagłuszył jego krzyk.

Drugi śmigłowiec zawisł nisko nad ziemią naprzeciw Paula i zagroził mu drogę. Rubenstein zauważył w otwartym wejściu kilku umundurowanych żołnierzy.

Znów usłyszał głos Rosjanina:

- Paul Rubenstein! Działamy z rozkazu generała Warakowa. Zatrzymajcie się natychmiast i odłóżcie broń!

Zauważył nagle coś, co wyglądało jak jeleni trakt, który pokazywał mu kiedyś Rourke. Skręcił ostro w lewo, wjeżdżając w ten wąski przesmyk pomiędzy drzewami. Gałęzie smagały go po twarzy i ciele. Ścieżka była znacznie bardziej wyboista niż polna droga.

- Paul Rubenstein... Rozkazujemy wam...

Spojrział do góry, przeklinając pod nosem. Wtem dostrzegł zwalone w poprzek ścieżki drzewo.

Zahamował, lecz Harley wysliznął się spod niego. Paul stracił równowagę i upadł. Zerwał się na nogi. Harley zniknął gdzieś w krzakach. Mężczyzna ruszył biegiem. Wyszarpnął spod kurtki stary High Power. Zatrzymał się w prześwicie między drzewami. Oddał dwa strzały w kierunku najbliższego helikoptera. Maszyna cofnęła się. Rubenstein skręcił w jakąś ścieżkę. Nie widział drugiego śmigłowca. Seria z karabinu zryła ziemię i trzasnęła w drzewa dziesięć jardów za nim. Uciekał, rękoma osłaniając twarz przed uderzeniami gałęzi. Ramiona obsypał mu mokry, spadający z drzew śnieg. Ogień z karabinu przybliżał się coraz gwałtowniej. Paul upadł na kolana. Odwracając się błyskawicznie, posłał za siebie dwie krótkie serie.

Helikopter zawrócił.

- Ty draniu! - Rubenstein uśmiechnął się pogardliwie. Zerwał się na równe nogi i chciał biec dalej. Trzech rosyjskich żołnierzy zastąpiło mu drogę. "Drugi helikopter wysadził ludzi" - przemknęło mu przez myśl. Chciał podnieść pistolet do strzału, ale coś uderzyło go w tył głowy. Upadł na twarz, wypuszczając broń z ręki. Ktoś za nim powiedział coś po rosyjsku. Odwrócił się na plecy, kopiąc jednego z Rosjan w krocze. Mężczyzna zgiął się wpół. Paul wyciągnął rękę, chwycił się munduru żołnierza. Podnosząc się na kolana, walnął go pięścią w twarz. Zerwał się do ucieczki. Ktoś skoczył na niego, przygniatając go do ziemi. Rubenstein nagłym ruchem lewego łokcia zadał cios do tyłu. Usłyszał jęk i coś, co mimo bariery językowej wydawało mu się przekleństwem. Wstał. Nadbiegającego powalił na ziemię lewym sierpowym. Usłyszał za sobą czyjś oddech. Odwrócił się. Leciały ku niemu, niczym baseballowy kij, dwie złączone pięści. Poczul na szyi uderzenie. Ogarnęła go błoga ciemność.



## ROZDZIAŁ XXVIII

John Rourke otworzył oczy. Obraz rozmył się. Powieki same opadały, chroniąc oczy przed ostrym światłem. Czuł ból brzucha i lewe ramię doskwierało mu jak zepsuty ząb. Chciał poruszyć ręką, próbował wstać, ale wszystkie członki odmawiały mu posłuszeństwa. Coś zacisnęło mu się na szyi, stracił oddech. Upadł. Czyjeś ręce szarpnęły go do góry za ramiona.

- John, mówiłam ci ostatnim razem, żebyś nie próbował wstawać. Teraz już wiesz, że nie możesz chodzić - mówił kobiecy głos. - Święto Dziękczynienia już się skończyło. Przykro mi, że nie zjadłeś indyka. Zwracałeś wszystko, co ci podałam. Ale jutro jest Boże Narodzenie i wszystko się skończy.

Rourke potrząsnął głową, mamrocząc:

- Lubię indyka.. Dziękczynienie... Boże Narodzenie?

- Pomogę ci podnieść się na łóżku - uśmiechnęła się nad nim jakaś kobieca twarz.

- Sam sobie poradzę - powiedział czując jej ręce pod pachami. Chciał jej pomóc, czuł dotkliwe zimno od podłogi. Rozebrany? Kątem oka zerknął na swoje ręce. Związane. Nogi w kostkach też. Coś dookoła szyi dusiło go znowu.

- Przepraszam, John. Sznur przywiązałam do łóżka. Poluzuję go. - Ucisk na szyi zelżał.

- Dzięki, Martha. Martha? Martha Bogen? - przypomniał sobie. - Kawy - zacharczał. Nie poznawał swojego głosu. Język miał suchy, ciężki i piekący.

- O to samo prosiłeś, gdy dałam ci poprzednio dwa zastrzyki. Dosypałam do kawy hydratu chlorku, ale chyba przedobrzyłam, dlatego tak się czujesz. Po wypiciu pierwszej filiżanki wstrzyknęłam sobie apomorfinę. Zwróciłam wszystko i nic na mnie nie zadziało. Jesteś zapominalski, John.

- Nie... - Zastanawiał się, dlaczego było mu niedobrze. Czy dlatego, że był zapominalski? Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego było mu niedobrze?

Wbiła mu igłę w ramię i znów poczuł ból. Dlaczego zrobiła mu dwa zastrzyki? Próbował myśleć, ale nie mógł. Powiedziała, że te mdłości ma od hydratu chlorku, a nie od zastrzyków.

- Nie od zastrzyków - powtórzył głośno ostatnią myśl.

- Dam ci antidotum, po trzydziestu sekundach poczujesz się dobrze, naprawdę. Potem trzymając się za ręce, będziemy oglądali sztuczne ognie, a góry zawałają się na nas. Umrzemy razem. Żadne z nas już nigdy nie będzie samotne, John.

Spojrzał na nią. Jej twarz wydawała mu się zniekształcona jak w krzywym zwierciadle. Uśmiechała się.

- Cały czas mam leki mojego męża, John. Więc gdy przyjdzie czas, mogę cię szybko wyleczyć. Jeszcze tylko jeden dzień. Będziesz się czuł tak, jakbyś był bardzo pijany, ale nie przejmuj się. Kiedy dam ci antidotum, znowu będziesz sobą.

Poczuł, że pocałowała go w policzek. Próbował poruszyć rękami, ale nie mógł.

- Teraz, John - mówiła do niego głosem matki surowo karcącej dziecko. - Nawet jeśli odwiążesz się, nic ci to nie da. Po tym, co ci wstrzyknęłam, nie możesz ani dobrze myśleć, ani chodzić. Jesteś

zamknięty w suterenie biblioteki. Zabrałam twoje ubrania i pistolety. Wrócę za parę godzin z następną porcją zastrzyków. Może będziesz mógł zjeść trochę zupy lub czegoś innego, gdy spalisz to, co ci dałam. Teraz nie dam ci jeść, bo i tak wszystko zwrócisz.

Znowu poczuł pocałunek na policzku. Odeszła z jego pola widzenia. Usłyszał skrzypnięcie drzwi i szcęk klucza w zamku.

“Nie mam innego wyjścia...” - pomyślał. Spróbował ruchem ramion i bioder przesunąć się na prawy brzeg łóżka. Z trudem przetoczył się przez krawędź. Uderzył ciężko brzuchem i twarzą o podłogę. Z wielkim wysiłkiem przekreślił się na plecy. Światło znów go oślepiło. Zmrużył oczy. Spod przymkniętych powiek przyglądał się sznurkowi na rękach. “Zwykły sznurek od bielizny” - pomyślał. Spróbował szarpnięciem rozerwać więzy, ale ręce były omdlałe, mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

- Bezwład mięśni, kurara - mruknął. Poczul mdłości. Chwilę patrzył w sufit, czekając aż mdłości miną. Potem niezdarnie uniósł nieco tułów i spojrzał za siebie. Sznurek wił się po podłodze. Był przywiązany do filara wspierającego sufit. Kiedy John poruszył głowę, powróz również się przesunął. Drugi koniec tworzył pętlę na jego szyi. “Bezwład mięśniowy” - pomyślał. Gdyby Martha nie znała dawkowania, John udusiłby się. Dawała mu niewielką porcję, tylko na kilka godzin. Mąciło mu się w głowie. Powracały nudności i dreszcze... Nie miała racji, bezwład mięśniowy nie był podobny do przepicia. Zamknął na chwilę oczy.

- Mor... - wykrztusił, gdy wbijała mu znowu igłę w ramię. - Morfina! - krzyknął.

- Dostałeś morfinę wcześniej, John, więc znasz efekty. Poza tym wiesz, że trzeba by znacznie więcej, aby cię uzależnić. Zresztą wszystkie nasze problemy skończą się wkrótce.

“Minęło kilka godzin” - pomyślał. Która mogła być teraz? Czy było już Boże Narodzenie? Znowu poczuł ukłucie w ramię.

- Muszę już iść, John. Proszę cię, nie wstawaj tym razem z łóżka. - Pocałowała go. Usłyszał stukot obcasów na betonowej posadzce. “Obłąd!” Zdawało mu się, że krzyknął, ale nie słyszał swojego głosu, jedynie szcęk klamki w drzwiach i zgrzyt klucza.

- Mor... morfina - szepnął z trudem. Około trzydziestu sekund... Za trzydzieści sekund powinien być znowu sobą. Obezwładniacz mięśni musiał się spalić, nim podała mu morfinę. W przeciwnym razie spowodowałby...

- Morfina - powiedział. - Narcan.

Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli będzie mu to robiła nadal, w końcu go zabije. Tak ciężko oddychać. Dawała mu zastrzyki w zbyt małych odstępach czasu i musiał się wytworzyć zator.

- Umrzeć - zacharczał. Z morfiną mógł walczyć całym swoim ciałem, ale obezwładniacz... Zwymiotował poza krawędź łóżka i zamknął oczy.

## ROZDZIAŁ XXIX

Roźdiestwieński zamknął drzwi i przeszedł dokładnie pod nią, tak że przez kraty otworu wentylacyjnego widziała jego twarz. Trzeba było poczekać, upewnić się, że pułkownik nie wróci. Tego popołudnia została mu oficjalnie przedstawiona. Teraz wołała raczej się z nim nie spotkać.

Ubrana była na czarno. Miała na sobie obcisły kombinezon. Czarny jedwabny szalik, odpowiednio owinięty wokół głowy, maskował twarz i ukrywał włosy Natalii. Dotąd używała w podobnych wypadkach rękawiczek bez palców, ale zwykle zostawiała odciski. Dziś miała na rękach normalne skórzane rękawiczki. Nie mogła przecież zostawić żadnych niepożądanych śladów. Gdyby została schwytana podczas włamania do biura dowódcy amerykańskiego wydziału KGB lub zidentyfikowana później, ona, jej wuj i być może inni ludzie z personelu Warakowa zostaliby postawieni przed sądem i rozstrzelani.

Do kanału wentylacyjnego weszła na drugim końcu piętra, w biurze wuja. Droga przez przewód dłużyła się jej, jakby miała wiele mil.

Spojrzała na zegarek. Czekwała nad wylotem kanału już dziesięć minut. Roźdiestwieński nie powinien wrócić. Przy pomocy cienkiego jak igła, zakrzywionego i namagnetyzowanego wkrętaka odkręciła kratę. Poczekała. Nikt nie nadchodził. Wartownicy byli na drugim końcu korytarza. Znała dokładnie rozkład wart. Wiedziała, że pułkownik nie miał czasu go zmienić. Wszystko było tak, jak wtedy, gdy było to biuro jej męża.

Odczepiła mały haczyk przytrzymujący kratę. Wciągnęła ją do środka. Niechcący stuknęła nią o ścianę kanału. Zamarła w bezruchu. Wartownik przeszedł nie patrząc do góry. Wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Przemaszerował z powrotem tuż pod nią i zatrzymał się. Czekwała przyczajona, gotowa skoczyć na niego. Gdyby została teraz zauważona, gdyby w ogóle została zauważona... Odszedł. Westchnęła z ulgą.

Nasłuchiwała jeszcze chwilę, oddychając ciężko. Byłoby lepiej poczekać do późnej nocy, gdy wartownicy będą senni. Usiadła na brzegu przewodu, powoli zsunęła się w dół i zawisła na rękach. Skoczyła na podłogę z wysokości ośmiu stóp. Pochyliła się w locie, by upaść cicho na ręce i kolana. Szybko wstała i przywarła płasko do ściany. Nikt nie nadchodził. Spojrzała najpierw w kierunku gabinetu, potem zlustrowała hall. Wartownicy stali nieruchomo tyłem do niej, przy wejściu do korytarza. Ruszyła bezszelestnie w kierunku drzwi biura. Wyjęła z rękawiczki klucz, przekręciła go w zamku. Nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się. Zdjęła z ramienia torbę i sięgnęła do jednej z zewnętrznych kieszeni. Wyjęła wąskie, długości dwóch paczek papierosów, skórzane etui. Wyciągnęła z niego długą szpilkę. Zrobiła nią kilka zadrapań na powierzchni zamka, a potem ułamała kawałek szpilki i rzuciła go na podłogę. Narzędzie i pokrowiec schowała z powrotem do torby. Weszła do pomieszczenia. Szybko zamknęła drzwi za sobą. Według informacji wujka nie powinna wywołać niczych podejrzeń. Nie było tu żadnych ultrasonicznych czy fotoelektrycznych alarmów. Wewnątrz gabinetu będą płyty czułe na nacisk, tutaj nie ma nic.

Natalia przeszła przez ciemny pokój, wzięła krzesło stojące przy biurku i wróciła z nim. Uchyliła

drzwi i nasłuchiwała. Nie było żadnych odgłosów. Otworzyła szerzej. Na końcu korytarza nie było nikogo prócz wartowników. Nie odwracali się.

Wyszła z krzesłem. Ustawiała je pod otworem przewodu wentylacyjnego. Wyciągnęła z bocznej kieszeni czarny szalik podobny do tego, który miała na głowie, i rozłożyła na siedzeniu. Teraz weszła na krzesło. Sięgnęła do otworu i ostrożnie przesuwając kratę zamknęła nią wlot. Magnetycznym wkrętakiem przykręciła śruby.

Nagle wstrzymała oddech. Usłyszała rozmowę wartowników. Jeden z nich twierdził, że coś słyszał. Przełożyła śrubokręt do lewej ręki, prawą sięgnęła po nóż do kieszeni na biodrze. Z przygotowanym do ciosu nożem, spięta do skoku, czekała nasłuchując. Nie chciała zabijać niewinnego Rosjanina, ale jeśli będzie musiała, zrobi to.

Nikt nie nadszedł.

Wsunęła nóż do kieszeni i dokręciła śruby. Ostrożnie zeszła z krzesła. Schowała szalik i wkrętak. Przeniosła krzesło pod drzwi. Musiała je odstawić, żeby cicho otworzyć drzwi i wnieść krzesło do pokoju. Postawiła je dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stało. "To podstawowa zasada" - pomyślała.

Przeszła przez pokój do drzwi gabinetu. Drzwi nie powinny być zamknięte. Otworzyła je i wyjęła latarkę. Obejrzała w strumieniu światła podłogę i ściany. Zamknęła oczy, przypominając sobie rozmieszczenie płyt naciskowych. Tą drogą często wychodziła z Karamazowem, gdy wieczorami opuszczali jego biuro. Teraz musiała odwrócić kolejność kroków.

Odważyła się na pierwszy długi krok. Musiała stanąć na chwilę tylko na lewej nodze. Nasłuchiwała. Alarm był cichy, mogli go usłyszeć tylko wartownicy. Zrobiła następny krok, także w lewo. Znowu stanęła na jednej nodze i czekała. Jedną trzecią drogi miała za sobą. Teraz krok w prawo. Zamachała rękoma, by utrzymać równowagę. W porę przyszła do siebie, na szczęście nie oparła się o dywan w miejscu alarmu. Wstrzymała oddech. Jeszcze jeden krok, a potem następny i jeszcze jeden. Pamiętała, jak głupio wyglądał Władimir siedząc na biurku i przesuwając nogi w powietrzu, aby uniknąć stąpienia na płyty naciskowe umieszczone po obu stronach. Natalia wychyliła się do przodu, aby rzucić torbę na biurko. Latarkę i pożyczony pistolet miała zatknięte za pas. Nie mogła wziąć swoich rewolwerów, tych od Chambersa. Gdyby zgubiła tu któryś z nich, natychmiast by ją zidentyfikowano. Oparła ręce o biurko, odbiła się i wskoczyła na blat, podpierając się kolanami. Stała teraz na blacie biurka. Sejf był z tyłu na prawo. Odwracając się dostrzegła siebie w lustrze. Była przebrana jak na amerykańską Wigilię Wszystkich Świętych. Musiała teraz, z torbą założoną jak plecak, skoczyć tak, aby nie nadepnąć na płyty. Skoczyła. Wylądowała na małym sejfie, ale straciła równowagę i byłaby upadła w tył, gdyby nie pochyliła się do przodu.

Odetchnęła z ulgą.

Uklękła. Strumień światła latarki skierowała na zamek cyfrowy. Spróbowała go otworzyć, ale jak się spodziewała, kombinacja została zmieniona. Zaklęła po angielsku.

Sięgnęła do torby po specjalny, czuły stetoskop. Przyłożyła słuchawkę do blachy obok zamka. Pokręciła gałką w prawo, cały czas nasłuchując. Usłyszała cichutki trzask zapadki w mechanizmie i zatrzymała gałkę. Przekręciła palcami tarczę w lewo, aż do momentu, gdy usłyszała w słuchawkach następny trzask. Ostatni trzask był najcichszy. Usłyszała go, ale minęła.

- Cholera! - zaklęła znowu.

Wyzerowała tarczę i ustawiła od nowa według zapamiętanych numerów, tym razem już bez pomocy stetoskopu. Pociągnęła za rączkę. Odblokowany mechanizm zgrzytnął. Sejf był otwarty.

Sięgnęła do środka na dolną półkę. Stało tam sześć skrzynek z dokumentami poukładanymi według nieznanego jej klucza. Roźdiestwieński musiał mieć tu streszczenie lub kopię. Znalazła ją.

Kucnęła na sejfie jak Indianin i wyjęła z torby aparat fotograficzny. Oświetlając latarką dokumenty i naciskając migawkę, wychwytywała poszczególne słowa.

*“Projekt Eden”... w wypadku wojny nuklearnej na wielką skalę pomiędzy naszym państwem a Związkiem Sowieckim... ostatnim słowem zachodnich demokracji... użycie Kosmicznej Floty Wahadłowców...proces produkcji...*

Przewróciła stronę i fotografowała dalej.

*W wypadku prawie całkowitej zagłady życia na planecie...*

Poczuła, jak jej serce mocniej zabiło. Była podekscytowana.

*...Bevington, Kentucky, mało uczęszczane miasteczko... dziwne zachwiania klimatyczne...*

Trzecia strona streszczenia to lista nazwisk tych, którzy, jak przypuszczała, zgromadzili raporty. Sfotografowała następny dokument, zwykłą mapę samochodową, jaką kiedyś można było kupić na stacji benzynowej. Była to mapa stanu Kentucky. Bevington, małe miasteczko w górach zostało zakreślone czerwoną obwódką. Wskazywała na nie również czerwona strzałka z południowego wschodu.

Natalia sfotografowała też ostatni zestaw dokumentów. Był to raport Roźdiestwieńskiego.

*... odkrycia sowieckich uczonych są zbieżne z wynikami prac zachodnich i potwierdzają je... rajd na Bevington, Kentucky w południowo-centralnej części Stanów Zjednoczonych...*

Natalia określiłaby to raczej jako południowy-wschód.

Spojrzała na Rolexa. Musiała się pośpieszyć. Roźdiestwieński mógł wrócić w każdej chwili. Sfotografowała kolejne strony bez odczytywania. Zauważyła jeszcze tylko jedno zdanie: *...budowa w miejscu zwanym “Łono” i sprowadzenie tam strategicznych materiałów jest jedyną nadzieją na przetrwanie Związku Sowieckiego...*

Wzdrygnęła się. Przetrwanie Związku Sowieckiego? Czy przetrwanie Związku było jednoznaczne z przeżyciem rodzaju ludzkiego? A mechanizm zagłady? Modliła się, żeby nie istniał. Poczuła, jak kąciki ust podnoszą się jej w uśmiechu. Do kogo miałyby modlić się dobry komunista? Natalia ostrożnie ułożyła dokumenty w sejfie, tak jak leżały wcześniej. Zamknęła drzwi, zaszyfrowała zamek tak, jak go zastała. Schowała przyrządy, zarzuciła torbę na ramie i wstała.

Jej oczy przywykły do ciemności, więc spakowała latarkę. Skoczyła na podłogę, celowo lądując na czulej płytce. Skoczyła do drzwi. Otworzyła je, przebiegła przez pokój, otworzyła następne i wybiegła na korytarz. Rzuciła się w kierunku wyjścia awaryjnego.

- Stać! - dobiegł ją głos krzyczącego łamaną angielszczyzną wartownika.

Kula oderwała kawałek tynku obok niej, gdy naciskała przycisk. Natalia zatraskując za sobą stalowe, ognioodporne drzwi, słyszała uderzające w nie kule. Przecięła kombinerkami przewody doprowadzające prąd do alarmu. Zrobiła na ścianie przy zamku zadrapania, aby zasugerować użycie łomu. Strzelanina od strony korytarza wzmagala się. Drzwi zaczęły się wybrzuszać. Jednym skokiem wbiegła na małe schody. Usłyszała za sobą łomot wyważanych drzwi, strzały i komendę po angielsku:

- Stać!

Skreśliła w ciemny hall, gdzie mieściła się wystawa egipska. Nieraz przychodziła tu ze swoim wujkiem. Teraz przebiegła korytarz, uciekając przed ostrzałem. Znajdował się tam rząd sarkofagów, a za nim eksponaty pokazujące obróbkę bloku piramidy. “To jest to” - pomyślała, przypominając

sobie o dwóch znaczeniach angielskiego słowa "dresing"[3]. Skręciła do toalety dla personelu. Zamknęła za sobą drzwi. W ciemności zdjęła z pleców torbę. Odpięła pas z pistoletem. Zdjęła kombinezon i zerwała z głowy szalik. Zzula buty z gumową podeszwą. Wydawało się jej, że usłyszała mysz lub szczura biegnącego po podłodze. Wyjęła z kieszeni kombinezonu nóż i trzymając go w zębach wygładziła rękami białą halkę, którą miała na sobie. Z torby wyciągnęła spódnicę. Założyła ją i zapięła na dwa guziki. Włożyła buty na wysokim obcasie. Zdjęte rzeczy upchnęła do torby i zamknęła ją. Złączyła dwa paski, aby wyglądały jak jeden. Poprawiła ręką włosy i nasłuchiwała. Żadnego hałasu. Otworzyła lekko skrzypiące drzwi i wyszła z ustępu. W porę przypomniała sobie o rękawiczkach. Szybko ściągnęła je i ukryła w worku przekształconym teraz w torebkę na ramię.

Usłyszała tupot kroków w hallu. Spojrzała jeszcze raz na siebie, poprawiła zgniecioną pod kombinezonem kokardę przy kołnierzu białej bluzki.

Odwróciła się we właściwym momencie i pierwsza zauważyła wartownika z karabinem gotowym do strzału.

- Co się stało, kapralu?

- Towarzyszko major, jakiś mężczyzna, najprawdopodobniej z Ruchu Oporu, próbował włamać się do biur towarzysza Roźdiestwieńskiego.

- Próbował?

- Tak jest, towarzyszko major. Uruchomił system alarmowy, nim zdążył wejść. Sam towarzysz pułkownik Roźdiestwieński tak powiedział. Właśnie wracał, gdy odkryliśmy włamywacza.

- Co za szczęście - uśmiechnęła się, po czym spoważniała mówiąc do kaprała:

- Macie karabin, a ja jestem bez broni. Poszukam z wami włamywacza, ale musicie dać mi wasz pistolet, towarzyszu.

- Dziękuję wam, towarzyszko major. - Twarz młodego człowieka rozpromieniła się w uśmiechu.

## ROZDZIAŁ XXX

Obudził się i mógł myśleć. Wywnioskował stąd, że z pewnością zbliżał się czas na następną dawkę.

- Jestem śpiący - wymamrotał. Domyślił się już, jakie środki wstrzykiwała mu Martha Bogen: obezwładniacz mięśni, aby nie mógł się poruszać i morfinę, aby utrzymać go w stanie zamroczenia. To połączenie mogło go zabić. Gdyby mógł ją uświadomić... Przesunął się na brzeg łóżka. Czuł się teraz jak pijany, ale myślał całkiem normalnie. Jeśli przestałaby dawkować jeden lub drugi środek, organizm Johna miałby szansę w walce z narkotykiem. Miała z pewnością antidotum na obezwładniacz i jakiś narkotyk przeciw zatorowi. Trzeba było przekonać ją, by podała mu któryś z tych środków. Zasmucił się w duchu. Po alkoholu nigdy nie czuł się aż tak pijany. Nawet Rubenstein wtedy się tak nie spał. "Wtedy... Gdzie to było?" - zastanawiał się. I Natalia była taka urocza, kiedy się wstawiła. A może się nie wstawiła...? Sarah nigdy się nie upijała. Już po niewielkiej dawce alkoholu robiła się śpiąca. "Sarah..." - uśmiechnął się. Przyszło mu na myśl, że Sarah urodziła dwoje dzieci naturalnymi siłami. To określenie było w zasadzie błędne. Przecież taki poród jest kontrolowany poprzez oddychanie. Techniki oddychania trzeba nauczyć się wcześniej.

Rourke był rozkojarzony. Nie mógł zebrać myśli.

- Oddychanie - wyszeptał. Nagle uświadomił sobie, że właśnie odpowiednie oddychanie może mu pomóc. Sapał i dyszał. Wciągał powietrze najgłębiej, jak mógł. Podwyższenie poziomu tlenu w organizmie musiało przyspieszyć reakcję spalania narkotyku.

John poczuł mdłości. Obraz zafalował mu przed oczyma. Zdążył wychylić się poza krawędź łóżka, by znów zwymiotować.

- John, niedobrze ci?

- Oddychać - wykrztusił, dysząc jeszcze bardziej, choć narkotyki przestawały już działać.

- O Boże! John! Boję się! Nie chcesz chyba... tutaj. Próbowала go reanimować. Poczuł jej wargi na swoich i zakrztusił się strumieniem wdmuchiwanego powietrza. Zakasłał, więc przesunęła jego głowę na brzeg łóżka. Chciał zwymiotować, lecz nie miał czym.

- Dam ci coś. - Sięgnęła do małej czarnej skórzanej torebki i wyjęła strzykawkę. - To zneutralizuje obezwładniacz mięśni, który zaaplikowałam ci wcześniej. Zadziała natychmiast.

Zamknął oczy. Poczuł ukłucie w obolałe ramię.

- Zaczekam chwilę, nim podam ci morfinę. Obezwładniacz mięśni już nie działa.

Obserwował, jak uniosła strzykawkę. Cienki strumyczek płynu wytrysnął w górę.

- Tym razem mniejsza dawka, abyś mógł odetchnąć - powiedziała.

Połknęła haczyk! Udało się. Rourke miał ochotę śpiewać ze szczęścia, ale ogarnęła go senność. Kiedy zasypiał, skrzywił twarz z bólu. Czuł igłę wbijaną w ramię.

## ROZDZIAŁ XXXI

Pod siedzeniem w samochodzie Sarah Rourke znalazła M-16. Wyglądał tak samo jak karabin, który zgubiła, więc uznała go za swój. W kabinie było ciepło. Dzieci, poowijane w koce, już się rozgrzały. Ona wciąż miała dreszcze. Drżała nie tylko z zimna. Jechała przecież główną drogą do Tennessee, co wiązało się z dużym prawdopodobieństwem spotkania bandytów lub Rosjan. Na Chattanooga zrzucono bomby atomowe, ale teraz można było już bezpiecznie poruszać się w pobliżu. Zjeżdżając z górki, po raz pierwszy zobaczyła Chattanooga. Żaden dym nie wydobywał się z kominów, nie było w ogóle samochodów. Droga skręcała ostro w lewo. Sarah przyhamowała wchodząc w zakręt. Kierownica pickupa nie działała najlepiej.

Wyjeżdżając z zakrętu, kobieta popatrzyła na Michaela i Annie. Spali obejmując się nawzajem. Skierowała wzrok ponownie na szosę. Omal nie krzyknęła. Jakies sto jardów przed nią (szacowanie odległości nigdy nie było jej mocnym punktem) kończyła się po prawej stronie długa kolumna ciężarówek, motorów i innych pojazdów. Obok nich stali sowieccy żołnierze.

Obejrzała się na dzieci. Spały. Postanowiła ich nie budzić. Schowała M-16 pod siedzenie. Wyciągnęła swój pistolet. Odciągnęła zamek, odbezpieczyła kciukiem i włożyła pistolet pod prawe udo. Jechała dalej z taką samą prędkością. Zauważyła zdziwione twarze niektórych spośród mijanych żołnierzy. Jakiś młody mężczyzna pomachał jej, więc mu odkiwnęła. Zerknęła na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Włosy miała pozlepiane, zbyt długo były mokre. Poprawiła je ruchem ręki. Liczyła w myśli samochody, na wypadek gdyby zdołała dojechać do farmy Mullinerów. Powiedziałyby o tym synowi Mary, który z kolei przekazałby tę informację dalej, przez Ruch Oporu, do Wywiadu U.S.II “Osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt trzy...” Nagle nacisnęła na pedał hamulca, zapominając o sprzęgle. Nie wiedziała, co robić, gdy sześciu żołnierzy z karabinami zastąpiło jej drogę. Najstarszy stopniem dał jej znak, aby się zatrzymała. Ciarki przeszły jej po plecach. Patrząc we wsteczne lusterko, dostrzegła żołnierzy blokujących jej odwrót. Jeden z nich podszedł do kabiny. Otworzyła okno. Jego angielski był ciężki, ale zrozumiała go dobrze.

- Pani dokumenty, pozwolenie na przejazd.

- Ja...

- Ma pani urocze dzieci, ale muszę sprawdzić dokumenty, madame.

Spojrzała na Michaela i Annie.

- Dziękuję, to mój syn i córka.

- Proszę o dokumenty, madame - uśmiechnął się wyciągając rękę ku niej.

“Może go zastrzelić? - pomyślała. - Ale wtedy Michael i Annie zginą, gdy ci z karabinami i pistoletami zaczną strzelać”.

- Ja nie...

- Jakies problemy, sierżancie?

Odwróciła wzrok od twarzy sierżanta. Starszy mężczyzna w mundurze podszedł ku niej z uśmiechem. Był to wysoki oficer przed czterdziestką. Dobrze mu z oczu patrzyło. Twarz wydała się



jej znajoma.

- Majorze - powiedziała z wahaniem. Czuła, że wpadła w pułapkę.

- Towarzyszu majorze, zatrzymałem ten samochód, aby sprawdzić dokumenty tej kobiety. Chyba nie ma pozwolenia na przejazd.

- Ja... - chciała skłamać, ale dostrzegła wyraz twarzy majora. Te oczy i twarz niewątpliwie знаła. Poprzednio widziała go bez czapki i zmokniętego. Trzymała go na muszce, a on przysięgał stojąc na deszczu w Savannah. Zmusiła go, aby pomógł jej w uwolnieniu bojowników Ruchu Oporu.

- Zajmę się tym, Krasny - powiedział Borozeni. - Zabierzcie swoich ludzi.

Major zbliżył się do kabiny. Stał blisko drzwi. Wzrok miał na takiej wysokości, że widział każdy jej ruch.

- Sarah, prawda?

- Tak, majorze, Sarah - skinęła głową. Poczuli się wyjątkowo zmęczona. - Złapałeś mnie - powiedziała patrząc mu w oczy.

- Wiele o tobie myślałem. Urocze dzieci. Twoje?

- Tak, moje. Nie mają żadnego związku ze...

- Masz męża, Sarah? Byłem tego ciekaw.

- Owszem. Chciałam dojechać na farmę przyjaciół. Tam mógłby mnie odnaleźć.

- Kocha cię i pozwolił ci na taką podróż?

- Wyjechał przed Nocą Wojny. Na pewno próbował wrócić. Wiem, że nas szuka. Spotkałam człowieka, który powiedział mi, że John żyje i szuka nas.

- John, brzmi twardo - uśmiechnął się. - Też mam tak na imię. Tyle że po rosyjsku: Iwan...

Kochasz go?

- Tak - odpowiedziała.

- W takim razie nic nie mogę zrobić - uśmiechnął się.

- Majorze, ja nie...

- Masz rewolwer pod nogą. Chcesz mnie zastrzelić? - zapytał.

- Jeśli będę musiała - powiedziała dziwiąc się stanowczości swojego głosu.

- Wobec tego jesteś silniejsza niż ja. Nie potrafiłbym cię skrzywdzić. Czy na takiej sile polega bycie Amerykaninem?

Odwrócił się i krzyknął coś po rosyjsku. Szereg żołnierzy zamykających drogę rozstąpił się natychmiast.

- Puszczasz mnie...?

- Tak. Chyba nie popełniam głupstwa? Chociaż... - uśmiechnął się.

- Nie wiem nawet, jak się nazywasz... - powiedziała.

- Iwan Borozeni, madame... Sarah. Cofnął się o krok i zsalutował.

- Tak więc jak żołnierz z żołnierzem. Jak to się mówi? Aha, szczęśliwej drogi, tobie i dzieciom.

Sarah spojrzała na niego i szepnęła tak, żeby tylko on mógł słyszeć:

- Będę się za ciebie modliła. Borozeni skinął głową.

- A ja za ciebie - powiedział z uśmiechem.

Sarah puściła sprzęgło i ruszyła naprzód. Łza spłynęła jej po policzku.

## ROZDZIAŁ XXXII

Limuzyna Warakowa zatrzymała się na pasie startowym. Silniki samolotu Y-STOL były przerażająco głośno. Irytowało to generała. Bolały go stopy, a zapięta bluza munduru gniotła go w brzuch. Szedł w kierunku granatowego Cadillaca. Zatrzymał się na moment, aby jeszcze raz spojrzeć na samolot. Ładowano właśnie resztę rzeczy Natalii. Warakow podszedł do tylnych drzwi Cadillaca. Kierowca, kapral, zasalutował mu i otworzył drzwi. Generał wsiadł do samochodu.

- Idź pogadać sobie z moim kierowcą o kobietach lub o czymkolwiek - rzekł do kaprala.

W kącie tylnego siedzenia skuliła się Natalia. Wyglądała na przestraszoną. Warakow widział ją taką po raz ostatni, gdy była małą dziewczynką. Na środku siedział młody człowiek, mniej więcej w wieku Natalii, lecz już z rzednącymi nad czołem włosami. Miał okulary w oprawkach z cieniutkiego drutu. Poprawiał je właśnie na nosie, gdy Warakow przysiadł ciężko obok niego.

- Czego, u diabła, pan ode mnie chce?

- Niecierpliwy młody człowiek, prawda? - uśmiechnął się Warakow. - Obiecuj, proszę, że mnie nie zastrzelisz.

Sięgnął do swej teczki i wyciągnął High Power Rubensteina. Włożył nowy magazynek, odciągnął zamek i wręczył pistolet Paulowi, który nerwowo zaciskał pięści.

- Mówiłam ci, że mój wujek jest człowiekiem godnym zaufania, a nie...

Paul spojrział na nią. Zamilkła. Zwrócił się do Warakowa.

- Czego pan chce, generale?! - Ostatnie słowo wyrzucił z siebie prawie z nienawiścią.

- Domyślam się, że nie lubisz Rosjan. Ale lubisz moją siostrzenicę, Natalię. Nie wydaje ci się to dziwne, młody człowieku?

- Znam ją i...

- Byłbyś fatalnym dyplomata. Według zasad twojej logiki, jeśli mnie poznałeś, to musisz mnie polubić, dobrze mówię? - uśmiechnął się Warakow.

Natalia zaśmiała się cicho. Warakow lubił jej śmiech. W takich chwilach przypominał sobie jej matkę.

- Czy teraz mnie wysłuchasz młody człowieku? Potrzebuję twojej pomocy. Natalia także jej potrzebuje, choć jeszcze o tym nie wie. Wyjeżdża stąd na dłuższy czas.

- Wujku?

- Kazałem Katii spakować twoje rzeczy. Są już w tym samolocie - wskazał za siebie. - Wszystkie.

Spojrzał na Rubensteina, a potem na Natalię.

- Oboje jesteście tacy młodzi. Młodzi zawsze ponoszą konsekwencje błędów starych, takich jak ja. Dowiedziałem się czegoś, co jest niezwykle ważne dla twojego przyjaciela, Johna Rourke'a. Muszę to z nim przedyskutować osobiście. Jest to ważne dla niego i...

- Nie wciągnę Johna w pułapkę - rzucił Rubenstein, zaciskając dłoń na pistolecie.

- Dwa pytania: czy Natalia wyrządziłaby świadomie krzywdę Rourke'owi?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Paul.

- A czy ja, planując oszukanie zarówno mojej siostrzenicy, jak i Rourke'a, powierzyłbym mu Natalię za twoim pośrednictwem? Oczywiście nie. Ona pojedzie z tobą. Dla gwarancji, ale także dla własnego bezpieczeństwa.

- Mojego bezpieczeństwa...? - zaczęła Natalia. - Ale...

- Nie stawiałaś żadnych pytań, gdy posłałem cię do gabinetu Roźdiestwieńskiego.

- Roż... jak? - spytał Rubenstein.

- Roźdiestwieński. Wyjątkowo sympatycznie wyglądający facet i wyjątkowo nieprzyjemny, niestety. - Warakow popatrzył przez okno na Swojego kierowcę i kaprała, który przywiózł Natalię i Rubensteina. Zastanawiał się, o czym rozmawiali.

- Potrzebuję pana, Rubenstein, aby zabrał pan moją siostrzenicę do Johna Rourke'a - powiedział po chwili.

- Do schro...

- Do schronu? Tak, myślę, że tam. Da pan Rourke'owi - sięgnął do teczki - ten list. Daję panu również list żelazny dla pana i dla Rourke'a, ale nie mogę zagwarantować, jak długo moje rozkazy w tej kwestii będą wykonywane.

- Wujku... - zaczęła Natalia.

- Cicho, dziecko. Sir - generał spojrział znów na Rubensteina - czy mogę panu powierzyć coś najdroższego mi na świecie, życie Natalii? - Wyciągnął do niego rękę. Rubenstein zawahał się przez moment, spojrział na Natalię i uścisnął dłoń generała.

- Ale co to wszystko znaczy?

- Widzisz, mówiłem ci, że mnie polubisz, młody człowieku. Warakow otworzył drzwi, wstał zbierając się do odejścia.

Usłyszał za sobą głos Natalii:

- Wujku!

Przebiegła z tyłu dookoła samochodu i padła mu w ramiona.

- Nie puściłbym cię, moje dziecko, bez pożegnania. Jeszcze się zobaczymy, nie bój się.

- O co tu chodzi, wujku Ismaelu? Co to jest... ten raport Roźdiestwieńskiego i streszczenie "Projektu Eden"?

- Powinnaś się cieszyć, że nie przeczytałaś więcej. Poznasz szczegóły, kiedy wrócisz z Johnem Rourke'em. Nie ma innego sposobu.

- Wrócić tutaj z...

- Musisz, moje dziecko. Gdy Rourke przeczyta mój list, przyjedzie. Jeśli jest tym, za kogo go uważam i za kogo ty go uważasz... jest jedynym. - Odstąpił krok do tyłu, trzymając jej dłoń w wyciągniętej ręce. - Wyglądasz przepięknie. Cudowna sukienka. Czy to prawdziwe futro?

- Tak. - Spuściła oczy.

- Obawiam się, że będziesz musiała przebrać się na pokładzie samolotu. Niewiele wiem o warunkach w tym schronie, ale nie sądzę, abyś dostała się tam na wysokich obcasach i w jedwabnych pończochach.

- Te są nylonowe. Jedwabne są...

- Tak, w nylonowych. Bądź ostrożna. - Objął ją i przytulił. Wiedział o tym, że być może nigdy więcej jej nie zobaczy.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Hałas wirnika był dokuczliwy pomimo tłumików na uszach. Do tego dochodził szum i komendy w radiu dobiegające z innych maszyn. Ale major nie chciał wyłączać odbiornika.

Roźdiestwieński spojrzał na majaczące w dole cienie. Jak daleko jeszcze mogło być do Bevington w Kentucky? Czy sława była aż tak odległa? Spojrzał na plan. Z małą eskadrą wylądował w Bevington. Wojska oficera o nazwisku... Ach tak! Major Borozeni. Jego oddziały zamknęły dolinę. On zaś zajmie fabrykę Morrisa. Rozmontują maszyny i załadują je na transportowe helikoptery, które przylecą z zachodu.

- Pilot! Ile jeszcze zostało czasu, zanim dotrzemy do miejsca spotkania z siłami lądowymi?

- Dwadzieścia trzy minuty, towarzyszu pułkowniku.

- Dwadzieścia trzy minuty... - powtórzył.

“Najpierw miejsce formowania sił, potem Bevington. Sława i życie, prawie wieczne” - pomyślał Roźdiestwieński.

Rozparł się wygodnie. Nadawał się idealnie do tej roli. Zawsze chciał zostać Bohaterem Związku Sowieckiego.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Rourke otworzył oczy. Teraz już oddychało mu się lżej, lecz ból w mięśniach nie ustępował. John czuł osłabienie. Każdy ruch ręką powodował ból.

- Obezwładniacz - wymamrotał. Kręciło mu się w głowie.

- Morfina - wycharczał.

Pamiętał, że Martha Bogen zaaplikowała mu odtrutkę obezwładniacza i zmniejszyła dawkę narkotyku, obawiając się jego śmierci.

Wydawało mu się, że obudził się wcześniej niż poprzednim razem. Nie był jednak pewien swojej rachuby czasu. Spróbował nieco rozruszać mięśnie. Oddychał głęboko. Nie mógł zmarnować tej, być może ostatniej, szansy wydostania się na wolność. Z trudem porządkował myśli. Miał kłopoty z utrzymaniem równowagi i koordynacją ruchów, ale z każdą sekundą stawał się coraz bardziej sprawny i przytomny.

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

- Nie. Jeszcze nie - wykrztusił z siebie głosem zmienionym nie do poznania.

Ujrzał ją, gdy zbliżała się do niego z czarną, skórzaną torbą w dłoni.

- John, teraz wyglądasz znacznie lepiej. Tym razem dam ci pełną dawkę morfiny, bo jeszcze mi uciekniesz. A tego przecież nie chcemy - powiedziała z uśmiechem, nachylając się nad nim ze strzykawką w ręku.

Sprawdziła strzykawkę i skierowała igłę w jego stronę. Zgiął kolana i uderzył ją w żołądek. Związanymi rękoma zadał jej cios w głowę. Kobieta upadła, zwałił się na nią z łóżka. Sznurek zacisnął mu się wokół szyi. Zamknął oczy...

Uwierał go pełny pęcherz. Otworzył oczy. "Ona musiała mnie przenieść" - pomyślał. Ona? Spojrzał pod siebie. Martha Bogen poruszyła się w zamroczeniu. Był teraz w stanie pozbyć się sznurka z szyi. Zszedł z niej, wspierając się na rękach i kolanach. Przysiadł na dłuższą chwilę. Potrząsnął głową.

- Morfina - szepnął.

Usiłował stanąć na nogi. Nie mógł. Rozejrzał się. W drugim końcu pomieszczenia leżały nożyczki. Czołgał się na czworakach w ich kierunku. Wydawały mu się za daleko. Rourke opadał z sił. Chciał już zamknąć oczy.

- Narcan - wymamrotał znowu. Morfina wciąż działała. Będzie potrzebował narcanu, aby ją zneutralizować.

- Antidotum - szepnął. Narcan był antidotum dla morfiny. John spojrział w górę. Nożyczki leżały na małym stoliku nad nim. Oparł się całym ciężarem na krawędzi. Stolik przewrócił się, a nożyczki zadźwięczały uderzając o podłogę. Wyciągnął się w ich kierunku, chwycił je i zaczął przecinać więzy. Siedział na podłodze nagi, jego ciało pachniało mydłem. "Widocznie musiała mnie umyć" - pomyślał. Spróbował wstać, jednak upadł do przodu, wspierając się na krawędzi łóżka. Martha Bogen mruczała coś, próbując się odwrócić. Jeśli dobrze pamiętał, drzwi powinny być otwarte.

Gdzie jest klucz? Mógłby teraz zamknąć Marthę. Upadł na kolana i podniósł małą skórzaną torbę.

- Narcan - szepnął.

Rourke miał nadzieję, że był to narcan, a nie coś innego. Wyjął z torby strzykawkę. Wbił igłę. Zaczął liczyć sekundy. Usiłował sobie przypomnieć, ile to miało trwać. Około trzydziestu sekund, zanim odczuje działanie. Upuścił strzykawkę i runął na łóżko. Poczul mdłości. Oblewał go zimny pot. Kiedy po chwili otworzył oczy, ujrzał Marthę Bogen. Rozczochrana, z posiniaczoną twarzą stała nad nim. W ręce, jak sztylet, dzierżyła strzykawkę.

- Nie! - Uderzeniem w podbródek obezwładnił ją. Chwycił wpół, aby nie uderzyła o betonową podłogę. Przycisnął kobietę do siebie, chwiejąc się pod jej ciężarem. Rzucił ją na łóżko.

- Martha - wyszeptał.

Wciąż czuł ucisk w pęcherzu. Rozejrzał się po suterenie. Dostrzegł małe drzwi. Otworzył je. Była tam łazienka. Wszedł do środka i ulżył sobie.

Znowu poczul ogarniające go fale zimna i mdłości.

- Narcan. Więcej narcanu - wymamrotał chwiejąc się. Podeszedł do łóżka. Znalazł paczkę ze strzykawkami i wyjął jedną. Kucnął na podłodze. Kontrolował oddech, aby nie stracić przytomności. Teraz dawka powinna zadziałać inaczej. To nie narcan, ale zator morfiny zwałił go z nóg. Ostrożnie wybrał miejsce i wziął igłę obserwując płyn opadający w strzykawce. Czuł, jak wirowanie w głowie ustępuje. Czekał jeszcze przez pięć minut i spróbował wstać. Wprawdzie niepewnie, ale mógł utrzymać się na nogach o własnych siłach. Podeszedł do teczki. Była w niej jeszcze jedna strzykawka pełna narcanu. Zamknął teczkę i wziął ze sobą. Chciał jeszcze wziąć ze sobą nożyczki, aby użyć ich jako broni na wypadek ataku jakiegoś szaleńca. Po namyśle porzucił jednak ten projekt.

Otworzył drzwi i wyszedł. Schody były słabo oświetlone, lecz wyżej światło było jaśniejsze. Oparł się ciężko o ścianę korytarza. Wciąż był osłabiony i obolały.

- B complex - szepnął. Gdyby miał tutaj swoją apteczkę, mógłby sobie zrobić zastrzyk. Jeszcze jeden zastrzyk.

- Cholera! - rzucił.

Wszedł na schody i zobaczył przez otwarte drzwi pustą czytelnię. Za szklaną przegrodą świeciła lampka osłonięta zielonym koszem. John ruszył do przodu, zawadzając o duży regał ze słownikami. Staął. Odwrócił się i popatrzył, z trudem łapiąc oddech. Podeszedł do drzwi i przekręcił gałkę. W głębi pokoju, za biurkiem zobaczył małą szafkę. Gdy otwierał jej drzwiczki, poczul, jak wracają mu siły. W środku, na najwyższej półce leżało starannie złożone jego ubranie. Spojrzał w dół. Na podłodze stały jego buty. Otworzył duża szufladę po lewej stronie u dołu.

Leżała tam jego podwójna uprząż Alessi, dwa nierdzewne Detonics'y i nóż A.G.Russel Sting IA. Wyjął jeden z bliźniaczych pistoletów i sprawdził go. Komora była pełna, a w magazynku zostało jeszcze pięć naboji. Podniósł wzrok. Martha Bogen zbliżała się do niego. Wycelował w nią. Zatrzymała się. Padła na kolana i zaczęła płakać.

- Nie chciałam umierać sama.

- Nikt nie będzie musiał umierać. Nie dopuszczę do tego.

- Nie możesz nic zrobić. Zginiesz, tyle że samotnie. Rourke usłyszał cichy wybuch, a potem świst. Spojrzał na Rolexa, wyjmując rzeczy z szuflady. Odsunął zasłony i wyjrzał na ulicę. Na tle ciemnego nieba zobaczył racę. Była wspaniała.

- Mówiłam ci! - usłyszał histeryczny krzyk Marthy Bogen. - Mówiłam ci, John!

Sztuczne ognie. Mówiła mu, że będzie ich pokaz przed końcem.



## ROZDZIAŁ XXXV

Z silnika pickupa wypadła po drodze jakaś część, Sarah nie wiedziała dobrze, co się stało. Potem pękła chłodnica i samochód zgasł.

Przez ostatnie trzy mile, jak oceniła pozostający jeszcze dystans, trzymała się z dziećmi blisko drogi. Nie była w stanie iść na przełaj.

Ze sobą miała tylko skradziony karabin M-16, "czterdziestkę piątkę" jej męża, pokrytą już nalotem rdzy, i kilka osobistych rzeczy. Między nimi miała też fotografie, które zabrała z domu podczas Nocy Wojny. Było tam także jej ślubne zdjęcie z Johnem. Usiadła wpatrując się w nie. Było pogniecione, spłowiałe i wytarte. Na tej fotografii ubrana była w białą suknię do ziemi, na głowie miała welon.

Dzieci odpoczywały. Do farmy Mullinerów było już niedaleko, ale Annie i Michael potrzebowali odpoczynku. Sarah czuła się, jakby wkraczała w nowy etap życia, dlatego koniecznie chciała popatrzeć na ślubne zdjęcie, zanim wejdzie na farmę. Schowała je, gdyż w wyobraźni widziała ten obraz wyraźniej niż na fotografii. Pamiętała noc poślubną.

- Mamo?

Odwróciła się i spojrzała na Michaela.

- Tak, synku?

- Czy tato znajdzie nas tutaj, u Mary?

- Z pewnością. Jeżeli jeszcze ktokolwiek może kogokolwiek odnaleźć, to tato nas odnajdzie. Chodź tutaj, Annie.

Dziewczynka podeszła bliżej i Sarah przytuliła dzieci do siebie.

Nagle usłyszała szczekanie psa. Odsunęła dzieci i chwyciła karabin. Pies zatrzymał się na wzniesieniu. Był to złotawy chart, z którym kiedyś u Mullinerów bawiły się jej dzieci. Zwierzę podbiegło do nich. Michael, a potem Annie, która zwykle bała się psów, zaczęli tulić się do niego, a on lizał ich po twarzach. Sarah wstała i przewiesiła karabin przez plecy. Teraz mogła odpocząć.



## ROZDZIAŁ XXXVI

Natalia podparła się pod boki, tuż powyżej kabury Safariland z bliźniaczymi rewolwerami Smith and Wesson. Spojrzała na Rubensteina i powiedziała:

- Nic nie widzę, Paul.

- Kiedy John przywiózł mnie tutaj po raz pierwszy, powiedział, że na tym cała rzecz polega - uśmiechnął się Rubenstein.

- Nie potrafię tego tak dobrze wytłumaczyć, ale domyślam się, że przeprowadził najpierw gruntowne badania. Mówił coś o zabezpieczeniach egipskich grobowców i o tym podobnych rzeczach. Chciał, aby to miejsce było niedostępne. Zobacz.

Paul zbliżył się do wielkiego głazu po prawej stronie. Pchnął go i przetoczył na bok. Przeszedł na lewo i odsunął podobny, czworokątny. Gdy przesunął je, skała, na której stała Natalia, zaczęła się obsuwać. Gdy obniżyła się już znacznie, skalna płyta podobna do drzwi garażu, otworzyła się.

- John mówił mi, że jest to system przeciwważnych ciężarów - powiedział. - Może ty, jako inżynier, zrozumiesz to lepiej.

- Nic podobnego - powiedziała osłupiała ze zdziwienia Natalia.

Rubenstein zapalił latarkę. Była to jedna z górniczych lampek umieszczonych na kasku, którą Paul z Johnem, jak pamiętała, zabrali z magazynu sprzętu geologicznego w Albuquerque tuż po Nocy Wojny. W snopie żółtego światła latarki Natalia dostrzegła Paula nachylonego nad jakimiś przyciskami. Wnętrze za odsuniętą płytą skały było teraz oświetlone czerwonym światłem.

- Wszystko gotowe na Boże Narodzenie. - zaśmiał się Paul.

- Czerwone światło dla czerwonych... To oczywiście żart.

- Domyślam się, Paul - wyszeptała Natalia.

- Przyprowadzę motor. Potrzyj to.

Wręczył jej latarkę. Przyglądała się granitowej skale. Usłyszała Rubensteina prowadzącego swego Harleya.

- A teraz zobacz - powiedział stając nagle obok niej.

- Właśnie patrzę, Paul - stwierdziła oddając mu latarkę. Rubenstein podszedł do czerwonej dźwigni, przesunął ją w dół i zablokował na zapadce. Wszedł na chwilę z małej niszy i Natalia usłyszała, jak Paul przesuwa głazy na miejsce. Wrócił do dźwigni. Odblokował ją i podniósł do góry. Granitowe płyty zaczęły przesuwać się z powrotem, zamykając wejście.

- Po co są te stalowe drzwi? - spytała Natalia, wskazując poza jasny krąg czerwieni.

- Wejście. - Rubenstein podszedł do drzwi i w żółtym świetle latarki zaczął obracać cyfrowe tarcze.

- John zainstalował ultrasoniczny sprzęt do odstraszenia insektów i gryzoni.

- I zamknięty obwód telewizyjny - dodała patrząc na sklepienie skał ponad nią.

- Czy możesz znaleźć wyłącznik czerwonego światła z tyłu? - spytał.

- Dobrze, Paul - skinęła znajdując go i wyłączając blade światło. Zapanowała prawie zupełna

ciemność.

- Paul?

- Tutaj. Jeszcze chwilę. - Dziewczyna usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi. Weszła do środka, wpatrując się w ciemność.

- Gotowa? - Usłyszała jego głos.

- Nie wiem... na... - powiedziała głosem zmienionym nie do poznania ze zdziwienia.

- To jest Wielka Sala - objaśnił Paul.

- Rzeczywiście wielka - powtórzyła Natalia.

Zeszła w dół po trzech stopniach. Po lewej stronie była ściana. Popatrzyła na wodospad i basen, które znajdowały się w dalekim końcu jaskini. Następnie przebiegła wzrokiem po kanapie, stołach, krzesłach, sprzęcie video, regałach z książkami, ustawionych wzdłuż ścian, i szafce z bronią.

Na krawędzi stołu przy sofie... Zatrzymała się. Podeszła do kanapy i wzięła w ręce oprawioną fotografię.

- Masz ochotę na drinka, Natalio? - głos Paula zabrzmiał donośnie w Wielkiej Sali. - Resztę mogę ci pokazać za chwilę.

- Co? Aha, drinka, tak - odpowiedziała z roztargnieniem. Mały chłopiec na zdjęciu był bardzo podobny do Johna Rourke'a.

- Michael - szepnęła Natalia uśmiechając się.

Taki delikatny, piękny i silny. I mała dziewczynka o twarzy rozbawionego skrzata. Natalia uśmiechnęła się znowu. W końcu John. Obejmował kobietę mniej więcej w jej wieku, może kilka lat starszą. Była ładna. Miała ciemne włosy i zielone oczy. Tak się przynajmniej wydawało, sądząc po fotografii.

- Sarah Rourke - szepnęła Natalia.

- Oto i oni - powiedział Rubenstein, stając nagle przy niej. - Nie spytałem, na co masz ochotę. Wyśmienite Seagram's Seven powinno ci smakować.

- Jest doskonale, Paul.

- Wydaje mi się, jakbym znał Sarah, Michaela i Annie - radował się Rubenstein.

- Tak, Paul, i mnie też - powiedziała Natalia, odstawiając zdjęcie na stół. - Mnie też się tak wydaje.

Zamilkła. Czowała, jak do oczu napływają jej łzy. Nie chciała płakać.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Roźdiestwieński spojrział na majora Iwana Borozeni.

- Majorze, to że ludność jest bezbronna, nie ma dla mnie znaczenia.

- Ależ pułkownik, nie ma istotnej potrzeby strzelania do...

- Majorze, przypominam wam o tym, że jesteście na służbie i o jeszcze jednej ważnej kwestii, której mogliście nie rozważyć. Fabryka Morris Industries była ściśle tajną i dobrze zorganizowaną inwestycją Departamentu Obrony. Jeżeli ta fabryka w ogóle jeszcze istnieje, to cywilne władze miasta w mniejszym lub większym stopniu świadome są jej strategicznego znaczenia. W przypadku wkroczenia naszych oddziałów, urządzenia fabryki zostaną zniszczone przez amerykańskich dywersantów.

- Ale, towarzyszu pułkowniku... Roźdiestwieński zaciągnął się dymem z papierosa.

- Wasz sprzeciw zostanie odnotowany w moim oficjalnym raporcie. A teraz prowadźcie swoich ludzi do ataku.

Major zmarszczył brwi i zasalutował. Roźdiestwieński, ubrany po cywilnemu, skinął tylko, po czym odwrócił się i poszedł w kierunku helikoptera dowódcy. W oddali na tle nieba widział wybuchające race. "To dziwne - pomyślał - że major Borozeni nie wspominał o tym".

Poniżej pułkownik zobaczył majaczące cienie helikopterów z wystającymi lufami karabinów. Oddziały Borozeniego ruszyły już do ataku. Dowodzenie na polu bitwy było jak gigantyczna gra planszowa. Podobało mu się to.

Do małego mikrofonu przed sobą powiedział:

- Tu mówi pułkownik Nehemiasz Roźdiestwieński, zaczynamy atak.

Zacisnął szczęki i poczuł, jak sztywnieje mu szyja. Skinął na pilota, obserwując, jak ten operuje dźwigniami. Żołądek podszedł mu do góry, gdy śmigłowiec zaczął pikować. Pęd powietrza z wirnika rozpraszał unoszącą się mgiełkę. Mgła gęstniała. Roźdiestwieński i jego ludzie mogli więc działać z zaskoczenia.

Dojrzał już wylaniającą się przed nimi w dole fabrykę. Była to jedyna przemysłowa budowla w mieście, położona na jego drugim końcu.

- Tam, w dół! - krzyknął pułkownik w mikrofon przymocowany do hełmu. - Lećmy tam!

Następnie przełączył system nadawczy tak, aby ludzie Borozeniego i inni piloci mogli go słyszeć:

- Tu Roźdiestwieński, kierujemy się w stronę fabryki w zachodniej części miasta. Tylko KGB ma prawo wstępu na teren kompleksu fabryki, a do hal mogą wejść tylko ci ze stopniem wyższym od CX Siedem. Kruszcie wszelki opór.

Spojrzał przez szybę. Raca poszybowała, a potem eksplodowała.

"Jakby idioci świętowali nasz atak" - pomyślał.

- Znajdźcie miejsce wystrzelenia tych rakiet. Przerwijcie to. Jak ocenił, fabryka była mniej niż milę przed nimi. Znowu przemówił do mikrofonu, ale przełączając tylko na pilotów:

- Tu Roźdiestwieński. Oddział komandosów, przygotować się do ataku. Niech piloci zajmują

pozycję.

Jego maszyna została w tyle, podczas gdy pół tuzina bojowych helikopterów z otwartymi drzwiami uformowało się w okrąg około stu stóp nad ogrodzeniem fabryki.

Pułkownik ujrzał pierwszą spuszczoną linę. Komandosi w ciemnych mundurach - jak dziesiątki pajaków po nitkach pajęczyny - zaczęli spuszczać się po linach.

- Dobrze! - wyrzucił z siebie, nieświadomy, że mówi do mikrofonu.

Pierwsi żołnierze byli już na ziemi, ustawiając się w półkole, z karabinami i lekkimi pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Ostatni komandosi byli w drodze na dół.

- Wycofać maszyny! - zacharczał do mikrofonu. - Zajmijcie pozycje dwieście jardów od płotu wokół fabryki - zwrócił się do swego pilota. Lotnik przytaknął. Maszyna obniżyła pułap lotu.

Roźdiestwieńskiemu zaschło w ustach, spocily mu się dłonie. Postawił kołnierz wiatrówki i sprawdził swój AKM, który trzymał na kolanach. Nigdy wcześniej nie brał udziału w bitwie.

Helikopter zakołysał się schodząc w dół i w końcu wylądował. Lekkie uderzenie rzuciło pułkownika do przodu. Oficer odpiął pasy. Otworzył drzwi i wyskoczył blisko oddziałów komandosów. Po chwili otoczyli go żołnierze KGB z jego osobistej ochrony.

- Wchodzimy do fabryki. Za mną! - Ruszył biegiem, pamiętając cały czas o trzymaniu karabinu gotowego do strzału.

Brama kombinatu była zamknięta na łańcuch i masywną kłódkę.

- Cofnijcie się - podniósł karabin i strzelił w zamek.

Huk wystrzału zagłuszył dźwięk kul odbijających się od metalu. Zamek pękł. Podeszedł do niego, wyjął łańcuch, czując pomimo rękawiczek gorący metal.

- Otwórzcie bramę.

Umocowana na łańcuchach brama o długości dwunastu stóp stała otworem. Roźdiestwieński wszedł do fabryki Morris Industries i jak sądził - do historii. Wysoko nad nim wybuchła barwna, niebiesko-czerwono-żółta raca. Podbiegł do podwójnych, zamkniętych drzwi. Znow uniósł karabin i strzelił w zamek. Rozległ się alarm antywłamaniowy.

- Idioci! - krzyknął pułkownik i nacisnął kłamek otwierając drzwi. Byli już w środku. Hala była w zasadzie rzędem połączonych budynków.

- Doki załadowcze! - krzyknął.

Materiały, których szukał, powinny być w dokach. Później będzie czas na dokładne przeszukanie działu produkcji. Przez drutowaną szybę okien wpadało światło. W biegu spojrzał w jedno z okien. Dostrzegł teraz więcej rac wybuchających na tle nieba.

“Szaleńcy” - pomyślał o mieszkańcach miasta.

Dobiegł do końca długiego korytarza, z trudnością łapiąc oddech. Rozejrzał się.

- Tędy, szybko!

Z każdą chwilą coraz bardziej coś przynaglało go do działania. Czuł to wyraźnie, choć nie mógł tego zrozumieć. Wtem ujrzał przed sobą masywną bramę z falistej blachy. Pomiędzy nią a korytarzem, który przemierzali, stały skrzynie wielkości trumien. Zatrzymał się i oparł ciężko o ścianę, sapiąc ze zmęczenia.

- Zwycięstwo! - krzyknął. - Koniec z Amerykanami! Nagle drutowane okno w korytarzu rozprysło się nad jego głową, obsypując go odłamkami szkła. Pułkownik odsunął się od ściany i wyjrzał przez okno na szare niebo. Na tle bladego nieba zobaczył racę o wyblakłych kolorach, największą jaką kiedykolwiek widział. Betonowa podłoga zaczęła drżeć, a ściany trzęsły się. Posypał się pył i

kawałki tynku.

- O Boże! - ryknął pułkownik. "Skąd mi przyszło do głowy wzywać Boga?" - pomyślał. - Dywersanci wysadzają fabrykę!!!

Rzucił się do ucieczki, pozostawiając cenne skrzynie. Teraz musiał ratować własną skórę. Betonowy strop zaczął walić się na głowy Rosjan, a potężny, cementowy blok przygniótł komandosa biegnącego tuż obok Roźdiestwieńskiego.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Oddziały uzbrojonych w karabiny żołnierzy piechoty biegły ulicami.

- Cholera! - rzucił Rourke, trzymając w dłoniach dwa nierdzewne Detonics'y 45s.

Nagle ziemia pod nim zaczęła drżeć. Spojrzał najpierw na czarną, połyskującą tarczę Rolexa, a potem w niebo. Zaczynało świtać. Eksplozje zaczęły się wcześniej, niż zapowiedziała to Martha Bogen. Nie było więc czasu ani żadnej szansy na ratowanie miasta.

Rosyjscy żołnierze? Ale dlaczego?

Wybuch. W oddali na szczytach otaczających dolinę dojrzał pierwsze obsuwające się skały.

John czekał za szkołą, niedaleko od domu Marthy Bogen i od garażu, w którym ukryty był jego Harley. Ale czekanie aż sowieccy żołnierze opuszczą ulicę, byłoby bezsensowne.

Odbezpieczył oba pistolety i ruszył biegiem. Ziemia pod nim zatrzęsała się. Gdy Rourke przeskakiwał przez żywopłot, seria z karabinu AK wystrzelona przez żołnierzy rozbiła zasłonięte żaluzjami okno klasy, tuż obok niego. Rourke schował się za betonową kolumnę wspierającą dach ganku. Strzelił z jednego pistoletu, potem z drugiego. Trafił któregoś z żołnierzy. Pobiegł dalej, mijając maszt. W ciągu dnia powiewały na nim flagi, amerykańska i stanowa - Kentucky.

Był już blisko ulicy za szkołą. Ziemia znów zadrżała. Próbował zgadnąć, jakich to środków mogli użyć mieszkańcy miasta, aby ich masowe samobójstwo było tak udane. Ponownie poczuł drżenie i ujrzał, jak wybuch gazu na ulicy wyrzuca w górę grudy czarnej ziemi.

- Gaz ziemny - szepnął Rourke padając na trawnik.

Huk zagłuszył strzały, krzyki i rozkazy wydawane po rosyjsku i angielsku, nawołujące do zatrzymania się. Rourke wypuścił pistolety i zatkał uszy.

Ulica na odcinku stu jardów była jednym wielkim morzem płomieni. Mieszkańcy musieli wcześniej zaminować instalację gazową.

Rourke chwycił pistolety, zerwał się na nogi i pobiegł dalej, potykając się po drodze. Seria wybuchów, tym razem mniejszych, rozerwała ulicę tuż przed nim. Musiał przedostać się na drugą stronę, do domu Marthy Bogen. Biegł pochylony. Żołnierze znów strzelali. Nie słyszał tego, ale widział przeszywaną kulami darń blisko swoich stóp. Dobiegł do chodnika. Eksplozje rozrywały drogę coraz bliżej. Spadały na niego odłamki betonu, żwiru i asfaltu. Zasłonił głowę pistoletami, których nie wypuszczał z rąk.

Ulica była już dwadzieścia pięć jardów za nim. Miał obolałe ciało i znów zaczęły oblewać go fale zimnego potu, ponownie poczuł mdłości.

- Narcan - wykrztusił. Potrzebował nowego zastrzyku narcanu. Potknął się i upadł, lecz zdołał podnieść się i biec dalej.

Dziesięć jardów. John był bliski omdlenia. Morfina znów obejmowała nad nim władzę.

Pięć jardów. Skoczył w momencie, gdy wybuch rozerwał ulicę, wyrzucając w górę metalową kratę mniej niż dwanaście jardów od niego. Z wyrwy buchnął ogromny płomień, a eksplozja rzuciła go do przodu. Przekoziółkował, ale nie wypuścił pistoletów. Uniósł się na kolana, słysząc - a w

zasadzie czując - coś z tyłu. Odwrócił się. Wstał i wypalił z dwóch pistoletów równocześnie. Dwóch sowieckich żołnierzy strzeliło do niego, ich kule zryły ziemię tuż przy nim, lecz obydwaj padli od jego kul.

Słaniał się na nogach i ciemniało mu przed oczami.

Rourke odciągnął iglicę i zabezpieczył pistolety, po czym wetknął je za pas. Zza koszuli wyjął torbę z zastrzykami. Ręce mu drżały, w głowie wirowało. Upadł na kolana. W prawej ręce trzymał już strzykawkę z narcanem. Spojrzał przed siebie, gdy uniósł strzykawkę, sprawdzając jej zawartość.

- Rosjanin z karabinem - wykrztusił, próbując zmusić swoje ciało do działania. Powolnym ruchem ręki odnalazł rękojeść jednego z pistoletów. Automatycznie sięgnął kciukiem do bezpiecznika z lewej strony Detonicsa. Nacisnął spust w tym samym momencie, gdy Rosjanin podnosił broń do oka. Rourke sięgnął prawą ręką do lewego ramienia. Rękaw był już podwinięty, przewidział to wcześniej, to było w jego zwyczaju. Uniósł trochę lewą rękę. Półkule mózgu pracowały jakby oddzielnie, kierując dwiema stronami jego ciała. Próbował patrzeć do przodu i jednocześnie skupić się na zastrzyku. Prawą ręką wbił strzykawkę w lewe przedramię.

- Aaaa! - krzyknął.

Począwszy od lewej ręki poczuł, jak antidotum rozchodzi się po jego ciele. Z powrotem cofnął kciuk na pistolecie. Nagle odzyskał przytomność umysłu. Czuł, że oblewa go zimny pot, ale był przytomny. Wskazującym palcem lewej ręki nacisnął spust i Detonics podskoczył. Sowiecki żołnierz padając, wystrzelił w niebo serię z karabinu. Jego ciało wygięło się jak w tańcu i upadło na krawędź drogi. Rourke zerwał się na nogi. Był to ostatni zastrzyk, jaki miał, ale zarazem ostatni, którego potrzebował. Wyjął zza pasa drugi pistolet i odbezpieczył go. Nie mógł biec. Ruszył więc chwiejnym krokiem w stronę krawężnika. Rozejrzał się dookoła i poszedł w lewo. Miał przed sobą jeden, może dwa budynki. Gdy tylko dotrze do motoru, zrobi sobie zastrzyk z B-complexu, który powinien szybko zadziałać. Wciąż bolała go głowa i mięśnie, ale uczucie zimna oraz nudności powoli ustępowały.

Przyśpieszył kroku, gdyż coraz częściej eksplozje rozrywały ziemię wokół niego. Po obu stronach ulicy szyby w oknach były powybijane. Zewsząd buchały płomienie. Poderwana wybuchem ciężka, metalowa pokrywa kanału ulicznego poszybowała w górę. Rourke przypadł do ziemi. Dzwoniło mu w uszach. Poczuł uderzenia spadających odłamków muru. Po chwili zerwał się i skokami ruszył przed siebie. Z tyłu ktoś do niego strzelał. John odwrócił się i wygarnął z pistoletu. Sowiecki żołnierz osunął się na asfalt jezdni. Rourke biegł dalej.

Zobaczył dom z zieloną winoroślą pokrywającą białe kraty po obu stronach ganku. Widział już bramę. Jego motor stał w garażu. Nie przestając biec, spojrzął za siebie. Nie było nikogo. Być może Rosjanie uciekali, póki jeszcze mogli. Ponownie rozległ się huk wybuchów. Rourke popatrzył w górę, na stoki otaczające dolinę. Zewsząd osuwały się skały i lawiny kamieni. Doktor wybiegł przez bramę zdyszany i spocony. Drzwi do garażu były już tylko dziesięć jardów przed nim, pięć jardów... Zatrzymał się. Z pewnością były zamknięte. Uniósł obydwie pistolety, strzelając najpierw z jednego, a potem z drugiego. Kule roztrzaskały zamek. Włożył pistolety za pas. Chwycił klamkę, przekręcił ją i otworzył drzwi.

Ujrzał swego ciemnego jak smoła Harleya. Podszedł do niego. Silnik wydawał się sprawny. Wyjął zawinięty w koc i karimatę CAR-15. W chlebaku przewieszonym przez kierownicę znalazł trzydziestonabojowy magazynek. Załadował nim pistolet.

- Naprzód! - szepnął patrząc w stronę ulicy. Słyszał teraz odgłosy coraz częstszych eksplozji. Instalacje gazowe wybuchały samoczynnie. Przewiesił CAR-15 przez plecy. Przeszukał torbę i

znalazł w niej apteczkę. Otworzył paczkę z zastrzykami i wyjął z niej strzykawkę z zawartością B-complex. Wbił ją w lewe przedramię. Padł na kolana, usiłując wyrównać oddech.



## ROZDZIAŁ XXXIX

Martha klęczała na krześle przy oknie w bibliotece i wpatrywała się w ulicę i pocztę naprzeciwko, skręcając w palcach chusteczkę z wyhaftowanymi sercami, którą przed laty otrzymała w prezencie od swego męża. Ogień ogarnął już całe miasto. Bała się ognia. Każdy był z kimś, bezpieczny i gotowy na śmierć. John był gdzieś na ulicy. Była przekonana, że nie poradzi sobie. Często opiekowała się swoim mężem, tak więc doskonale wiedziała, w jakiej kondycji jest Rourke. Był za słaby, aby ujechać daleko. Nawet nie wskazała mu ścieżki, którą mógłby przedostać się za wzgórze. On umrze sam i ona umrze w samotności. Zastanawiała się, jakie były jego ostatnie słowa. Nie uderzył jej z nienawiści. Zrobił to, ponieważ nie chciał z nią umierać.

- Mam nadzieję, że żyjesz, John - powiedziała czując, jak nagle spadł jej kamień z serca.

Metalowa pokrywa studzienki ściekowej poszybowała w niebo, wyrzucona podmuchem płomieni. Podłoga pod Martha zadrżała. Duże okno rozprysło się tuż przed nią. Miała jeszcze jedną strzykawkę, ostatnią jaka została w szufladzie biurka. Powinna wystarczyć. Zrobiła sobie zastrzyk i wypuściła igłę z rąk poranionych odłamkami szyby. Zimny wiatr owiewał jej twarz, gdy zamknęła oczy. Ujrzała surową twarz swego martwego męża. Wyrzucał jej to, co usiłowała zrobić, ale mimo to w jego oczach była miłość.

## ROZDZIAŁ XL

Rourke dosiadł swego Harleya. Bak motocykla był pełny. Umieścił nierdzewne Detonics'y w kaburach zawieszonych w poprzek ramion. Było mu trochę zimno. Wyczerpanie i leki zrobiły swoje. Postawił kołnierz brązowej skórzanej kurtki. Na lewym boku, pod kurtką miał przewieszony chlebak. Zapasowe magazynki zawiesił pod prawym ramieniem. Na prawym biodrze trzymał Pythona. Dodatkową amunicję do tego wielkiego kolta miał w ładownicy Safariland w chlebaku.

Przed sobą miał sowieckich żołnierzy na ziemi i sowieckie helikoptery w powietrzu.

Ogień był już wszędzie. Ogarnął domy po dwóch stronach ulicy. Gdy Rourke wyjrzał z garażu, wiatr podrywał do góry języki ognia.

Oddychał powoli i równo. Uspokajał swoje ciało i zbierał w sobie dodatkowe siły, których będzie potrzebował. Albo mu się uda, albo zginie.

Puścił sprzęgło, dodał gazu i Harley ruszył. Odbezpieczył CAR-15. Nałożył gogle lotnicze. Potem zahamował na środku ulicy. W wewnętrznej kieszeni kurtki miał kilka cygar. Wyjął jedno i bez zapalania włożył je do ust, przesuwając językiem w kącik ust.

- Gotowy - szepnął do siebie.

Zmniejszył obroty Harleya, przerzucając biegi. Pochylił się do przodu. Dojechał do końca ulicy i skręcił ostro w prawo, ponownie przyśpieszając. W wyobraźni próbował odtworzyć drogę, którą wjechał do miasta. Była to jedyna znana mu droga. Minał pocztę. Przejechał obok biblioteki, skręcając ostro w lewo. Biblioteka była teraz trawiona przez płomienie.

- Martha - szepnął patrząc przed siebie i mknąc na swej czarnej maszynie. Mimo wszystko zrobiło mu się żal tej kobiety.

Po prawej stronie dostrzegł sowieckich żołnierzy. Dwóch z nich płonęło. Pozostali trzej zwrócili się w stronę Rourke'a i zaczęli strzelać. Dodał gazu i chwycił CAR-15. Puścił dwie krótkie serie. Trafił najbliższego z nich i drugiego, z tyłu. Trzeci strzelał dalej, a seria z jego karabinu zryła powierzchnię ulicy w pobliżu jadącego motoru. Rourke zwolnił i szerokim hakiem skręcił w prawo. Następnie zjechał z ulicy na trawiasty pas równoległy do niej. W oddali, przy budynku szkoły wciąż rozlegały się wybuchy. Sowietci biegali tam chaotycznie. Po środku nich zauważył oficera. Był wysoki, bez czapki i miał ubrudzoną twarz. Krzyczał do swoich żołnierzy, wskazując na przewróconego jeepa, ale oni uciekali w popłochu. Oficer usiłował wyciągnąć coś spod samochodu. John przemknął szybko, spoglądając w lewo. Oficer łomem podważał jeepa, aby wydostać kogoś spod wozu. Rourke zahamował. Pasma płomieni przecinało ulicę, trawa po bokach płonęła również.

- Cholera! - rzucił doktor zawracając Harleya w kierunku jeepa.

Oficer upuścił pręt i sięgnął do kabury na prawym biodrze. Rourke zatrzymał się i wycelował w niego.

- Możesz mnie zastrzelić, ale najpierw pomóż mi wydostać tego człowieka. On jeszcze żyje!

John nie odpowiedział. Prawym kciukiem zabezpieczył CAR-15. Postawił motocykl na stopce i wyłączył silnik. Podszedł do Rosjanina i powiedział:

- Jestem osłabiony. Nie mam zbyt wiele sił. Podważaj łomem, a ja go wyciągnę.

- Dobrze - przytaknął oficer.

Oficer, major - jak zauważył Rourke - oparł się na metalowym pręcie. John uklęknął obok niego na ulicy. Ranny leżał pod przewróconym jeepem. Był to starszy człowiek w stopniu sierżanta. John chwycił go za ramiona.

- Teraz, majorze - powiedział widząc, jak jeep unosi się. Słyszał jęk oficera. Rourke wsunął prawe ramię pod samochód. Wycofał się wraz ze starszym człowiekiem i jeep opadł.

- Nie utrzymałbym go dłużej.

Doktor nie zwracając uwagi na oficera, popatrzył na rannego.

- Potrzebuje pomocy i to szybko.

- Mamy helikoptery. Użyjemy ich do transportu rannych.

- Zabierzcie go stąd szybko - rzucił Rourke. - Wkrótce całe miasto wybuchnie.

- Co robisz?

Major chwycił go za rękę.

John odrzucił jego dłoń i otworzył skórzaną apteczkę Marthy Bogen.

- Morfina - powiedział. - To przyniesie mu ulgę. Jestem lekarzem. Zrób mu kompres na prawą nogę. Nie zakładaj opaski uciskowej, jeśli chcesz, żeby nie stracił nogi. Opiekuj się nim jak dzieckiem, majorze.

Rourke wstał. Sowiecki oficer poruszył prawą ręką, więc John sięgnął po pistolet, jednak ręka majora wyciągnęła się ku niemu. Doktor uścisnął ją.

- Powinienem cię aresztować lub zastrzelić.

- Jeśli chodzi o to drugie - uśmiechnął się Rourke - to miałem podobny zamiar względem ciebie.

Ale zrezygnuję z tego.

John puścił rękę sowieckiego majora, odwrócił się i odszedł. Istniało prawdopodobieństwo, że oficer wyciągnie pistolet i strzeli mu w plecy. Postanowił jednak nie brać pod uwagę takiej możliwości. Dosiadł Harleya, zapalił go i złożył stopkę. Major patrzył na swego rannego sierżanta. Rourke ruszył przed siebie...

Był już na skraju miasta. Jedyne droga prowadząca w góry rozciągała się przed nim. Eksplozje rozerwały ziemię wokół niego, a za nim pozostało morze płomieni zbliżających się już do lasu otaczającego dolinę. Spojrzał jeszcze raz na miasto Bevington. - Przykre - wymamrotał i ruszył pod górę. Droga była stroma. Po prawej stronie osuwały się niektóre skały. Koncentrował uwagę na omijaniu głazów, które tarasowały drogę.

Poprzez huk eksplozji i trzask płomieni przedostał się znajomy dźwięk. John spojrzał w niebo i zobaczył helikoptery.

- Oto moja nagroda za samarytańską pomoc - rzucił, ze złością kręcąc głową. Ale nie winił majora ani rannego sierżanta. Jak to zwykle w życiu, pomyślał, nie było nikogo, komu można by przypisać winę. Przyśpieszył jeszcze bardziej, zostawiając za sobą kłęby dymu.

Śmigłowce były tuż nad nim. Nie wiedział dlaczego. "Może KGB, ale co mieliby do roboty w Bevington, w stanie Kentucky?" - pomyślał. Odbezpieczył CAR-15. Dostrzegł ostry wiraż i wziął go na pełnej szybkości. Musiał wychylać się mocno w lewo, gdyż połowa drogi była zavalona głazami. Usłyszał dudnienie, które dochodziło z lewej strony. Spojrzał w tym kierunku. Wielka skała oderwała się i toczyła równolegle do drogi, ciągnąc za sobą lawinę kamieni i ogromnych głazów.

- Kurwa! - rzucił Rourke spoglądając na helikoptery. Usłyszał terkot, nie musiał patrzeć

ponownie. Karabin maszynowy.

Droga opadała nagle w dół. John przyspieszył na pochyłości. Staczające się skały mijały go niebezpiecznie blisko. Po prawej stronie rósł gęsty las. Ogień zaczynał już go ogarniać. Rourke skręcił ostro w lewo, potem w prawo, unikając w ten sposób zderzenia z jeleniem uciekającym z płonącego lasu. John dodał gazu. Serie z karabinu ryły ziemię wokół niego, a kule odbijały się rykoszetem od skał po lewej stronie. Droga przed nim skręcała nagle w lewo. Rourke wziął zakręt bardzo umiejętnie. Gdy był już na prostej, wycelował z karabinu w najbliższy z helikopterów. Oddał sześć strzałów w dwóch krótkich seriach. Śmigłowiec wzniósł się do góry. Rourke przewiesił karabin przez ramię i mocniej chwycił kierownicę Harleya. W odległości około mili ujrzał przed sobą krawędź doliny. Żwir i mniejsze kamienie obsypywały go. Ich uderzenia o powierzchnię drogi były nie do odróżnienia od kul z karabinu maszynowego.

Ogień z prawej strony był już całkiem blisko. Drzewa stojące przy drodze tworzyły rząd pochodni, kolumny ognia. Gdy jechał w górę, ku krawędzi doliny, żar promieniujący od drzew parzył go. Masywne głazy osuwały się coraz gęściej. Rourke jechał pomiędzy nimi slalomem. Nagle płonące drzewo zaczęło się przewracać. Dodał gazu, pochylając się nad kierownicą. Płonące gałęzie i kawałki kory obsypały jego ręce, twarz i plecy. Obejrzał się do tyłu na płonące drzewa, a potem na helikoptery. Wciąż były blisko.

Skręcił gwałtownie w lewo, jadąc po pochyłości prowadzącej na skraj doliny. W poprzek drogi przetoczyły się głazy, mijając go zaledwie o kilka cali. Harley grzmiał jak armata, ryczał przeraźliwie jak trąba na Sąd Ostateczny, niemal rozrywając bębunki w uszach. Gorący wiew od ognia szalejącego po prawej stronie chłostał go po twarzy. I znów seria z karabinu maszynowego. Helikoptery były teraz nad nim, a jeden nawet zdążył go wyprzedzić.

Rourke nie mógł puścić kierownicy, by móc strzelać swobodnie. Urwiska osuwały się teraz w dół w tumanach kurzu i dymu. W końcu dojechał do skraju doliny. Zahamował ostro, skręcając maszynę w poślizgu i balansując nogami. Chwycił swój CAR-15. Uniknął śmierci w płomieniach i pod lawiną kamieni, ale przed helikopterami nie było ucieczki. Wsunął nowy magazynek z trzydziestoma nabojami do kolta i wycelował w kabinę najbliższego ze śmigłowców. Kule wciąż rozrywały ziemię i skały tuż obok niego.

## ROZDZIAŁ XLI

- Tu ziemia, ziemia do powietrza, czy słyszycie? Major Borozeni do pułkownika Roźdiestwieńskiego. Przylećcie tutaj! Pułkowniku, przylećcie tutaj! Odbiór!

Radiostacja milczała. Roźdiestwieński nie odpowiadał. Po chwili w słuchawkach rozległ się obcy głos powtarzający wywołanie:

- Powietrze do ziemi! Porucznik Tifilis wzywa majora Borozeni. Odbiór!

- Tu Borozeni! Tifilis, przylećcie jak najszybciej! Odbiór!

- Tu Tifilis. Towarzyszu majorze, nie mamy kontaktu z pułkownikiem Roźdiestwieńskim. Proszę o rozkazy. Odbiór!

- Ziemia do powietrza. Tifilis, sprowadźcie z powrotem wszystkie helikoptery, powtarzam, wszystkie helikoptery! Odbiór!

Porucznik Tifilis dowodził eskadrą zwykłych helikopterów transportowych. Grupą specjalnie uzbrojonych śmigłowców i oddziałem komandosów, którzy mieli zająć fabrykę, dowodził Roźdiestwieński.

- Ziemia do powietrza, Tifilis, czy mnie słyszycie? Odbiór!

- Tu Tifilis. Słucham. Odbiór!

- Tifilis, słuchajcie mnie uważnie... Użyjcie waszego radia, ma większy zasięg. Skontaktujcie się ze wszystkimi śmigłowcami, które mogą was usłyszeć. Ściągnijcie je do nas! To rozkaz! Przejmuję dowództwo na czas nieobecności pułkownika Roźdiestwieńskiego. Odbiór!

- Tak jest, towarzyszu majorze! Odbiór!

- Tifilis. - Borozeni zapomniał w zdenerwowaniu o wciśnięciu przełącznika. - Tifilis, pośpieszcie się. I dajcie mi znać, ile macie maszyn. Mam setki rannych. Bez odbioru.

- Bez odbioru - potwierdziło "powietrze".

Zaległa cisza. Borozeni spojrzał na sierżanta leżącego obok. Miał nadzieję, że ten człowiek na motorze rzeczywiście był lekarzem albo przynajmniej potrafił opatrywać rannych... Zastrzyk morfiny najwyraźniej pomógł sierżantowi.

Czuł ból w kolanie. Zmienił pozycję, nie mógł poruszać prawą ręką, aby nie zwiększać upływu krwi.

- Powietrze do ziemi! Tifilis wzywa majora Borozeni! Odbiór! - rozległ się znowu głos porucznika.

- Tu Borozeni, co tam? Odbiór!

- Tifilis do ziemi! Lecą do was wszystkie śmigłowce prócz czterech, powtarzam: wszystkie prócz czterech. Lądujemy za dwie minuty. Odbiór!

- Potrzebujemy wszystkich, co z tymi czterema, do cholery!

- Ścigają mężczyznę na motorze. To prawdopodobnie agent, Rourke. Poszukuje go KGB. Odbiór!

Borozeni uśmiechnął się. Mężczyzna na motorze... A więc nazywa się Rourke.

- Ziemia do powietrza! Tifilis, kaźcie dowódcom tych czterech maszyn...

- Tu Tifilis, bez odbioru!

Borozeni wcisnął przełącznik. Odruchowo spojrzął w górę. Co się stało?

- Tifilis do ziemi! Tifilis do ziemi! Odbiór!

- Tifilis, tu Borozeni, co się stało? Odbiór!

- Tifilis do ziemi! Agent właśnie strzelał do helikopterów, towarzyszu majorze. Odbiór!

- Każcie im wracać, słyszycie? Każcie im wracać. Osobiście wyślę raport do generała

Warakowa. Bez odbioru.

Borozeni uśmiechnął się i szepnął po angielsku:

- Jesteśmy kwita.

## ROZDZIAŁ XLII

Rourke wycelował w kabinę najbliższego helikoptera. Ogień z czterech karabinów maszynowych rył ziemię wokół niego.

Patrząc przez celownik dostrzegł, że jego kula dosięgła celu. Wystrzelił znowu. Karabin siłą odrzutu uderzył go w ramię. Miał zbyt zmęczone ręce, aby utrzymać broń.

Cztery maszyny krążyły nad nim. Rourke skoncentrował się na jednej, żeby chociaż tę zestrzelić. Wycelował trzeci raz.

“Sarah, Michael, Annie... Paul zaopiekuje się nimi. Musi ich znaleźć” - rozmyślał gorączkowo.

- Giń! - krzyknął w stronę helikoptera. Kula świstem przecięła powietrze. Wszystkie cztery maszyny poderwały się gwałtownie do góry. Ustawiły się w nierównym szyku i odleciały w głąb doliny. Rourke opuścił karabin.

Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, ale i nie miał zamiaru przeciwstawiać się dobremu losowi. Zabezpieczył karabin. Ruszył skrajem doliny, a potem w dół ku autostradzie.

Umył się w lodowatej wodzie potoku. Teraz - zmęczony, ale przebrany w czyste ubranie - siedział obok motoru, mieszając wodę w pudełku z zamrożonym jedzeniem. Spróbował go łyżką. Lepiej smakowało na gorąco, ale wartość odżywcza była taka sama.

Przejechał już sto mil od Bevington i był w Tennessee. Prawdopodobnie rozminął się z Paulem. Może Rubenstein odnalazł jego rodzinę?

Oparł się wygodniej. Jedząc zimny posiłek, robił plany na najbliższą przyszłość. Wprawdzie poprzednio nie przewidział spotkania z Martha Bogen ani samobójstwa całego miasta i inwazji Rosjan, wciąż jednak miał nadzieję odnaleźć Sarah i dzieci. Wiedział, że musi kontynuować poszukiwania.

Przez ostatnie dwadzieścia pięć mil spotykał liczne ślady bandytów. Porzucone obozowiska, pełne śmieci i pobitych butelek...

Postanowił, że zatrzyma się w jaskini, a jutro ruszy dalej.

Słońce, czerwone jak krew, zniknęło za horyzontem. Na wschodzie John dostrzegł pierwsze mrugające nieśmiało gwiazdy. Dokończył jedzenie. Odłożył pusta puszkę. W kieszeni koszuli znalazł cygara, zapalił jedno w niebiesko-żółtym płomieniu zapalniczki. Jeszcze raz sprawdził Detonics'y i CAR-15. Załadował nowe magazynki.

Czerwona kula szybko zniknęła za horyzontem. Patrzył na ostatnie promienie światła. Przymknął powieki. Przed oczyma przesuwwały mu się twarze Sarah, Annie, Michaela, Paula Rubensteina... I jeszcze jedna twarz - błyszczące, tak bardzo niebieskie oczy...

---

[1] *quisling* - synonim kolaboranta; od nazwiska *Yidkuna Quislinga* (1887-1945), norweskiego polityka, współpracującego w czasie II wojny światowej z niemieckim okupantem

[2] Chodzi o amerykańskie święto - *Halloween*, słynące z makabrycznej maskarady - [przyj. red.].

[3] W tym kontekście chodzi o “obróbkę (kamienia)” i “toaletę” [przyj. tłum.].